POŁROCZE DRUGIE POSZYT III. 1850.

O administracyi angielskiéj.

(*Dokończenie.*)

III.

Przedstawiony obraz administracyi miejscowéj pokazuje, że administracya hrabstw angielskich jest arystokratyczno-ziemiańską, kiedy przeciwnie administracya parafii jest *gminną*. Podobnąż sprzeczność widzimy w administracyi sprawiedliwości. Wielcy przysięgli, trudniący się oskarżeniem, są wyrazem arystokracyi i ziemiaństwa; mali zaś są wyrazem gminu. W jednym i drugim przypadku, arystokracya i ziemiaństwo odegrywają główną rolę, gmin zaś tworzy rękojmią. Arystokracya i ziemiaństwo zajmują się wielkiemi interesami, a gmin drobnemi. W Anglii więc administracya miejscowa spoczywa w ręku całego narodu. W parafii następuje to w skutek wyboru i głosowania, w hrabstwie zaś w skutek czynu, to jest, opinii publicznéj, a przedewszystkiém majątku. We Francyi, gdzie rady municypalne są obieralne, gminy są źle administrowane, bo duch opozycyi i zazdrości skłania zwykle mieszkańców do wybierania na radzców municypalnych i merów ludzi bez majątku, światła i powagi. Radzcy municypalni i merowie, nie będąc płatnymi, szukają częstokroć zysków nielegalnych,

co wystawia na uszczerbek majątek gminy. W Anglii, majątek nie jest tytułem do wykluczenia, ale owszem tytułem do mianowania. Parafie wybierają pospolicie na swych urzędników ludzi dostatnich, urzędnicy sprawują się z obowiązków z wiernością, światłem i tą godnością która staje się przykładem dla wszystkich, a powodem uwielbienia dla cudzoziemców.

Władza urzędników angielskich jest rozciągła i rzeczywista. Urzędnicy parafialni i sędziowie pokoju, nie działają drogą doradczą, jak rady municypalne, obwodowe i departamentowe francuzkie, ale drogą akcyi i rozkazu. Podobnie działo się we Francyi za administracyi Zgromadzenia Konstytucyjnego z r. 1789, z różnicą, że charakter francuzki nie sprostał obowiązkom jakie wolna administracya za sobą pociąga. We Francyi, pojedynczy obywatele nie słuchali ogółu; w Anglii zaś każdy był posłuszny wszystkim. We Francyi, urzęda obywatelskie działały leniwo i niedbale; w Anglii działały z gorliwością i poświęceniem. Jeżeli administracya francuzka z r. 1789 chybiła celu, pochodziło to z różnicy charakteru, ale także z braku prawa powołania urzędników do odpowiedzialności. We Francyi, urzędnik niedbały tracił tylko urząd, a w Anglii poszukiwany był sądownie i karany. Szerif jest odpowiedzialnym za straż więźniów; sędzia pokoju za stronność; alderman za nadużycie władzy; *church-wardens* i *overseers* za niesłuszne umieszczenie obywatela na liście przysięgłych; *surveyor* za zły stan drogi; *vestry* za niedostarczenie funduszów na jéj naprawę; inspektor ubogich, za odmówienie zasiłku potrzebnym i t. d.

Do odpowiedzialności powołuje nie rząd, lecz interesowani; wierzyciel skrzywdzony przez ucieczkę więźnia; przysięgły skrzywdzony niesłusznėm powołaniem do *juries;* biedny pozbawiony chleba i przytułku; podróżny którego powóz na złéj drodze się połamał i t. d. Do odpowiedzialności powoływani są wszyscy bez różnicy urzędnicy, nawet najwyżsi. W głośnéj sprawie

Wilkesa, dwóch ministrów było skazanych na 160,000 zł. kary za nieprawne zajęcie papierów. R. 1775, Sayre, bankier amerykański, aresztowany niesłusznie pod pozorem należenia do tajemnego sprzysiężenia, zapozwawszy Lorda Rochford, otrzymał 40,000 złp. wynagrodzenia. Odpowiedzialność urzędników zastosowana do aresztowania osób, tworzy podstawę prawa *habeas corpus*, uważanego przez Anglików za palladium wolności. Na mocy tego prawa, nikt nie może być aresztowany tylko według form i okoliczności przez niego oznaczonych. Każdy zaś aresztowany ma prawo być wysłuchanym przez sędziego w oznaczonym przeciągu czasu. Coś podobnego dzieje się we Francyi, ale wolność indywidualna Francuzów nie jest dostatecznie zapewnioną, bo obywatele nie mają prawa poszukiwania aresztującego i domagania się od niego wynagrodzenia. Różnica pochodzi ztąd, że we Francyi administracya centralna tworzy hierarchią urzędniczą, tak, że każdy urzędnik jest zakryty przez rozkaz ministra. Aby urzędnik podrzędny mógł być pociągniętym do odpowiedzialności, potrzeba aby postąpił bez wyższego rozkazu i aby Rada Stanu dała skrzywdzonemu upoważnienie do jego poszukiwania. W Anglii obywatele pociągają do odpowiedzialności podrzędnych urzędników bez pytania się czy postąpili według wyższych rozkazów. Taki stan rzeczy, sprowadziłby we Francyi anarchią; w Anglii gdzie obyczaje krajowe są rządne, sprowadza tylko ostrożność urzędników.

Administracya angielska jest mało biurokratyczna, gdyż pisma, dowody, weryfikacye zastępuje zwykle przysięga. W administracyi dawnéj Polski, przysięga zdemoralizowała naród, w Anglii przeciwnie umoralizowała go do tego stopnia, że kłamstwo jest hańbą i powodem do wykluczenia z urzędów. W Anglii, przysięga sprowadziła dobry skutek, dla tego że każdy obywatel ma prawo wykazania jéj fałszu. Sędzia pokoju winien mieć 4000 złp. rocznego dochodu, albo nadzieję odziedziczenia 12,000 złp. dochodu. Gdyby się to działo we

Francyi, administracya domagałaby się świadectw, zeznań biegłych, poświadczeń, kontrol, co utworzyłoby grube akta; a że w Anglii jest 4000 sędziów pokoju, byłoby 4000 aktów. W Anglii rzeczy idą prościéj. Sędzia pokoju, jakeśmy mówili, czyni zeznanie które stwierdza przysięgą. Zeznanie jest wpisane w księgę hrabstwa, która jest przystępną dla wszystkich. Jeżeli kto zaprzecza wiarogodności deklaracyi, sędzia pokoju musi złożyć dowody; w razie stwierdzenia deklaracyi, sędzia pokoju otrzymuje od zaprzeczającego wynagrodzenie; w razie zaś wykazania fałszu, sędzia jest wykreślony z listy sędziów pokoju i skazany na 4000 złp. kary, w połowie na biednych, a w połowie na tego, który dowiódł fałszywości przysięgi.

W Anglii nie ma Prefektów i Podprefektów, nie ma prefektur, dywizyi i biór, nie ma merów, nie ma hierarchii urzędniczéj, która we Francyi doszła do arcydzieła regularności, nie ma klasy ludzi których wyłącznem powołaniem jest rządzenie. Biura Szeryfów są małemi kancelaryami. Szeryf, chociaż organ rządowy, brany jest z obywateli miejscowych i na rok tylko jeden. Nie widać tu po wioskach ani żandarmów, ni *gardes champêtres*, ale pomimo tego czuje się wszędzie władzę. Drogi nie są proste jak francuzkie, bo je prowadzi każda parafia wedle upodobania; ale wszystkie są dobrze utrzymywane. Jeżeli zdarzy się przypadek, ukazuje się *policeman*, albo sędzia pokoju, a w ich nieobecności każdy z mieszkańców staje się konstablem. We Francyi policya jest w poniżeniu, w Anglii jest w poważaniu. We Francyi nikt się nie trudni administracyą, a wszyscy trudnią się polityką. W Anglii wszyscy się trudnią administracyą, a mało kto trudni się polityką. We Francyi umysły są w stanie rewolucyjnym, a w Anglii w stanie konserwacyjnym.

We Francyi, administracya narodowa góruje nad administracyą miejscową, w Anglii przeciwnie administracya miejscowa góruje nad administracyą narodową. Minister

spraw wewnętrznych w Anglii, *principal secretary of state for the Home departement*, koresponduje tylko z szeryfami: szeryf przesyła rozkazy ministeryalne do właściwych urzędników, a urzędnicy je wykonywają. Urzęda zależne od nominacyi ministra są powierzane obywatelom miejscowym, zalecającym się z postępowania i majątku. Minister spraw wewnętrznych trudni się jedynie utrzymaniem pokoju wewnętrznego: administracya miejscowa niemal go nie zajmuje. Nieraz się zdarza, że prywatni wcześniéj wiedzą o wypadkach zaszłych na prowincyi, aniżeli rząd. R. 1838, Lord Russel dowiedział się z dziennika *Times* o powstaniu włościan w hrabstwie Kent. Można powiedzieć, że ministeryum spraw wewnętrznych, jakie jest znane we Francyi, nie istnieje wcale w Anglii.

Niech nikt jednak nie sądzi, aby w Anglii administracye miejscowe były bez dozoru. Dozór jest i być musi, bo inaczéj wolna administracya wyrodziłaby anarchią, ale w Anglii dozór nie spoczywa w ręku rządu, lecz Parlamentu i jego komitetów albo biór, *committées, boards*. Parlament zatem jest *ogólnym administratorem całego kraju*. Administruje zaś nie przez urzędników, lecz przez prawa, zostawiając ich wykonanie pieczy prywatnych. I tak, jeżeli jakie miasto chce stawiać budowle które wymagają nałożenia ciężarów na mieszkańców, musi się udać o pozwolenie do Parlamentu. Parlament tłumaczy przywileja miast; on to niedawno upoważnił Dublin do oświecenia się gazem, o którym średniowieczny przywiléj nie myślał; on to ustanowił *board* który się trudni upiększeniem Londynu i który zbudował pałac Buckingham. Kto chce robić drogę żelazną, budować most, założyć kompanią assekuracyjną i t. d., musi się także udać do Parlamentu. Takie sprawy noszą nazwisko *private bills*. Aby je otrzymać potrzeba długich zachodów, które prawie równają się zachodom jakich wymaga każde upoważnienie administracyi centralnéj we Francyi. Niedogodności te, na które dotąd

mało zważali niebezwględni wielbiciele administracyi angielskiéj, są może większe w Anglii, a zawsze kosztowniejsze, ale naród na nie nie sarka, bo ma do czynienia nie z rządem i Radą Stanu, jak we Francyi, lecz z Parlamentem. Zdarza się że Parlament, nalegany o zaprowadzenie jakiéj reformy w administracyi wewnętrznéj, nie zna dobrze rzeczy o którą chodzi, i że rząd także jéj nie zna; wtenczas to wybieraną jest komisya śledcza, która trudni się zebraniem faktów, w celu oświecenia zarazem Parlamentu i rządu.

Parlament jest głową nie tylko administracyi miejscowéj, ale i *narodowéj*. Wiadomo że parlament, nie licząc korony, składa się z Izby lordów i Izby gminnéj, to jest żywiołu arystokratycznego i ziemsko - gminnego. Parlament jest więc tylko odbiciem administracyi miejscowéj. I tutaj, administracya spoczywa nominalnie w ręku arystokracyi, to jest w izbie lordów, złożonéj w większéj części z lord-lieutenantów hrabstw; Izba gminna robi wszystko, ale w gruncie rzeczy, odegrywa tylko rolę gwarantki. Izba lordów reprezentuje arystokracyą, kościół i tradycyą; Izba zaś gminna reprezentuje ziemiaństwo i własności miejskie, pracę gminną, wyobrażenia nowożytne. Anglia jest to rzeczpospolita pod królem. Parlament uosobistnia interesa prywatne i, że tak powiemy, doczesne; korona zaś uosobistnia naród i jego nieśmiertelność.

Administracya narodowa w Anglii trudni się wszystkiém, co dotyczy utrzymania pokoju, a zostawia mieszkańcom wszystko co dotyczy jego postępu. Zadanie jéj jest więc mniéj rozległe niż we Francyi, gdzie rząd trudni się interesami, tak miejscowemi jak narodowemi, tak dotyczącemi pokoju i bezpieczeństwa jak oświaty, a nawet dobrego bytu mieszkańców. Administracya narodowa angielska stara się mieszać o ile można najmniéj w interesa mieszkańców, a jeżeli się w nie miesza, czyni to na drobną skalę i przy pomocy prywatnych, a nie urzędników królewskich. I tutaj także, nie ma téj hie-

rarchii administracyjnéj, téj umiejętności rozległéj, jak we Francyi, téj armii urzędniczéj wspierającéj się i kontrolującéj wzajemnie; opartéj na osobnéj nauce, oświeconéj jurysprudencyą, a bronionéj przez trybunały administracyjne. Wyjąwszy ministerstwo wojny, marynarki i skarbu, ministerya angielskie są to biura albo bankierskie kantory.

Całe n. p. ministeryum spraw wewnętrznych ogranicza się do kilkunastu osób; całe zaś sądownictwo właściwéj Anglii, składa się z dwunastu wielkich sędziów, tworzących trzy *courts*. Sędziowie, rozjeżdżając się na prowincye, noszą na sobie charakter komisarzy królewskich, którym doręczone są skargi prywatnych i żądania sędziów pokoju. Z powrotem, mają roki londyńskie *terms*, na których sądzą sprawy ważniejsze. W Anglii nie ma sądów apellacyjnych. Jeżeli strona nie jest zaspokojona z wyroku, sędzia który zawyrokował, przybiera sobie jednego z trzech sędziów wielkiego *court* do którego należy. Wtenczas następuje nowy rozbiór *new triac*. Dzieje się to w Londynie i bez obecności przysięgłych. *Courts* są także sądami apellacyjnemi jeden względem drugiego. W Anglii nie ma także sądu kasacyjnego, jak we Francyi. Najwyższa instancya znajduje się w Izbie lordów. Wtenczas sąd odbywa się przed kanclerzem i dwoma lordami; czasem przywoływani są wszyscy wielcy sędziowie. W Anglii żadna szkoła nie sposobi do sądownictwa. Młodzież kształci się praktycznie u adwokatów. Profesya adwokata jest główną drogą do wyniesienia się w zawodzie politycznym.

W Anglii nie ma ministeryum wyznań. Król jest głową kościoła anglikańskiego, a arcybiskup Kanterbury jego rządzcą. Arystokracya zajmuje w nim główne szczeble, a synowie młodsi i gmin niższe. Skarb angielski nie utrzymuje ani duchowieństwa ani kościołów. Duchowieństwo ma swe osobne uposażenia, a w braku ich jest opłacane przez mieszkańców. Kościoły są utrzymywane przez parafie. Rząd pożycza tylko pieniędzy na

budowanie kościołów, skoro parafie ich potrzebują. Tem mniejszy wpływ wywiera rząd na duchowieństwo katolickie i dyssydenckie. Ale parlament wspiera wszystkie religie chrześciańskie za pomocą praw które przestrzegają święcenia świąt i niedziel. Temu święceniu niedzieli winna Anglia swój duch religijny, który łącząc się z wolnością, wydał zdumiewające skutki. W obec nieograniczonéj wolności i zażartéj konkurencyi, wszystko tu idzie spokojnie, bo religia łagodzi namiętności i wskazuje cel wyższy. Duch wolności i religii wyrobił w charakterze angielskim miłość pracy i uczucie osobistości, malujące się w wyrażeniu *help yourself*. Pionier angielski, kiedy ma żonę, biblię i siekierę, ma wszystko czego mu potrzeba i zapuszcza się w nieprzejrzane puszcze, pewny, że przyjdzie do majątku.

W Anglii nie ma także ministeryum oświecenia. — Oświatą trudnią się uniwersyteta Oxfordzkie, Cambridge i Dublińskie, kolegia w Eton, Westminster, Harrow i t. d. każdy z tych uniwersytetów albo kolegiów, ma za naczelnika jednego z pierwszych dygnitarzy krajowych, a za rzeczywistego rządcę rektora. Profesorowie są ludźmi z gmin, ale duch arystokratyczny w nich panuje. Uczniowie szlacheccy, *noblemen*, odróżniają się ubiorem i płacą od *gentlemen commoners*, *commoners* i *sizers*, stypendystów. Rząd ma tylko prawo mianowania profesora, zresztą nie miesza się w zarząd uniwersytetów, a jednak uniwersyteta mają prawo wydawania patentów, które otwierają drogę do urzędów. Co do szkółek elementarnych, które są bardzo liczne, utrzymują się one z uposażeń prywatnych i opłat młodzieży. W Szkocyi duch presbiteriański rozmnożył takowe szkółki, wszystkie jednak są utrzymywane przez parafie.

W Anglii nie ma ministeryum rolnictwa, przemysłu i handlu, ani szkół stosownych do tego. Jeżeli są szkoły, założone zostały przez prywatnych. Rolnictwem trudnią się kluby. Towarzystwa królewsko-rolnicze w Szkocyi i Londynie założone zostały dopiero w roku 1839

Statystykę rolniczą układali zawsze prywatni. Bakewell, Arthur Joung, John Sinclair, Coke, badali potrzeby rolnictwa w zastosowaniu do położenia kraju, a rząd ich tylko zachęcał albo wspomagał. Ostatniego np. mianował lordem w nagrodę prac łożonych około postępu gospodarstwa. Agronomowie angielscy przekonali się, że w kraju tak wilgotnym jak W. Brytania, wystawionym na wiatry przesycone parą solną, rolnictwo pastewne ma najwięcéj pewności. Przekonanie to stało się maxymą ekonomii narodowéj, którą głosiły wszystkie uniwersyteta. Z téj maxymy wyszło przekonanie o potrzebie wielkich własności, co dziwnie jednoczyło się z interesem landokracyi. Odtąd nie tylko prawa, ale i ekonomia polityczna popierały koncentracyą własności. Za Napoleona, potrzeba wyżywienia ludności sprowadziła prawo protekcyjne na zboże krajowe. Był to czyn przeciwny dawnéj maxymie i krzywdzący dla ludu, ale znowu dogodny dla landokracyi. Landokracya długo i silnie go broniła przeciw Cobdenowi; przyszedł wszakże czas, że Anglia wróciła do dawnéj zasady. Sir Robert Peel, zmieniając system protekcyjny na wolny, sprowadził znowu Anglią z drogi rolniczéj na pastewną i przemysłową. Przemysł angielski, zasadzający się na wełnie, skórach, żelazie i węglu ziemnym, jest dziś nieograniczenie wòlnym. Parlament proteguje go tylko przez reformy celne i traktaty handlowe zawierane z państwami obcemi. Rząd zaś ma tylko obok siebie biuro handlowe, ***Board of Trade***, które jednoczy materyały i wiadomości, albo ogłasza dokumenta statystyczne.

W Anglii nie ma także ministeryum prac publicznych. Robieniem dróg i kanałów z których słynie Anglia, trudnią się parafie, hrabstwa albo kompanie prywatne. Drogi nie są proste jak francuzkie, lecz wiją się stosownie do położenia i piękności widoku. To téż nie ma przyjemniejszéj podróży, jak po drogach angielskich. Drogi utrzymywane są starannie, pomimo że piecza nad niemi należy do parafii. Trojakie są drogi w Anglii: parafialne, ***parish high-ways;*** wiejskie, ***Byc-Roods***; i prywatne, ***Turn-***

pike-Roods. Na robienie każdéj drogi potrzeba upoważnienia parlamentu. Mieszkańcy parafii obowiązani są dawać rocznie sześć dni pracy na utrzymanie dróg. Sędziowie pokoju mianują dozorców i kantonistów. Drogi prywatne, rządzone przez syndykaty, mają szlabany, u których pobiera się kopytkowe. Dozorcy, mianowani przez syndykaty, mają prawo policyi i nakładania kary, jakby byli rządowymi *policemen.* Toż samo się dzieje na drogach żelaznych. Kraj wziął na siebie tylko dwie drogi: do Szkocyi i do Irlandyi. Są to drogi strategiczne, które się zwią *parlamentarskiemi.*

Administracya narodowa w Anglii, trudni się niema trzema tylko potrzebami; *wojskiem, marynarką i finansami.* Organizacya wojska różni się zupełnie od francuzkiéj. Nie ma tu konskrypcyi; mieszkańcy nie są obowiązani dawać tak zwany *impôt de sang.* Armia rekrutuje się z ochotników, szczególniéj Irlandczyków, co oczyszcza kraj z ludzi niespokojnych albo bez sposobu do życia. Ochotnik zaciąga się na lat trzydzieści; wojskowość staje się dla niego rzemiosłem. Pobiera on płacę wysoką, a jak wysłuży lata, otrzymuje pensyą która zapewnia mu życie. Armia angielska polega głównie na podoficerach, którzy w pułkach liniowych pobierają 8 złp. dziennie. Oficerem zostaje się trojakim sposobem: 1) wychodząc ze szkoły wojskowéj; 2) otrzymując komisyą od ministra wojny; albo 3) kupując stopień. Kto wchodzi do armii nie może kupić tylko stopień podporucznika; inne stopnie nabywają się po trzech albo czterech latach służby. Stopień podpółkownika już się nie kupuje. Przy każdym kupnie albo awansie, płaci się pewny podatek, *war office fees,* który jest obracany na utrzymanie inwalidów. Szkoła wojskowa w Sandheerst składa się z *gentlemen-cadets,* albo z synów poległych oficerów.

Oprócz pułków krajowych, znajdują się kolonialne, złożone z krajowców, któremi dowodzą oficerowie angielscy. Jest także *Yeomanry,* rodzaj gwardyi narodowéj, którą dowodzą oficerowie uwolnieni od służby. *Milicya*

tworzy się tylko podczas wojny i w razie obawy wylądowania do Anglii. Za czasów Napoleona, wynosiła 480,000 ludzi. Milicyanci nie są płatni, i wyjąwszy broni, sami się ekwipują. Anglia trzyma w pogotowiu sztaby do milicyi na 130 miejscach, złożone z 1,155 oficerów, *inspecting field officers* i 655 podoficerów. Komenda nad milicyą, jakeśmy już mówili, należy do Lord Lieutenanta, ale w pokoju trudni się dozorem sztabów szerif. Nad twierdzami stoją dowódzcy nominalni i rzeczywiści. Dowództwo nominalne albo honorowe, dawane jest wielkim dygnitarzom, nakształt naszych kasztelaństw. Ks. Wellington, n. p. dowodzi twierdzą Dowres.

Administracya finansów angielskich urządzoną została w sposób prosty i prawie bankierski. Wszystkie pieniądze, zebrane w podatkach, składane są do banku. W Anglii jest więc tylko administracya finansów, *Echiquier*, a nie ma właściwéj administracyi skarbu. *Echiquier* składa się; 1) z *board*, do którego należy pierwszy lord skarbu, zawsze pierwszy minister, kanclerz skarbowy i czterech komisarzy, zwanych *Junior-Lords*. *Board* trudni się mianowaniem urzędników, awansem, emeryturą, karami za defraudacye, reklamacyami i. t. d.; 2) z biura kontroli jeneralnéj, złożonéj z dziewięciu osób, które trudnią się rachunkami z bankiem, wypuszczaniem biletów skarbowych i. t. d. Budżet angielski różni się od budżetu francuzkiego w tém, że izby nie uchwalają corocznie całkowitego poboru, ale tylko dodatki. Możnaby powiedzieć że budżet angielski oznaczony został raz na zawsze, za pomocą stałych funduszów, *consolidated fund*, i że to co uchwalają corocznie izby, jest tylko pomocą, *supply*.

Administracya finansów angielskich nie spoczywa, jak we Francyi, na zasadzie niedowierzania i kontroli rachunkowéj, lecz na wyborze ludzi i ich wierzytelności. Skarb angielski nie prowadzi dotąd rachunków *en partie double;* rachunkowość jego jest szczupła; za to rękojmie moralne są ogromne. Finanse angielskie mają więcéj nieładu pozornego niż finanse francuzkie, ale mają więcéj porządku rzeczywistego. We Francyi, nierzetelność

ukrywa się pod regularnością piśmienniczą, w Anglii, rzetelność ukrywa się pod nieregularnością. We Francyi, mimo zasady niedowierzania, wysoki urzędnik skarbowy mógł za restauracyi przeniewierzyć się na kilka milionów franków. W Anglii nic podobnego nigdy się nie zdarzyło. We Francyi, kiedy idzie o rozkład podatków, kontrola skarbowa dochodzi do inkwizycyi; w Anglii przeciwnie rozkład podatków polega zwyczajnie na zeznaniu. *Income-tax* n. p. pobierany jest według zeznań prywatnych. W Polsce nikt nie chciał płacić podatków. Kiedy szło o obronę konstytucyi r. 1791 i niepodległość krajową, sejm czteroletni ogłosił składki czyli *ofiary*, które mało co przyniosły. W Anglii, każden obywatel płaci sumiennie, i kiedy rywalizacya z Napoleonem wymagała poświęceń, lud angielski złożył sumy olbrzymie. Takie postępowanie jest dowodem wzniosłości charakteru angielskiego, którą nie wiele narodów poszczycić się może.

Na szczycie administracyi narodowéj stoi korona. Korona angielska używa popularności, bo jéj odebrano wszystko co może wzbudzić niechęć mieszkańców, a zostawiono to co mogło ją podnieść w opinii. Zasada: *The king can do no wrong*, nie jest tutaj paradoxą, lecz rzeczywistością. Król niepobiera podatków na administracyą miejscową; jeżeli zaś je pobiera na administracyą narodową czyni to za zezwoleniem parlamentu i za inicyatywą izby gminnéj. Zresztą w Anglii, król nie jest otoczony takim blaskiem jak dawni królowie francuzcy. We Francyi, król górował wszystkich swym dworem; w Anglii przeciwnie, król ćmiony jest codziennie przez bogatych lordów. We Francyi, korona otaczała się blaskiem wojennym, była przyczyną dobrego i złego; w Anglii otaczała się samém poszanowaniem, była przyczyną samego dobrego. W Anglii król jest, można powiedzieć, osobą moralną; jest to bożyszcze, postawione na ołtarzu ojczyzny, któremu naród czyni pokłony; bożyszcze nieodpowiedzialne, okryte złotem i drogiemi kamieniami, wydające wyrocznią przez odpowiedzialne usta ministrów. W koronie jednoczy się hierarchia całego narodu. Ko-

rona, jak mówi lord Brougham, jest źródłem wszystkich zaszczytów; ona tylko może nadać rangę i wyższość. *The crown is the fountain of honour, and can alone confer any rank or precedence* [1]) Jako władza wykonawcza i głowa administracyi narodowéj, korona jest skrępowana przez Izby, ale Izby nic robić bez niéj nie mogą; to czyni, że nie jest prostą cyfrą, lecz częścią rzeczywistą konstytucyi, *no a mere cipher but a substantive part.* Korona, kiedy się zawiera w myśli parlamentu, ma wolę zupełną tylko na zewnątrz. To czyni ją reprezentantką narodu, to daje jéj także tę powagę w stosunkach zagranicznych, która czyni wszędzie szanowną narodowość Anglika [2]).

VI.

Administracya angielska, tak miejscowa jak narodowa, jest wzorem *decentralizacyi*, a francuzka *centralizacyi* administracyjnéj. Sprzeczności skutków tych administracyi są tak wielkie, że wyliczyć ich nie podobna. We Francyi, centralizacya zrodziła jednostajność posuniętą do płowości; w Anglii, decentralizacya zrodziła rozmaitość posuniętą do pstrocizny. Atrybucye Lord Lieutenantów, sędziów pokoju, szerifów, *vestry*, zmieniają się co hrabstwo. Hrabstwo Yorku (Yorkshire), figurowało jak osobne królestwo, złożone z trzech hrabstw, które dopiero reforma z r. 1832 pozbawiła dwóch izb miejscowych. W Galii, rząd jest prawie nieznany. Lud nie wie kto panuje i zna tylko landlordów. We Francyi, Paryż jest ogniskiem życia i ruchu; w Anglii, życie i ruch rozproszone są po całym kraju. We Francyi, prowincye są bez woli, w Anglii są prawdziwym wyrazem ducha narodu. We Francyi, drogi, kanały, telegrafy, wszystko prowadzi do Paryża; w Anglii, drogi, kanały, zdają się częstokroć Londyn pomijać. We Francyi, Paryż jest jedynym mia-

1) British Constitution. Londyn 1844. p. 117.
2) Onby effect of this prerogative is to give due vigour and authority to the action of the governement in its intercourse with fornige powers and its care of the national defense. Brougham, tamże p. 105.

stem przemożném; w Anglii, Birmingham i Manchester rywalizują z Londynem, a Liverpool myśli go z czasem przewyższyć, bo ma z Azyą i Ameryką komunikacye łatwiejsze. We Francyi, prowincye są bez wspomnień; w Anglii, wspomnienia utrzymują się przedewszystkiém po hrabstwach, po dworach lordów, po kościołach i ratuszach. We Francyi, ludzie zamożni mają swą główną siedzibę w Paryżu; w Anglii, trzymają dwory w swych dobrach, a w Londynie szukają tylko schronienia przez czas *season* albo podczas obrad parlamentu. Londyn nie tworzy państwa w państwie, jak to powiedział o Paryżu Benjamin Constant, Londyn nie robi rewolucyi, a gdyby ją zrobił, prowincye za nim by nie poszły. Londyn, stolica królestwa rozpościerającego swe ramiona na cztery strony świata, jest stolicą życia parlamentarskiego i bankierskiego, ale nie umysłowego i narodowego. Życie umysłowe i narodowe odbija się zarówno po całéj Anglii. Anglia nie ma centralizacyi administracyjnéj, ale ma więcéj niż centralizacyą administracyjną, bo ma *centralizacyą moralną*. Mimo różności atrybucyi władz miejscowych, mimo różności zwyczajów, mimo pstrocizny podziałów prowincyonalnych, cała Anglia oddycha jedną myślą, i ta myśl narodowa, tak silnie wraziła się w piersi mieszkańców, że Anglik nie przestaje być Anglikiem na jakimkolwiek krańcu świata się znajduje.

Administracya angielska jest arystokratyczną, wszelako skutki jéj są niemal też same co administracyi demokratycznéj Stanów Zjednoczonych. W Anglii, ogromna nierówność nie przeszkadza panowaniu legalności i wolności. Na zgromadzeniach parafialnych, biedni obywatele mówią śmiało, broniąc prawa, a nie naruszając wyższości bogatych; ze swéj strony bogaci nie obrażają się za śmiałość biedniejszych, słuchają ich cierpliwie, łagodzą i godzą, mając na względzie dobro parafii. Dzięki wolnéj administracyi, Anglia i Stany Zjednoczone posiadają tak zwany *self governement*. Francya ma rzeczpospolitę i głosowanie powszechne, a przecież nie ma *self governement*, bo administrują nią urzędnicy rządowi. W An-

glii wszystko co żyje trudni się administracyą miejscową, wyjąwszy rządu. Jeżeli rząd chce dowiedzieć się o prawdziwym stanie rzeczy w téj lub owéj gałęzi administracyi, nie ma innego środka tylko śledztwo parlamentarskie; jeżeli chce znieść nadużycia, nie ma innéj drogi tylko radę, albo przedstawienie bilu. Administracya Stanów Zjednoczonych jest we wszystkich Stanach prawie taż sama, dla tego że ją uogólnia zasada demokratyczna posunięta do ostateczności. W Stanach Zjednoczonych wszystkie urzęda administracyjne, zacząwszy od *select-man*, są płatne, dla tego że powierzone są temu kogo głos powszechny powoła, choćby najbiedniejszemu. W Anglii dzieje się inaczéj. Tutaj tak w polityce jak w administracyi, nie panuje zasada, lecz czyn. Jest to naród przedewszystkiém praktyczny. Anglicy starali się aby administracya była tanią i dla tego sprzyjali bezpłatności urzędów; Anglicy wiedzieli, że dla biednych urzęda bezpłatne stałyby się ciężarem, dla tego powierzali biednym nie znaczące obowiązki, a bogatym obowiązki ważniejsze. Bogaci jednak zostali otoczeni tylu zaporami prawnemi i zwyczajowemi, że nadużycie z ich strony było trudne. Landokracya, administrując hrabstwa pod tytułem sędziów pokoju, oznaczała *sama* ciężary hrabstwa i *sama* je rozkładała, ale demokracya parafii kontrolowała ich. Landokracya, za pomocą *grand jury*, trzymała w swym ręku prawo skarżenia i poszukiwania złoczyńców, ale demokracya kontrolowała ją zapomocą *petty jury*. Można powiedzieć, że Anglicy traktowali każdego bogatego jako króla; pozwalali mu czynić dobrze, a strzegli aby źle nie czynił. Wyciągali użytek z bogatych, nie pozwalali aby żyli w próżniactwie, i tym sposobem ułatwiali biedniejszym możność zapracowania sobie na majątek. Anglicy mówili: bogaty ma obowiązek rządzenia a biedny pracowania; własność ma nie tylko prawa, ale także i obowiązki.

Podobne wyobrażenia mogły być następstwem wyzucia włościan z własności, ale wypływało także z przekonania Anglików, że każde dzieło, każde stowarzysze-

nie, każda administracya, potrzebowała przywodzicieli, *leaders*. Rasa angielska, rządna i karna, wielbiła w najwyższym stopniu swych wielkich przywodzicieli, i to uwielbienie wyniosła na wysokość czci bohaterów, *hero-worship*. Aby się o tém przekonać, dość odczytać co mówi o dobrodziejstwach *hero-worship*, Carlyle: „Bohatér, mówi on, jest kierownikiem i głową ludu; w jego gorącéj duszy jednoczą się promienie, które Bóg między lud rozrzucił. Są to prawdziwi królowie (king) z prawem boskiém, bo są najzdolniejszymi (can-ing). Lud winien swym bohaterom nietylko poszanowanie, lecz posłuszeństwo. Należy się to im z prawa boskiego, bo każdy z nas ma w sobie prawo boskie albo szatańskie (*a divine right or diabolic wrong*). Posłuszeństwo jest ***najmoralniejszym czynem człowieka***, posłuszeństwo jest ***warunkiem cywilizacyi***. Zaiste, biada temu, który domaga się posłuszeństwa kiedy do niego nie ma prawa; ale biada także temu, który odmawia posłuszeństwa człowiekowi skoro mu się ono należy.“ Ta doktryna jest tak wrodzona w rasę normandsko-germańską, że kiedy Benjamin D'Israeli wykładał ją na użytek arystokracyi, Emmerson i Bettina von Arnim obracali ją na dobro demokracyi. U Carlyla, bohatér nie jest ni baronem feudalnym, ni menerem rewolucyjnym; nie jest podległym żadnéj formie cywilizacyi; stoi on wyżéj; jest to człowiek zupełny, człowiek wyższy od innych ludzi, zrodzony do rozkazywania, bez względu na czas i miejsce.

Kto sięgnie dziejów, zobaczy że Anglia postępowała zawsze pod wpływem *hero-worship*, że każde jéj dzieło było dokonane pod kierunkiem jednego człowieka któremu cały naród był posłuszny. Rzeczpospolita wcieliła się w Cromwela; anti-rewolucya w Pika; wolność handlowa w Cobdena; reforma praw zbożowych w Peela; przedsiebierstwo dróg żelaznych w Hudsona; a cała Anglia wcieliła się w arystokracyę ziemiańską składającą Izbę lordów. Anglia jest żywém zaprzeczeniem zdania Monteskiusza, podług którego demokracya ma się opierać na

cnocie. Demokracya, jak to dobrze wyłożył Grote [1]) opiera się na *większości;* kiedy przeciwnie arystokracya opiera się na *virtus* wziętéj w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu. Francya była zawsze rządzona przez ideę i dlatego się błąkała; Anglia przeciwnie wcielała ideę w człowieka i dlatego szła drogą niemylną. Można powiedzieć że Francya zajmowała się raczéj zasadą niż człowiekiem. Aby przeprowadzić zasadę w wykonaniu, druzgotała bez skrupułu tysiące indywidualności, ubożyła i wycieńczała wszystkich; wołała codziennie: *périssent les colonies plutôt que le principe;* Anglia przeciwnie zajmowała się główmie człowiekiem i podniosła go tak wysoko, że Anglik, gdziekolwiek się znajdował, dumny był z siebie i swego narodu. Anglicy mówili jak Protagoras; *człowiek jest miarą i warunkiem wszystkiego; idea potrzebuje być reprezentowaną wprzód niż będzie zrealizowaną.* Dlatego w Anglii lud sam przez się nic nie znaczył; trzeba mu było koniecznie reprezentanta czyli przywódzcy; dlatego téż nie należał ni do administracyi hrabstw ni do rządu, ale wpływał tak na administracyą hrabstwa jak na rząd; *był mocen działania,* jak mówi de Lolme, *lecz nie działał (to be able to act, and not to act* [2]), jego potęga była czysto moralna, polegała na opinii i wrażeniu jakie w rządzie i sędziach pokoju wzbudzała. Cobden przemawiając za wolnością handlu, postępował niemal jak Manlius kiedy wołał do ludu rzymskiego: *Ostendite bellum, pacem habebitis.*

Uczucie karności, objęte w *hero worship,* miało ogromny wpływ w Anglii, albowiem zagradzało drogę do rewolucyi, socyalizmu i tych wyskoków które rumienią Francyą. Filozofia XVIII. wieku głosiła że bohaterowie świata byli tylko szarlatanami. Zdanie to było prawdziwém we Francyi, bo tam ludzie wielcy rzadko łączyli z geniuszem moralność i czystość zamiaru; ale w Anglii było fałszywém. Lud angielski nie wierzył tyl-

---

1) History of Greece.
2) The constitution of England, p. 251.

ko w człowieka który zalecał się prawością zarazem w życiu publiczném i prywatném; którego celem nie była osobista ambicya, lecz ambicya dobrego czynienia, ambicya szlachetna zasłużenia się współobywatelom i krajowi [1]). Przy takiém usposobieniu, lud angielski postępował spokojnie, podlegał swym wielkim intelligencyom, a wielkie intelligencye wpajały w niego miłość ojczyzny, moralności i religii, szacunek dla przeszłości i narodowości. Nieraz lud angielski znajdował się w okolicznościach że stały ląd mniemał iż będzie musiał przejść przez rewolucyą, a tymczasem on poświęcał wszystko aby nie zerwać z przeszłością. W Anglii jedno tylko ciało mało wszechmocność rewolucyjną: Izba Lordów. Lordowie byli naturalnymi kierownikami ludu angielskiego, a to zamykało drogę szarlatanom. Dlatego Macaulay powiedział, że demokracya angielska była najarystokratyczniejszą, a arystokracya angielska najdemokratyczniejszą w świecie.

Powyższe okoliczności tłumaczą nam oryginalność, wielkość i dumę Anglików. Anglicy, mówił Burke, nie pożyczają myśli politycznych od nikogo, chyba od siebie samych [2]). Puls Europy, mówił Hallam, bije podług uderzeń które odbiera od parlamentu angielskiego. Wielka-Brytania, mówił Bulwer, nie jest krajem, ale tylko stolicą Anglii, której granice rozciągają się na wszyskie strony świata. Taki kraj może się poszczycić tak patryotyczném ubóstwieniem ojczyzny, jakie wyraził Shakespear w sławnym ustępie (Ryszard II.) zakończonym wyrazami:

This blessed spot, this earth, this realm, this England . . . .
This land of such dear souls, this dear, dear land,
Dear for her reputation through the world . . . .

Wielkość Anglii była następstwem *hero-worship* i wolnéj administracyi. Wolna administracya wyrobiła charakter narodowy, bez którego najlepsze instytucye są

---

1) Takim znaleźli Anglicy Sir Roberta Peel i dlatego tak wysoko go szanowali.

2) The people of England will not ape fashion they have never tsied.

niczém. W Rzymie, ten sam senat który czekał z godnością na przyjście Brennusa, zapisywał bez szemrania krwawe wyroki Nerona. W Anglii przeciwnie, w miarę jak mieszkańcy przychodzili do wolnéj administracyi, godność prywatnych się wzmagała. Pod Karolem, wyroki sędziów przysięgłych angielskich były tak okropne, że porównywano je do wyroków świętéj inkwizycyi; dziś słuszność sądów angielskich jest tak wielka, że kilka lat temu, Izba lordów uniewinniła O'Connella, pomimo że go sam rząd poszukiwał. W Anglii panuje opinia publiczna, ale ta opinia nie idzie tylko z dołu, lecz także z góry, to jest od Parlamentu albo od ludzi wielkich. Parlament, rozdzielony na dwa stronnictwa torysów i whigów, reprezentujące zasadę władzy i zasadę wolności, przedstawia ludowi dwie strony każdéj kwestyi, co jego sąd ułatwia. Anglia nie ma ni kodexów ni karty konstytucyjnéj, ale ma więcéj niż kodexa i konstytucye, ma ducha tradycyi; strzeże tradycyi kosztem zasad, przekłada wielkość naturalną nad nienaturalną systematyczność. Anglicy winni swą wielkość nie prawom, lecz charakterowi narodowemu i doświadczeniu. Są to ujeżdżone konie, które chociaż stracą jeźdzców, trzymają się szeregu.

Anglicy są wolni, bo decentralizacya administracyjna daje im punkta oparcia z których bronić się mogą przeciw nadużyciom władzy. Decentralizacya administracyjna jest dla nich niezdobytą twierdzą [1]). Francuzi nie posiadając takiéj twierdzy, nie mają odwagi cywilnéj i nie mają środka uchronienia się od rewolucyi które im Paryż narzuca. W Anglii, wolność nie znaczy, jak we Francyi, mocy czynienia czego się podoba, choćby złego; polega ona raczéj na téj spokojności myśli która pochodzi z pewności każdego o swą niezawisłość i bezpieczeństwo [2]). Anglia dowiodła że nikt nie może dekretować wolności, jak nikt nie może dekretować praco-

---

1) Niebuhr słusznie powiedział: daß die englische Freiheit mehr auf der Verwaltung als auf der Verfassung beruhe.

2) Mackinson.

witości i oszczędności; że wolność jest tylko następstwem władz już rozwiniętych w ludzie; że wolność wychodzi z przeszłości, cierpliwości, pracy, energii i namysłu, rzeczy które są córami zimy. „Taką jest wolność, mówi Bulwer, o! niewolniku który pragniesz być wolnym... Historya nie w stanie jest opowiedzieć, ile mozołu kosztowała Anglią wolność... Jest to nasza tajemnicza Apokalipsa... Wolność angielska wyszła z głębi grobów, z kości niezliczonych pokoleń, z pracy długiéj i cierpliwéj... Komu Bretonowie winni wolność? Zaiste, nie obalonym tronom, ni prawom pargaminowym. Nasza karta emancypacyjna wyszła z namiotów scytyjskich, ze stali dzid normandzkich. Jeżeli chcesz wiedzieć jak daleko sięga wolność angielska, licz lata na tysiące [1].

Wielkość Anglii szła w miarę ustalania się wolnéj administracyi. W wieku XV. i XVI., Anglicy zagarniali w swe ręce urzędy publiczne kosztem władzy królewskiéj. Piastowanie urzędów dało narodowi edukacyą polityczną, a edukacya polityczna sprowadziła naród do szacunku monarchii, jako władzy regulacyjnéj, szacunku tém pewniejszego, że był nieprzymuszonym. P. de Tocqueville powiedział że sądy przysięgłych przyczyniają się do edukacyi ludu. Tę prawdę zastosować można tém bardziéj do wolnéj administracyi. Anglia nam pokazuje że administracya jest szkołą w któréj każdy obywatel kształci się do służby publicznéj. W Anglii nie ma ministra któryby nie rozpoczął swéj kariery przez urząd sędziego pokoju. Każdy człowiek publiczny, czy to minister, czy lord, czy deputowany, przebył zawód praktyczny, poznał interesa narodowe, poznał charakter i namiętności swych współobywateli, a to stawiało go w możności rozstrzygania z wiadomością rzeczy kwestyi parlamentarskich.

Administracya angielska dokonała wiele dobrego, ale wyrodziła także i złe, to jest, liczne drobne nadużycia

---

[1]) Chartyści domagając się głosowania powszechnego, opierają się na prawie saxońskiém, które wydarło ludowi za Henryka VI.

okryła płaszczem zwyczaju; zawikłanie finansów hrabstw i miast, a ztąd przeciążenie ludu. ([1]) Policya miejska jest dobra, kiedy wiejska pozostawia wiele do życzenia. Policya na drogach żelaznych, zostawiona kompaniom, dała powód do tylu skarg, że parlament zażądał od rządu, aby *board of trade* był upoważnionym czuwać nad poddanymi królewskimi za pomocą rozporządzeń ogólnych. Niepłatność administracyi angielskiéj, przenosząc urzęda w ręce obywateli majętniejszych, sprawiła że lud właściwy, lud biedny, pozbawiony został bezstronnéj opieki. Autorowie angielscy lubią używać wyrazu lud, *people;* wykazują że lud trzyma na wodzy każdą władzę niepozwalając jéj czynić źle; jest to prawda, ale nieszczęściem tak się zawsze nie dzieje. Naprzód, pod względem politycznym, lud w Anglii ogranicza się do miliona elektorów na 27 milionach ludności [2]); pod względem zawodów, wszystkie godności wojskowe i duchowne spoczywają w ręku arystokracyi, ziemiaństwa i klas średnich; pod względem sądowniczym, lud zasiadający w małych sądach przysięgłych, składa się z obywateli dostatniejszych; toż samo się dzieje pod względem administracyjnym, albowiem lud biedny nie należy i niemoże należeć nawet do zgromadzeń parafialnych. Administracya angielska obchodzi tylko arystokracyą, ziemiaństwo i stan średni, lud zaś prosty jest i musi być z niéj wykluczony. Niezawodnie światło publiczne i duch religijny niepozwalają klasom wyższym zapominać o ludzie; tysiące instytucyi wzniosło się na jego korzyść; dobrodziejstwa olbrzymie, jakiemi niemoże się poszczycić rzeczpospolita francuzka, zsypane zostały na lud angielski [3]); to wszystko przecież

1) Zob: Exposé de l'administration générale et locale des finances du Royaume — Uni par M. A. Bailly.

2) Okręgi nadto wyborcze, mimo reformy r. 1832, są tak źle urządzone, że znajdują się okolice w których elekcya jest złudzeniem.

3) W Anglii, powiedzieliśmy już, przewaga istotna nie jest przywiązana ni do klasy ni do człowieka, lecz do ziemi i majątku; obowiązki jednak ziemi i majątku są tak wielkie, że bogate familie coraz bardziéj upadają.

nie niszczy złego jakie wypływa z braku czujnéj i bezstronnéj opieki publicznéj. We Francyi, gdzie rząd sam trudni się biednymi, klasy dostatniejsze nie widząc nędzy bliźnich ocierają się z nimi bez wstrętu, zachowują uczucie litości i towarzyskości; w Anglii przeciwnie, gdzie klasy dostatniejsze trudnią się codziennie biedniejszemi, gdzie nędza jest każdemu znajoma, wyrodziła się po za litością legalną, nieczułość i rozdział narodu na dwie klasy: bogatych i biednych, które mur chiński rozdziela. Można powiedzieć, że piękność administracyi angielskiéj obróciła się tylko na korzyść stanu średniego, że decentralizacya administracyjna potrzebuje ofiary. Co może być, n. p. piękniejszego nad instytucyą sędziów pokoju? Co wzbudziło więcéj uwielbienia w Vinckem [1]) jak administracya ziemska? a przecież, kto się jéj przypatrzy, widzi że ukrywa jeżeli nie nadużycia, to niedbałość i nędzę ludu rolniczego. Toż samo się dzieje w miastach z klasą przemysłową. Powie kto: złe pochodzi ze złych praw cywilnych, jak twierdzi p. Gustaw de Beaumont, z pozbawienia wieśniaków własności, i posunięcia systemu przemysłowego do ostatnich granic możebności; powie kto: toż samo złe panuje we Francyi, jeżeli nie po wioskach to po miastach; to prawda, ale przykład Francyi naucza że wdanie się rządu mogłoby wiele złego usunąć [2]). W Anglii jest przysłowie, które nikogo nie rumieni, że administracya opiekuje się tylko ziemią i gentlemanami, i że trudni się ludem kiedy idzie o dawanie jałmużny albo o powściągnienie zbrodni. Pod temi tylko względami administracya angielska jest wydoskonalona. Udzielanie jałmużny doszło do szczytu wyrachowania, a karanie kradzieży do szczytu drakonizmu.

Francuzi przypisują powyższe złe braku administracyi centralnéj, to jest, braku bezpośredniéj opieki rządu

1) Darstellung der innern Verwaltung von Groß-Britanien.

2) Administracya centralna francuzka nie zniosła ubóstwa, ale oświeciła lud. Prosty lud angielski w porównaniu z francuzkim jest bydłem. Przekonać się o tém można na uroczystościach publicznych dawanych w Londynie i Paryżu.

nad ludem. Tego samego zdania jest D'Israeli, torys młodéj Anglii, a krytyk dzisiejszéj społeczności angielskiéj. W przekonaniu jego, upadek ludu angielskiego, tak po wsiach jak po miastach, pochodzi z osłabienia władzy monarchicznéj, z wydania władzy politycznéj i administracyjnéj w ręce landokracyi i stanu średniego. W przekonaniu jego, oświata polega nie na administracyi obywatelskiéj, lecz na administracyi monarchicznéj, miarkowanéj rozumem i obyczajami. D'Israeli jest excentrycznym, bo pisze bez ogródki co myśli, nie troszcząc się co o nim powiedzą, ale jego opinie nie zawsze są bez podstawy. W przedmiocie np. o który tutaj chodzi, opinia jego wiąże się z tradycyą monarchii angielskiéj, któréj torysi pozostali wiernymi. Dlatego to Sir Robert Peel okazał się zwolennikiem centralizacyi w wielu gałęziach administracyi publicznéj. On to r. 1831 uregulował jałmużnę legalną, zcentralizował służbę celną i zaprowadził *policemen* na wzór gwardyi municypalnéj paryzkiéj; on to podprowadził zarząd miast pod regułę ogólną, utworzył rodzaj żandarmeryi po setnictwach, i jeżeli nie dokonał zamierzonego dzieła, pochodziło to z tąd, że dzisiejszy stan rzeczy nie pozwalał mu działać za pomocą rozkazów, lecz za pomocą rady, któréj wiele hrabstw nieusłuchało. Lord Brougham, inny torys, był za ustanowieniem trybunałów pierwszéj instancyi na wzór francuzkich.

Widzieć w torysach stronników administracyi centralnéj, byłoby zaiste błędem. Administracya centralna, jaką ma Francya, jest w oczach wszystkich bez różnicy anglików potworem, ale prawdą jest, że dążenie do wzmocnienia władzy królewskiéj, jakiego pragnie D'Israeli, pociąga za sobą koniecznie pewne ścieśnienie wolności miejscowych. Whigowie nie wywiesili chorągwi antycentralizacyjnéj, bo reforma administracyjna nie stała się hasłem stronnictwa; rzeczą jest przecież niezawodną, że gdyby dziś położoną była kwestya administracyjna, whigowie wystąpiliby w obronie wolności. Za centralizacyą nie jest nikt w Anglii, ale za reformą administra-

cyi są torysi i radykaliści. Radykaliści, wychodząc z przykładu Stanów Zjednoczonych, powstają na bezpłatność urzędów, któréj przypisują wszystkie szkody ludu. W rzeczy saméj bezpłatność urzędów administracyjnych i sądowych pociąga za sobą liczne małe opłaty, które, razem wzięte, są tak uciążliwemi, że prosty lud nie może szukać sprawiedliwości, że sprawiedliwość staje się tylko udziałem gentlemanów. Bezpłatność urzędów jest możebna tylko w właściwéj Anglii, w kraju anormalnie bogatym gdyż jest ojczyzną rentierów, schronieniem ludzi spanoszonych na przestworze kuli ziemskiéj [1]. W Szkocyi już urzęda są w pewnéj części płatne; w Irlandyi prawie wszystkie są płatne; a w Galii lud domaga się aby były płatnemi. W Galii lud domaga się jeszcze czegoś więcéj, bo obieralności urzędów, szczególniéj sędziów pokoju. Gdyby powyższe żądania otrzymały zaspokojenie, administracya angielska nie stałaby się centralną, ale zbliżyłaby się do administracyi Stanów Zjednoczonych.

O takiéj reformie ani myśleć można pod panowaniem torysów i whigów, reprezentujących pierwiastek arystokratyczny. Rzecz byłaby wykonalna dopiero z przyjściem do władzy odcienia radykalistów, zwanego szkołą Manchesterską czyli mieszczańską, któréj Cobden stał się apostołem. Szkoła ta, któréj stolica jest dziś w Birmingham, nie oddycha już samą przeszłością jak torysi i whigowie, lecz teraźniejszością. Opuszczając drogę historyczną powstaje ona na arystokracyą angielską, a przemawia za ludem. Szkoła ta przeprowadziła reformę prawa zbożowego która zubożyła arystokracyą, a podniosła lud i mieszczan. Jeżeli reforma prawa zbożowego się utrzyma, Anglia może przejść przez spokojną, ale wielką rewolucyą. Arystokracya angielska, raz zubożona, przestanie bydź arystokracyą majątku, co dotąd stanowiło jéj siłę, a zamieni się w *prostą arystokracyą urodzenia.* Zubożenie pozbawi ją broni przeciw zamiarom radykalistów i szkoły Manchesterskiéj, to jest, przeciw reformie prawa

---

1) Vincke podaje że r. 1806, 1021 osób zdeklarowało że mają przychody wyżéj 400 ,000 złp.

cywilnego na którém opiera się arystokracya angielska, przeciw obaleniu majoratów i wprowadzeniu nowéj warstwy mieszczan w stan ziemiański. Obalenie majoratów sprowadzi zdrobnienie własności ziemskiéj, powiększenie jéj przychodów i restauracyą klasy włościańskiéj [1]).

Każdy pojmuje że w takim stanie rzeczy, dzisiejsza administracya angielska nie będzie się mogła utrzymać. Zastąpi ją nie administracya centralna, jak we Francyi, do któréj Anglicy mają niezłomną odrazę, lecz administracya podobna do Stanów Zjednoczonych. Niezawodnie do takiéj przemiany potrzeba będzie długiego czasu, może wieków, ale przemiana jest prawdopodobna. Przewidział ją już Francis Horner w liście do lorda Jeffrey. Podług niego Fox był ostatnim whigiem, to jest arystokratą liberalnym; teraz przychodzi czas na klasę mieszczańską, klasę bogatą, światłą i rządną. Do takiéj rewolucyi dążył niegdyś Przegląd Westminsterski, redagowany przez uczniów Benthama: Huma, pułkownika Thompson, Roebucka, Williama Molesworth, i t. d. Dziś dąży do tego samego celu szkoła Manchesterska pod sterem Cobdena. Anglia dzieliła się dotąd *na stronnictwa, nie na klasy*. Arystokracya torysów opierała się na bankierach i kupcach; dziś szkoła Manchesterska uderza na obydwa odcienia arystokratyczne, i nieraz słyszeć można w Manchester albo w Birmingham pastora piorunującego z ambony na arystokracyą. W Parlamencie, rzeczy idą z większą względnością. Cobden trzymał z Robertem Peel, kiedy ten przeprowadzał reformę prawa zbożowego, a z whigami, kiedy lord Russel bronił reformy przeciw protekcyonistom; skoro jednak reforma stanie się nieodwołalną, nastąpi zapewnie że Cobden i jego zwolennicy obrócą się tak na torysów jak whigów. Wtenczas torysowie i whigowie połączą się po trzech wiekach rozdziału i *zajaśnieje demokracya angielska*, demokracya równie wielka jak arystokracya, bo potęga

2) Wyłożył to autor dzieła: The Aristocracy of Britain and the Laws of Entail sad Primogeniture. London, 1844.

jéj będzie owocem nie gwałtu i rewolucyi, lecz pracy, rozumu i zasługi. Demokracya ta nie będzie w niczém podobną do demokracyi francuzkiéj; opierać się ona będzie na religii, moralności i *hero-worship*, trzech własnościach charakteryzujących gmin angielski. Anglicy mogą przybrać charakter mieszkańców Stanów Zjednoczonych, ale nieprzybiorą nigdy charakteru Francuzów [1]).

Anglia wzbudza pospolicie w Polsce albo uwielbienie albo odrazę. Są to za wyłączne opinie, które czas jest miarkować. Ci co wielbią Francyą z powodu reform demokratycznych zaprowadzonych przez rewolucyą, wystawiają pospolicie Anglią za stek arystokratycznych nadużyć, niezważając, że czyniąc podobnie, przyjmują za swoje, wyobrażenia Francuzów, którzy do nienawidzenia Anglii mają inne przyczyny. Aby wyzwolić się z pod naśladownictwa, niezapominajmy że jeżeli rewolucya francuzka z r. 1789 oddała zasługę ludzkości, to rewolucya angielska z XVII. wieku także ją oddała. Anglia ogłosiła równość praw, równy przystęp do urzędów i godności, na dwa wieki przed innemi narodami, wtenczas kiedy szlachta francuzka stanowiła ciało uprzywilejowane na którém opierała się konstytucya polityczna całego kraju. Anglia uczyniła to w sposób oryginalny i wcale niepodobny do tego jakiego użyła rewolucya francuzka, nie postępowała drogą filozoficzną lecz historyczną, trzymając się doświadczeń stopniowych *experience and improvement*, postępowała zwolna, z obawy nadwerężenia tradycyi, które stanowią podstawę narodowości; postępowała na ołowianéj podeszwie doświadczenia, jak mówił Fox, bo lękała się nadwerężyć praw które szanowała i czciła; Anglia zaiste ma plamy które ją szpecą, ma tradycye które są albo śmiesznością albo powłoką ukrywającą wielkie nadużycia; Anglia ma wiele do czynienia,

1) Chartyści n. p. nie domagają się głosowania powszechnego jakie było zaprowadzone we Francyi r. 1848, ale głosowania ojców familii, gospodarzy, ***householder***, co przypuszcza moralność i życie familijne.

ma do przebycia wielkie trudności; ale to nie ujmuje w niczém zasługi Anglii, może ją nawet podwyższa. Anglia stoi śmiało na czele oświeconych narodów, bo w reformach jakich dokonała, dała dowód cierpliwości, taktu, wytrwałości i rozumu; bo zmieniając konstytucyą średniowieczną na nowożytną, nie zerwała z przeszłością, nie nadwerężyła swych dziejów, nie rozwiała na cztery wiatry swéj narodowości; bo jest nowożytną a zarazem starożytną, bo jest samą sobą; bo w obec Francyi miotanéj przez rewolucye, jest baczną w czynie, trzeźwą w myśli, religijną w sercu; bo przechowała jako świętość to co stanowi podstawę każdéj społeczności: wiarę, familią, własność, wolność i równość w obliczu prawa.

Ci jednak którzy wielbiąc bezwzględnie Anglią, radziby naśladować na stałym lądzie jéj instytucye, popełniają błąd nie mniejszy. Zapominają, że instytucye angielskie nie przedstawiają normy którąby można naśladować, że polegają raczéj na zwyczajach aniżeli na piśmie, to jest, polegają na charakterze narodowym. Zaiste, dobre instytucye podnoszą charakter narodowy, ale instytucye najlepsze nie obejdą się bez charakteru narodowego. Anglia miała złe instytucye, była pogrążona w anarchii w skutek kilkukrotnych najazdów, a jednak, pomimo tych trudności potrafiła, jak pracowita pszczoła, wydobyć miód z trucizny. Było to następstwem charakteru narodowego, następstwem przymiotów moralnych Anglików, szczególniéj tego zdrowego sensu wkorzenionego we wszystkie klasy, który cudzoziemców tak zadziwia.

Ograniczając się do saméj administracyi angielskiéj, nie można zaprzeczyć że ona podniosła charakter Anglików, ale z drugiéj strony, administracya Stanów Zjednoczonych pokazuje że ten charakter miał już w wieku XVI. niewzruszone posady w ludzie angielskim. Decentralizacya administracyjna była więc w usposobieniu Anglików; był to owoc nie samego protestantyzmu, jak twierdzi p. Chasles, czego dowodem są nieudolne Niemcy, lecz uczucia indywidualności i stowarzyszenia posuniętego do najwyższego kresu potęgi. Decentralizacya administra-

cyjna była środkiem wielkości Anglii, kiedy we Francyi i Polsce była powodem osłabienia albo upadku. Punkt ten dotyczy najważniejszéj części nauki administracyjnéj, którą możnaby nazwać filozofią administracyjną, to jest, zastosowania administracyi do rasowości. Rasa angielska podnosiła się w miarę jéj decentralizowania, a rasa francuzka w miarę jéj centralizowania. Za Ludwika XV. i XVI., Francya była w nieładzie i upadku, a za Napoleona, w chwili największego jéj zcentralizowania, była na najwyższym szczeblu potęgi. Francya potrzebuje więc administracyi centralnéj, ale centralizacya zbyteczna osłabia i enerwuje indywidualność, tak człowieka jak gminy i prowincyi. To pokazuje że Francya potrzebuje środka między centralizacyą Napoleońską a decentralizacyą angielską. Przyjdzie zapewne czas, że i Anglia znajdzie środek w tym przedmiocie. Wtenczas administracya francuzka i angielska przyjdą, jeżeli to podobna, do norm właściwych, które będą wyrazem ich charakteru.

Przedmiot administracyi angielskiéj jest zbyt trudny, aby jego wykład mógł być zupełny. Probowało téj zagadki wielu, i nikt nie sprostał zadaniu. Niniejsza praca nie może być więc tylko niedokładną, pomimo że ją oparliśmy na pracach poprzedników i na spostrzeżeniach zebranych przez nas na miejscu; jednakże, jeżeli się nie łudzimy, dotyka ona zrozumiale wszystkich punktów które na względzie mieć należy w sądzie o administracyi angielskiéj. Pozostaje teraz nadmienić słowo w odpowiedzi na zapytanie: czy Ignacy Potocki pomylił się naśladując r. 1791 administracyą angielską. Administracya centralna daje narodowi stanowisko wojenne, a decentralizacya administracyjna daje stanowisko pokoju Naród, wystawiony ze samego położenia na wojny, albo zagrożony w swéj niepodległości, nie może więc obejść się bez centralizacyi. W takim stanie znajdowała się Polska r. 1791. Inny powód wpływający na sąd o naśladownictwie Ignacego Potockiego, zależy od zapytania: czy naród wyzwolił swój lud lub nie?

Jeżeli lud, szczególnie wiejski, zostaje w średniowiecznéj zależności, jeżeli życie gminne jest słabe, potrzeba koniecznie pomocy administracyi centralnéj. Takim trybem wyzwoliły swych włościan Niemcy i Francya. Reforma więc administracyjna, probowana r. 1791 przez Ignacego Potockiego na zasadach administracyi angielskiéj, jakkolwiek chwalebna i jedynie wówczas możebna, dlatego że nie obalała konstytucyi szlacheckiéj i nie restaurowała praw ziemian i włościan, nie odpowiadała potrzebie Polski [1]). Reforma przeciwnie Napoleona, dokonana r. 1807 na zasadach administracyi francuzkiéj, chociaż gwałciła naszą historyczność, była konieczną i mogła stać się dobroczynną, albowiem łączyła klasy, podnosiła zasoby ekonomiczne i wskrzeszała narodowość polską. Do decentralizacyi administracyjnéj mają prawo tylko narody pewne swéj niepodległości, które wyswobodziły lud wiejski i które wyrobiły w sobie charakter narodowy. Aby używać dobrodziejstw wolnéj administracyi, nie dość zatém znać administracyą angielską, trzeba sobie jeszcze na nią zasłużyć.

Antoni Szymański.

---

[1]) Ig. Potocki nie mógł naśladować administracyi centralnéj francuzkiéj, gdyż jéj jeszcze wówczas nie było.

Lichtfreundy w związku z protestantyzmem niemieckim.

(*Dokończenie.*)

IV.

Chęć połączenia dwóch najważniejszych protestanckich wyznań (luteranów i reformowanych), aby zapobiedz zgorszeniu i powiązać rozstrzelone siły do skuteczniejszego na zewnątrz działania, ogarnęła już była dawno rząd pruski. Pierwsza myśl unii przebija w rozkazie gabinetowym z dn. 18. Czerwca 1798 r. Od r. 1808 zaczynają się zjawiać częstsze o niéj wzmianki tak w pismach peryodycznych, jak i w dziełach poważniejszéj treści. Katastrofy polityczne, wojny zewnętrzne, odwróciły były na czas pewien uwagę rządu od spraw religijnych; nie zapomniano jednak o nich, owszem po przywróceniu pokoju z podwójną gorliwością wzięto się do rzeczy. Reskryptem gabinetowym z dnia 17. Września r. 1817 ogłosił Fryderyk Wilhelm III. połączenie obydwóch wyznań, co do administracyi i liturgii. Dziwnym, a w dziejach religijnych niesłychanym obyczajem wykomenderowano batalion gwardyi królewskiéj do katedry na pierwsze podług nowego rytuału nabożeństwo. Sądzono że taki rozkaz i taki przykład pociągnie umysły, zniewoli serca. Nawet dość religijni ludzie, zasady a zwłaszcza interesa protestantyzmu dokładnie znający, pochwalali sposób; mię-

dzy innymi Schleiermacher. Dziwna rzecz, że umysł równie wysoki mógł w tak wielką popaść omyłkę. Wiedział on dokładnie, że połączenie na drodze dogmatycznéj zgody było niepodobném. Jakoż skoroby nastała zgoda na to by odrzuciwszy tak luterskie jak kalwińskie symbola, nowe, obu wyznaniom wspólne ułożyć, to rzeczywiście pojawiłoby się tylko było nowe odszczepieństwo, nowa sekta. Gdzież bowiem sąd, gdzie władza mająca prawo rozstrzygać o doskonałości a przynajmniéj o względnéj wyższości ostatniego symbolu? Przyszło zatem obejść trudność któréj obalić nie było podobna. Utworzmy, mówił Schleiermacher wraz z drugimi twórcami unii, wspólną dla obydwóch wyznań liturgią, zbierzmy lud na kazania do wspólnych kościołów, złączmy administracyą w jednych konsystorzach, a różnice dogmatyczne zatrą się z czasem. Tak rozumować znaczyło tyle, co liczyć na obojętność ludu i na upadek gorliwości religijnéj. Jak podbita prowincya wtedy dopiero wynarodowić się daje, kiedy żywotny pierwiastek narodowy w mieszkańcach obumarł, tak rozmaite wyznania nie prędzéj połączą się za pomocą obrządków i administracyi zewnętrznéj, aż po wygaśnięciu religijnego ducha. Pokazało się to niebawem w praktyce. Unią przyjmowano z łatwością tam tylko, gdzie racyonalizm przez systematyczne rozszerzanie obojętności rolę do niéj przysposobił. Gminy zachowujące jeszcze wiarę dogmatyczną stawiły opór silny, niespodziewany. Dr. Scheibel (w Wrocławiu) z religijnego, a v. Ammon z filozoficznego stanowiska przeciw unii i pismom Schleiermachera wystąpili. Wieśniacy zwłaszcza uporczywie się sprzeciwiali postanowieniom królewskim, nie chcieli uznać duchownych podejrzanych o sprzyjanie unii, nie uczęszczali na nowe nabożeństwa, burzyli się. Nie pomagał przymus policyjno-wojskowy [46]), nie pomógł su-

---

46) Fryderyk Wilhelm III. dla przeprowadzenia unii posuwał się aż do gwałtu — nasyłał opornym wojsko, odbierał żandarmami klucze od kościołów, etc. Wydarzały się przytém oburzające nadużycia nawet ze strony wyższych urzędników. Wiele familii wyprzedawało się w Prusach, chcąc

rowy rozkaz obowiązujący do nowéj agendy nawet gminy staro-luterskie. Zniechęcony trudnościami wszelkiego rodzaju, musiał rząd wreszcie ogłosić zupełną w rzeczach wiary tolerancyą (rozkazem gab. z dnia 28. Lut. 1834 r.). Unią uznano za związek zewnętrzny w którym charakterystyczne różnice obu wyznań nie zacierają się, ale zgodnie obok siebie istnieją. Pozwolono w końcu gminom zupełnie z unii wyłączać się.

Ułożenie formularza przysięgi dla duchownych unii przedstawiało niezmierne trudności. Do czegoż bowiem zobowiązać kandydata, kiedy symbola luterskie i kalwińskie, istniejące obok siebie i zarówno uznane, nie zgadzają się w wielu punktach, i to punktach wielkiéj wagi? Nie podobna było przyjąć symbolów jednego wyznania bez obrazy i zniechęcenia stronników drugiego. Nowa trudność, nowy wybieg. Zobowiązano ich naprzód, jakeśmy wyżéj widzieli (47) do trzymania się symbolów protestanckich „o ile się też z sobą zgadzają". Takiego zapewnienia domagano się od kandydata w przysiędze ordynacyjnéj, po egzaminie uniwersyteckim składanéj. Miało ono dawać gwarancyą rządowi i unii, że kandydat nie jest przeciwny zjednoczeniu. W wokacyjnéj zaś przysiędze, czyli téj którą duchowny składa gminie wchodząc na posadę pastora, wolno mu było przyrzec, że się zastosuje bardziéj do ksiąg jednego lub drugiego wyznania, stosownie do zwyczaju parafian, lub własnych swoich przekonań. Tym sposobem zdawały się być zabezpieczone obie strony: rząd wraz z unią i wyłączne przekonania poddanych; mniemano, że trudność usunięto szczęśliwie. Uciszyła się téż istotnie na czas pewien walka, spory przy obejmowaniu probostw ustały, ale rzecz cała koniec końcem wypadła nie na korzyść reli-

---

przed uciskiem religijnym ujść do Ameryki. Że liczne emigracye martwiły króla, zakazano bez pozwolenia ministeryalnego wyjeżdżać. Pozwolenie zaś przewlekano tak długo, aż proszący straciwszy cały kapitalik nie mógł zeń zrobić użytku. (Patrz: Zur Beurtheilung des Min. Eichhorn).

47) Patrz część pierwszą Lichtfreundów.

gii, jak myślano, ale na zysk niewiary i obojętności. Jakoż jasno widać, że dwa te przyrzeczenia, dwie przysięgi, albo wyłączają się, albo też neutralizują nawzajem. Z jednéj więc strony wątpliwości sumienia, z drugiéj indyfferentyzm, stały się nieuchronne. Dodać jeszcze należy, że w ostatniéj modyfikacyi formularza przysięgi, tak jak go ministerium w r. 1822 podało, nazwano symbole protestanckie *normą wiary* (Glaubensnorm). Wyrażenie to, myśl o tradycyi katolickiéj zbyt widocznie nasuwające, narobiło wiele hałasu. Oburzyli się orthodoxi i racyonaliści, i już w r. 1827 czuł się rząd zmuszonym nienawistne wyrażenie wykreślić. Mówiła więc od tego czasu przysięga o pismach zwyczajowych (herkömmliche Schriften). Nowa to jest i ciężka dla symbolów klęska. Wypowiedziano publicznie przez tę odmianę ich niemoc, ich nicość, zniżono je do rzędu komentarzy. Okoliczność ta znowu mocno zasadę protestanckiéj prawowierności podkopała. Jakoż każdy co zna cokolwiek historyą chrześciaństwa, przyznać musi, że żadne jego wyznanie nie opiera się na samém Piśmie ś., że owszem z biblii najrozmaitsze powstały herezye. Zatem nie Pismo wykładać się dające, jak racyonalizm twierdzi, ale wyrażone i objaśnione Pismo Ś. musi być każdego wyznania podstawą. Na to zgadzają się z nami i protestanccy prawowierni teologowie. Nie ma tylko zgody na to, czy wykład pisma a po prostu tradycya kościelna ma być stałą, ciągle obowiązującą jak u katolików, czy też zmienną podług wyobrażeń czasu i postępów nauki jak u protestantów. Jesteśmy przekonani, że historya w czasie na korzyść katolicyzmu rozstrzygnie. Nim to jednak nastąpi, obaczmy jakie ciężkie wysilenia robić musiała w ostatnich czasach prawowierność protestancka, aby sprzeczność osobistéj wolności z powagą symbolów jako tako pogodzić, aby z niebezpieczeństwem nawet zasad protestantyzmu przesunąć się wązką ścieżką dzielącą kościół katolicki od racyonalizmu.

Od r. 1802 zwrócił rząd pruski pilniejszą uwagę na ułożenie i ulepszenie stosunków kościelnych. Ustanowiona

ku temu celowi w czasie wojny o niepodległość (w roku 1814) specyalna komisya żądała wprowadzenia ścislejszéj karności, powiększenia duchownéj władzy i częstszego zwoływania synodów. Reskrypt z roku 1816 ustanowił w téj myśli synody powiatowe i prowincyonalne. Te ostatnie, złożone z samych superintendentów prowincyi, straciły zaraz w początku wszelki wpływ na umysły i od r. 1819 już więcéj zwoływane nie były. Dopiero spór z Lichtfreundami którzy się ciągle wolą gminy i opinią publiczną zasłaniali, zmusił rząd do szukania podpory w narodzie. Zwołano zatem w r. 1843 synody powiatowe, a w r. 1844 prowincyonalne. Ostatnie składały się obecnie oprócz superintendentów, z prawa w nich zasiadających, z deputowanych powiatowych. Rezultat narad podaliśmy w treści już dawniéj [48]). Wreszcie w r. 1846, a zatem jeszcze przed potępieniem i usunięciem z urzędu Uhlicha i innych Lichtfreundów, powołano tak zwany Generalny synod do Berlina na dzień 2. Czerwca. Skład tego synodu zbliża się bardzo do połączonego sejmu, zgromadzonego późniéj na mocy ustawy z 3. Lutego (1847). I tam także starano się jak najmocniéj o zachowanie wpływu z góry, o zapewnienie większości partyi rządowéj. Na siedemdziesięciu pięciu członków synodu, ośm było N. Prezesów prowincyi, ośmiu generalnych superintendentów (same figury rządowe), sześciu profesorów teologii i sześciu prawa, obranych przez odpowiednie fakultety uniwersytetów pruskich, — po trzech ludzi religijnych z każdéj prowincyi, których synod prowincyonalny wybierał z liczby osiemnastu kandydatów podanych przez N. Prezesa i gen. superintendenta, resztę (dwudziestu trzech) rząd sam dowolnie mianował.

Tak potwornie ułożony synod miał raczéj pozór przybocznéj rady królewskiéj, aniżeli religijnego zgromadzenia. Wiele miast (Magdeburg, Halla, Królewiec) protestowało przeciw prawomocności uchwał jego. On sam głos swój za doradczy tylko uważał i rzeczywiście innego głosu

---

48) Obacz część pierwszą.

nie miał. Zły skutek pokazał się oczywiście. Protestacye Uhlicha, lubo potępione przez synod, zyskały licznych zwolenników i obrońców, a postępowanie konsystorza z Lichtfreundami nabrało w oczach ludu pozoru niewolniczéj uległości dla partyi pietystyczno-królewskiéj

Trzy przedmioty zajęły przedewszystkiem uwagę członków gener. synodu: ułożenie lepszego formularza przysięgi, bliższe oznaczenie unii i rzucenie fundamentów do nowéj, trwalszéj budowy protestanckiego kościoła. O Lichtfreundach niczego wyraźnego nie powiedział synod, niczego też stanowczo prawomocnego powiedzieć nie mógł; starał się tylko przysięgę ordynacyjną tak ułożyć, iżby zbyt wyraźny racyonalizm nie znalazł w protestanckim kościele miejsca dla siebie. Zbyt wyraźny, mówimy, gdyż protestantyzm chcąc go zupełnie wytępić, musiałby usunąć połowę swoich duchownych, musiałby się zaprzeć sam siebie. Racyonalizm powstał wraz z odrzuceniem powagi kościoła i tylko przez zwrot do niéj upadnie. Wielka też ostrożność, wielka niepewność cechuje każdy krok protestanckich teologów w téj kwestyi [49]).

Większa część synodów prowincyonalnych (w r. 1844) oświadczyła się była przeciwko ścisłemu zobowiązaniu

49) Na posiedzeniu 19tém mówi komisya: „Zobowiązanie „do symbolów rozciąga się tylko o tyle, o ile treść ich z bi-„blią się zgadza... formularz przysięgi zawieraćby więc tylko „powinien kilka głównych zasad Pisma Ś., których wykład „wolnemu sądowi pozostawić należy.“ A tymczasem na 18téj sesyi powiedziała była: „że kościół protestancki nie na wy-„kładać się mające, ale na wyłożone już Pismo Ś. powołuje „się, że zobowiązanie do Pisma bez symbolu znaczy tyle, co „zobowiązanie do symbolów bez Pisma.“ Jaka uderzająca sprzeczność! *Sion* ma słuszność mówiąc: „Widoczna więc, „że protestantyzm, skoro tylko przyjdzie do oznaczenia zasady „swojéj i płynących z niéj wyników, przedstawia się jako ży-„jąca niekonsekwencya, w któréj najsprzeczniejsze pojęcia ró-„wne uznanie znajdują. Spokojność, z jaką on patrzy na te „wszystkie przeciwieństwa w zasadzie i skutkach, nie myśląc „nawet o zabezpieczeniu się przed chmurą co mu burzą grozi, „daje się jedynie wytłumaczyć wpływem filozofii heglowskiéj, „która, jak wiadomo, z połączenia nicości i bytu czysty byt

do symbolów. Zgodziła się na to również większość gen. synodu. Obradującym chodziło bardzo o to, żeby zapewniając powagę symbolów nie obrazić tak nazwanéj wolności ewangelickiéj, żeby nie tamować tego, co oni mianują samoistnym rozwojem kościoła. Trzeba odróżnić heterodoxye od herezyi, mówił Sydow: pierwsze dotyczą różnicy w mniéj znaczących ustawach chrześciaństwa, drugie obalają prawdy jego zasadnicze. Potępiajmy więc herezyą, ale dozwólmy zarazem heterodoxyi w całéj obszerności i znaczeniu, jeśli nie chcemy zatłumić życia w kościele naszym. Należy taką ułożyć przysięgę, coby duchownych ani przez zbytnią ścisłość do obłudy wiodła, ani przez luźność do zupełnéj negacyi wiary uprawniała. Za zdaniem tém poszła ustanowiona od zgromadzenia komisya, poszedł synod cały, Uznano więc różnicę heterodoxyi od herezyi [50]) przyjęto teoryą Semlera o prawdach zasadniczych i przypadkowych w chrześciaństwie Kto chce, mówi komisya, urząd duchownego w kościele protestanckim otrzymać, musi uznać, że nie ludzkie, ale boskie opowiadać ma słowo w prorockich i apostolskich pismach zawarte; musi się zobowiązać do tłumaczenia go podług wzoru pism reformacyi, które Jezusa za zbawiciela i odkupiciela ludzkości uznają; musi wierzyć w Boga Ojca, wcielonego Boga Syna i w Ducha Ś., trzecią osobę Trojcy Ś.; musi w reszcie za prawdę uznać, że zbawienie nasze nie od dobrych uczynków, ale jedynie od łaski bożéj zależy.

W tym duchu zredagowała komisya nowy formularz przysięgi. Starała się ona z jednéj strony, żeby pismom

„wywodzi i moc sprzeczności łamać usiłuje. Wpływ téj filo„zofii na teologią protestancką jest ogromny i zaspokaja dziś „umysły, podobnie jak je niegdyś zaspokajało piorunowanie „Lutra na diabelskość rozumu ludzkiego"

50) Es wurde einmüthig verlangt, daß in Fragen, welche die Ueberschreitung der Lehrfreiheit betreffen, nach diesem Unterschiede (praw zasadniczych od mniéj ważnych) verfahren, Heterodoxie und Häresie unterschieden werden solle, worin auch bereits die Anerkennung der Erkennbarkeit dieser Unterschiede lag. A. L. Richter. Verhandl. der preuß. General-Synode.

XVI. wieku mocy ściśle obowiązującéj nie przyznać, bo wtedy bodaj który z członków synodu mógłby daléj z spokojném sumieniem urząd duchowny piastować, ale zarazem z drugiéj nie obedrzeć symbolów ze wszelkiéj moralnéj powagi, gdyż to nawet w razie najściślejszego zobowiązania do Pisma Ś. rozbiłoby protestancki organizm [51]). I słusznie powiada referent komisyi, że kościół jako towarzystwo już istniejące ma prawo, przyjmując do swego grona nowego kandydata, nie tylko powoływać się na Pismo Ś., ale nadto wskazać mu, co jest treścią i istotą tegoż, czyli innemi słowy zobowiązać go w pewnym względzie do trzymania się tradycyi protestanckiéj, która (jak on się wyraża) nie skrzepła na wzór katolickiéj, w samodzielne ciało, ale się wiecznie u źródła Pisma Ś. odmładza [52]). W skutek tego przekonania wymazano z formularza wyrażenie mianujące symbola protestanckie *normą wiary*, bo podług pojęć reformacyi symbola są *wiary* tylko *świadectwem*, a zaś *wykładu* jéj *normą* [53]). Nie chciano przeto w połączonym kościele (unii) zobowiązywać duchownych do symbolów „w wielu punktach wręcz sobie przeciwnych.“ Spodziewano się wreszcie w następujący sposób dostatecznie przed herezyą zasłonić. Formularz przysięgi czyli raczéj przyrzeczenia podzielono na dwie części, zupełnie różne. W pierwszéj, czyli t. n. formalnéj zobowiązano duchownych do wiary, że Pismo Ś. mieści w sobie prawdziwe słowo boże, zalecono im wykładać toż słowo z symbolami tak powszechnego jak i ewangelickiego chrześciaństwa. One albowiem są świadectwem zasadniczych fa-

51) Wird die Verpflichtung und die Hinweisung auf das Wort Gottes, welches in den heil. Schriften alten und neuen Testaments enthalten, genügen? Dies verneint die Commission. St. 191. tamże.

52) Str. 226 tamże. Obecny czas i historya, odmładzania się tego nie dowodzą. Podobne zaś wyobrażenie o tradycyi prowadzi do luźnych pojęć o kościele, Piśmie Ś. i moralnych obowiązkach.

53) Str. 153 i 155 tamże. Ile tu subtelności, ile zamieszania!

ków i prawd zbawienia, one wzorem prawdziwéj wiedzy chrześciańskiéj [54]). W drugiéj zaś, materyalnéj części, starano się skreślić zarys prawd chrześciańskich, do których uznania obowiązanym miał być duchowny pod karą utraty urzędu a nawet wyłączenia z kościoła. Treść ich zgadza się zupełnie z zasadami komisyi, wymienionemi już wyżéj po krótce [55]). Nie zamierzył sobie synod w części téj wyczerpnąć zupełnie zasadniczych prawd i faktów chrześciańskich, usiłował on tylko podać je w jak najogólniejszéj formie, raz aby granice kościoła swego ile możności rozszerzyć, a powtóre by zmniejszyć odpowiedzialność duchownych, a przestępujących do tém surowszéj kary pociągnąć.

---

54) Daß er in derjenigen Auslegung der heil. Schrift, welche auf dem Gesetze der Sprachen durch den heiligen Geist geschieht, unter Gottes Beistand treulich und fleißig fortfahren wolle, in Einigkeit mit den Bekenntnissen der allgemeinen Christenheit (mowa tu o znanych trzech symbolach wspólnych katolikom z protestantami) und mit den Bekenntnißschriften der evangelischen Kirche, als Zeugnisse der Grundthatsachen und Grundwahrheiten des Heils und Vorbildern gesunder Lehre. Str. 382. tamże.

55) Ta część formularza tak brzmi dosłownie: Und da diese Grundthatsachen und Grundwahrheiten vornehmlich in Folgendem bestehen, so frage ich Euch, ob Ihr mit der allgemeinen Christenheit auf Erden bekennt Gott den Vater, den Sohn und den heiligen Geist? Sodann: ob Ihr mit der gesammten evangelischen Kirche — zum Ersten Jesum Christum, den ungebornen Sohn Gottes, der sich selbst entäußerte und Knechtsgestalt annahm, bekennt als den einigen Mittler, sintemal den Prophet von Gott, mächtig von Thaten und Worten, der Frieden verkündigt hat, und als den einigen Hohenpriester, der uns durch seinen Tod mit Gott versöhnet hat, anheimgegeben ist um unserer Sünden willen und um unserer Gerechtigkeit willen aufgewecket, darnach sich gesetzt hat zur Rechten der Majestät in der Höhe und herrschet ewiglich als das Haupt der Gemeinde, die er sammelt und erhält mittelst des Wortes und der heiligen Sakramente durch den h. Geist, der von ihm gesendet und unsere Herzen uns Jesum nennen lehret unsern Herrn und die Gnade erkennen, so uns von ihm geschenkt ist? — Zum Andern, ob Ihr im Glauben an solche frohe Bottschaft von der freien Gnade Gottes in seinem geliebten Sohne bekennen und bezeugen wollet, daß wir allzumal Sünder sind, aber Kinder Gottes werden durch den Glauben an

Jednogłośnie uznał synod, że unia oparta jedynie na administracyi i liturgii utrzymać się nie może [56]). Czuł on dobrze, że mianować ją tylko przeciwniczką katolicyzmu, anarchii, i herezyi, jak to dotychczas czyniono, znaczyło opierać ją na samém przeczeniu, nie dając żadnéj twierdzącéj podstawy; gdy tymczasem podstawa ta zdaniem synodu oddawna istnieje, znaną jest w nauce, żyje w przekonaniu kierowników protestantyzmu i tylko

Christum, in welchem wir gerechtfertigt vor Gott aus Gnaden ohne Verdienst der Werke, das Pfand des unvergänglichen Erbes haben, das behalten wird im Himmel; und daß wir durch denselben Glauben, der in der Liebe kräftig die Früchte des Geistes hervorbringt, in täglicher Erneuerung des Herzens vorbereitet werden auf den Tag Jesu Christi. Str. 383 do 384 tamże.

Przytoczyliśmy z umysłu ten ciężko uczony formularz, gdyż on dokładnie maluje stanowisko orthodoxów protestanckich. Co za niejasność, jaka wyszukana pedanterya! I tacy ludzie myślą wlać wiarę w serca ludowe. Mimowolnie nasuwa się na myśl prostota naszego trydenckiego „credo.“ Zasadnicze prawdy i fakta chrześciaństwa oznaczone są podług zasad zmarłego niedawno Neandra.

W dziełku: „Worte des Friedens über die Gegensätze der Zeit" (Berlin 1845) mówi on między innemi, że chrześcianin prawdziwy wierzyć powinien: daß Jesus Christus, außer welchem ein anderer Grund nicht gelegt werden könne, sei die geschichtliche Person, welche daß Heil der von Gott entfremdeten Menschheit begründet hat. Als nothwendig wird dabei vorausgesetzt der Glauben an die Realität dieser Thatsache; also daß dieser Jesus wahrhaftig gestorben ist zur Erlösung der Menschheit; daß er um unserer Sünde willen dahingegeben und unserer Gerechtigkeit willen auferweckt ist, und nachdem er in einer über den Bereich des Todes erhabenen Form des Daseins seinen Jüngern wieder erschienen, zum Himmel sich erhoben hat und als Haupt- und Mittelpunkt der nach seinem Bilde zu gestaltenden Menschheit immer fortwirkt mittelst der Erweisungen seines Geistes." Dodaje potem, że wszelki racyonalizm wychodzący po za tę zasadę przestaje opierać się na gruncie protestanckiego kościoła. Jest to zupełną prawdą, ale mimo wielkiéj osobistéj powagi Neandra nie wywarła wpływu na lud protestancki, gdyż na rozumie jedynie opiera się i tylko naukową daje gwarancyą.

56) Str. 357 tamże.

wyraźnie wypowiedzianą być powinna, żeby większą liczbę gorliwych pod swą chorągiew ściągnęła.

Nie możemy, mówi referent komisyi, wszystkich tych przypuścić do Unii, co porówni z nami na biblii się opierają, boć oni mogą błędnie ją rozumieć i tłumaczyć, ale tych tylko jedynie, co dzielą z nami treść i wykład wiary. Katolicyzm i dogmatyka scholastyczna w tém, jak on sądzi, zbłądziły, że ustanowiwszy raz na zawsze treść nieodmienną i nieodwołalną, powciągały w nią za wiele drobnostek, których przyjęcie lub odrzucenie jedności wyznania nie kazi. Uszła jéj uwagi nieuchronna w żyjącym organizmie konieczność pewnych rozmaitości i odmian; heterodoxią pomieszano z herezyą. To miało przyprowadzić katolicyzm do zbytecznego formalizmu, do wyłączenia wszelkiéj, choćby i najlżejszéj odmiany. Protestantyzm, powiada daléj referent, obalił zewnętrzność kultu na korzyść wnętrza wiary, zgotował panowanie duchowi nad formą, jego więc jest naturalném zadaniem określić granice i prawa uczciwych różnic, zjednoczyć rozmaite odcienia chrześciaństwa pod jeden sztandar chrześciańskiego ducha [57]).

Obietnica brzmi bardzo pięknie, to prawda, ale jestże do wykonania podobna? Żebyśmy o tém przeświadczyli się lepiéj, poznajmy bliżéj co zrobił synod dla utrwalenia Unii, jaką podstawę pozytywną wynaleźć dla niéj zdołał.

Zaprzeczyć trudno, iżby wszystkie odcienia reformacyi XVI. wieku nie miały wiele podobieństwa do siebie, Zbliżają się one nietylko przez niechęć dla katolicyzmu,

---

57) Jak dalece zdanie to zgadza się z kardynalnemi pojęciami protestantyzmu dowodzi najlepiéj następujące miejsce z Apologii: (Art. IV.) Haec ecclesia proprie est columna virtutis. Retinet enim purum evangelium et, ut Paulus inquit, fundamentum, hoc est veram Christi cognitionem et fidem, etsi sunt in his multi imbecilles, qui supra fundamentum aedificant stipulas perituras, hoc est quasdam inutiles opiniones, quae tamen quia non evertunt fundamentum tunc condonantur illis, tum etiam emendantur.

łączą nie samą negacyą tradycyi i powagi kościoła, ale posiadają nadto pewne wspólne twierdzenia. Jednocześnie prawie i z równych niemal pobudek powstałe, jedną wywołane myślą wyszły ze wspólnéj zasady i prawie u jednego zatrzymały się kresu. Najśmielsze nawet nowatorstwa ówczesne nie zrywają zupełnie z przeszłością, nie obalają wszystkich dogmatów chrześciaństwa. Ztąd pochodzi względna zgodność, ztąd podobieństwo luterskiego i kalwińskiego wyznania. Tu jedna uwaga. Owo podobieństwo, owa zgoda, nie mogły być ani zupełne, ani trwałe. Sam protestantyzm przyznaje że podstawa wspólna wszystkich jego odłamów: Pismo Ś., nie daje gwarancyi jedności wiary i wyznania. Rzeczywiście musiało powstać tyle oddzielnych konfessyi, ilu było znakomitych reformatorów wykładających po swojemu biblią. Z czasem znów namnożyło się jak oczywiście nieskończenie wiele odcieni wewnątrz pojedynczych konfesyi. Żywotną tedy kwestyą Unii było udowodnić, że odcienia te i różnice zachodzą tylko w kwestyach podrzędnych, że nie dotyczą zasadniczych prawd chrześciaństwa, że punkta sporne w porównaniu ze wspólnemi tak są drobne, iż znikają przed okiem jakoby plamy słoneczne. Można w ten sposób obejść zawady, ale nie łatwo rozpasania i obojętności uniknąć. Członkowie synodu goniąc za pozorem jednoty, zapomnieli o jedności rzetelnéj, prawdziwéj, ugruntowanéj nie na pokryciu nieporozumień, ale na wyświeceniu spornych punktów i szczerém pogodzeniu się. Zapomnieli, że stanowić Unią bez zgody na wszystkie dogmata wiary, bez ułożenia pojednawczego symbolu, jestto podawać racyonalizmowi broń w rękę, który i tak już oddawna zasady Unii do obalenia powagi dogmatów, do podkopywania symbolów nadużywał. Wyznania kalwińskie i luterskie zgadzają się w mnogich i ważnych zasadach, co nie przeszkadza wszakże, żeby się w wielu innych daleko rozchodzić nie miały [58]). Różnią się one zwła-

58) Podług synodu w następujących punktach zgadzają się oba wyznania: przyjmują symbole apostolskie, odrzucając

szcza co do dwóch dogmatów niezmiernéj wagi. Mowa tu o wolnéj woli i obecności Chrystusa w eucharystyi. Wiadomo jest powszechnie, że Luter bardziéj się ku wolnéj woli, Zwingli i Kalwin ku przeznaczeniu skłaniali; że pierwszy w chwili komunikowania istotną obecność Ciała i Krwi Pańskiéj przyjmował, gdy tymczasem drudzy obrzęd komunii ś. za akt pamiątki uważali, która przecież robi człowieka uczestnikiem łaski i odkupienia, współdziedzicem zasług Chrystusa.

Zniżyć dogmata takie do liczby prawd podrzędnych, nie jestże to osłabiać chrześciaństwo. Jakto? więc i teorya przeznaczenia mocą któréj człowiek robi odpowiedzialnym Boga, jeżeli nie za złość i występki swoje, to przynajmniéj za wyższy lub niższy stopień zdobytéj doskonałości, teorya wprost przeciwna zasadzie wolnéj woli, a w skutkach praktycznych tak ważna, miałaby być podrzędnéj wagi w chrześciaństwie? Albo

---

herezye pierwszych wieków chrześciaństwa, — poddają zaś wszelką późniejszą tradycyę kościelną pod sąd i miarę Pisma Ś. Uznają grzech pierworodny, odkupienie; odpuszczenie grzechów przypisują jedynie łasce, bez żadnéj zasługi uczynków. Niczego nie poczytują za cnotę, co się nie przykłada do praktycznego dobra (potępienie ascetyzmu etc.) Daléj przyjmują jeszcze: że kościół oparty na czystéj ewangelii jest kościołem świętych, nikt jednak o wewnętrznéj świętości pojedynczych członków sądzić nie ma prawa; że tenże powinien członków swoich uświęcać przez naukę i sakramenta. Nawet w pojmowaniu łaski i eucharystyi widzi synod względną zgodność, przynajmniéj co do strony praktycznéj. I tak, powiada, przyjmują obadwa wyznania, że Bóg chce wszystkich zbawić, że zbawienie łasce bożéj, a potępienie niegodziwości ludzkiéj przypisać potrzeba, że łaska raz nawiedziwszy człowieka nie odstąpi go mimo tysiącznych pokus i do szczęśliwego kresu doprowadzi; że Chrystus męką swoją wysłużył nam odkupienie, a przez łaskę go udziela. Łaska działa przez kazania i sakramenta. Sakramenta są uroczystym aktem zbawienia, nie od mocy księdza, ani wiary przyjmującego, ale od łaski Chrystusa zależnym. Dwa są tylko sakramenta: chrzest i komunia. Przez pierwszy wchodzi człowiek do zgromadzenia wiernych, staje się uczestnikiem zbawienia, przez drugi łączy się z Zbawicielem i zyskuje siłę do opierania się złemu.

téż obecność Chrystusa w sakramencie ołtarza, obojętną duszom gorącym co z niéj czerpią siłę do wytrwania w dobrem, do postępu na drodze cnoty? O nie, religia inne ma prawa, jak spekulacye naukowe. Tu wolno robić domysły i przypuszczenia, zbliżać różnice, ważyć dowody, przeciwieństwa do wyższéj jednostki podnosić, rzecz zawsze zyska, choćby się do wypadku prawdziwego nie doszło. Nie tak się dzieje z wiarą. Ona musi być pewną, niezachwianą, albo się zmieni w zwątpienie. Upatrzona w niektórych punktach zgoda nie zaspokoi jéj wcale. Całości ona pragnie, i tylko pewna, jasna i nieomylna prawda podbić ją sobie potrafi. A potém, jakiém prawem odrzucają *prawowierni* dzisiejsi uczeni dogmata które reformatorowie *jako wpływ Pisma S. uważali?* Jakiém prawem, pytamy się. Czy dla tego, że tu właśnie symbole nie zgadzają się z sobą, a im zgody do Unii potrzeba, czy też, że nowszéj umiejętności punkta te mniéj od innych ważnemi się zdają? W jednym i drugim razie jestto niczém nie usprawiedliwiona dowolność, przeciwko któréj tak często zastrzegał się Luter, od któréj synod miał powołanie kościół ewangielicki zasłonić. Jest to owoc zasianych przez Semlera pojęć, skutek odróżniania prawd zasadniczych od podrzędnych. Lichtfreundy tém się tylko od prawowiernych różnią, że kilka kroków naprzód wybiegli. Jestto wreszcie ostateczny wynik zasadniczego reformacyi błędu, że pomijając formy chciała niby uduchownić i uwewnętrznić religią. Nie ma treści bez formy, jak nie ma rzeczywistéj formy bez treści. Dowodem tego wyraźnym jest protestantyzm dzisiejszy. Odrzuciwszy formę utracił ducha. Duch silny znajdzie zawsze odpowiednią sobie formę. Kto tak jak kościół protestancki zamiast dojść do harmonijnego organizmu w coraz większe sprzeczności się wikła, o tym śmiało powiedzieć można, że duch jego jest chory.

Takie były zasługi synodu dla Unii. W niemocy swojéj zdobył się zaledwie na formularz nowéj przysięgi i ułożył ją jeszcze kosztem symbolów obu wyznań,

ograniczając treść nauki chrześciańskiéj do kilku najogólniejszych zasad. Zresztą w zewnętrznych stosunkach Unii zaproponowano pewne ulepszenia. Zniesiono formalnie przymus, uwalniając duchownych i parafian od obowiązku należenia do niéj.

Trzecią z ważniejszych prac synodu była ustawa wyrzekająca o przyszłym składzie kościoła. Nie można przypuścić, aby zgromadzenie w r. 1846 przejrzało burże polityczne mające wstrząsnąć Europą; ale wiedziało ono dobrze, że urządzenie władzy duchownéj nie mogło ostać się długo bez największych dla protestantyzmu niebezpieczeństw. Już oddawna nikt owego status quo za położenie normalne nie uważał. Rząd czuł się słabym w obec ludu, lud nie miał zaufania do uchwał dogmatycznych ministeryalnéj kancelaryi. Obiedwie strony widziały potrzebę reformy. Ale rząd niechętnie wyrzekał się korzystnych atrybucyi swoich, nie chciał szczerych i stanowczych odmian. Probował raczéj odwrócić burzę za pomocą mało znaczących ustąpień. Dotychczas taki układ władzy istniał i istnieje w kościele protestancko-pruskim; nad kilku parafiami zostającemi pod zarządem proboszczów jest przełożony superintendent, odpowiadający mniéj więcéj naszemu dziekanowi. Zakres jurysdykcyi jego rozciąga się zwykle na jeden powiat, czasem nawet mniejszy okręg zajmuje. Władzę prowincyalną sprawuje konsystorz pod przewodnictwem n. prezesa i generalnego superintendenta, któremu król czasem tytuł honorowy biskupa nadaje. Konsystorze zależały dotąd od ministerstwa spraw duchownych. Urządzenie podobne, wystarczające do załatwienia świeckich interesów kościoła, nie mogło mieć powagi w rzeczach duchownych. Opieka ziemska, siła materyalna, nawet supremacya rozumu nie jest opoką, na któréj Chrystus kościół swój zbudował. Pierwiastek nadprzyrodzony, boski, pierwiastek konieczny objawienia i chrześciaństwa, odrzucony został przez instytucye protestanckie. Luter wynosząc kościół wewnętrzny, niewidzialny, osłabił zewnętrzny tak dalece, że ten ostatni już o własnéj mocy stać i utrzymać się nie mógł.

Dopóki systemat absolutnego rządu przeważał, łatwo było kościołowi protestanckiemu tulić się pod skrzydła władzy monarszéj i szukać u niéj równowagi któréj mu wewnętrzna organizacya nie dawała. Ale gdy absolutyzm coraz słabszym się stawał, usuwała się podstawa z pod nóg reformowanego kościoła, i dziś protestantyzm w obec nowego ruchu w najkrytyczniejszém położeniu się znalazł. Katolicyzm jedności wiary pewien, wspólnością usiłowań potężny, spokojnie, skupiwszy się w sobie, wytrzymywał pociski i klęski, nigdzie bezwzględnie zmian niepotępiając i karcąc tylko przekroczenia i wybryki. Protestantyzm zaś, bez siły, bez zaufania w siebie, złorzeczył każdéj przemianie, potępiał wszystko, rzucał i rzuca się w ręce ostatecznéj, rzeczywistéj reakcyi [59]). Bo też bez broni, bez powagi, bez spoistości i centralizacyi stoi on w pośród nieprzyjaciół. Z jednéj strony bezbożność podkopuje go zewnątrz i wewnątrz, z drugiéj kościół katolicki przedstawia się wszystkim nieuprzedzonym, jako jedyny środek ocalenia dla zagrożonego chrześciaństwa. Wśród tylu niebezpieczeństw, wśród takiego braku nadziei, trudno nie zwątpić; nie dziwmy się więc, że prawowierni protestanci boją się spojrzeć w przyszłość co jak przepaść bezdenna roztacza się przed nimi.

Wielkie cele człowieczeństwa zdobywają się przez zjednoczenie sił pojedynczych. Tylko tym sposobem dadzą się zaspokoić wyższe potrzeby ludzkości. Moc towarzystwa wzmaga się z liczbą członków nie w różnicowym, ale ilorazowym stosunku. Nawet siła i dzielność indywidualnych czynów rośnie nieskończenie i do

---

59) Czytaj w broszurze Dr. Klinga na str. 18 „überall predigt man in Deutschland den Unsinn und Frevel der Volkssouveränität“ .... „Die Frankfurter Grundrechte sind nichts als Projekte.... gegen welche die Kirche und das Vaterland zu vertheidigen der deutschen Christen Pflicht ist.“ ..... Dowiesz się tam także na karcie 45—47., że zjazd prawowiernych w r. 1848 protestacyą przeciw rewolucyi przez akklamacyą przyjął i że tylko opór kilku rozsądniejszych publicznemu ogłoszeniu téj protestacyi zapobiegł.

niezwykłéj dochodzi potęgi, skoro człowiek czuje się być ogniwem ogromnego, i ciągle wzrastającego łańcucha, skoro wie, że u milionów znajdzie uznanie i poparcie. Ta prawda wiodła ludzi do tworzenia społeczeństw religijnych i politycznych; ona jest zasadą naszego kościoła. Czemuż zapomniał o niéj uczony protestantyzm? Dla czegoż z utworzeniem jedności od trzech wieków się biedzi? Bo tylko „czystość (nauki) do jedności dąży," a „kościół w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu tam „tylko istnieje, gdzie religia wspólną posiada władzę strze-„gącą jé czystości" [60]). Protestantyzm władzy téj dawno się już wyrzekł, czystość nauki niepowrotnie stracił, nie zdoła więc urządzić trwałego kościoła. Potrzebę trwałości czuje on mocno, dowodzą tego tyloliczne próby wzmocnienia władzy duchownéj. Bądź co bądź, synod przedstawił potrzebę niektórych odmian w zewnętrznym organizmie. Zostawiwszy superintendentury i konsystorze w dawnym ich składzie, wniósł o utworzenie naczelnego konsystorza przy ministerstwie oświecenia. Do niego należeć miały: wyroki najwyższéj instancyi w sprawach sumienia i wiary, dozór nad wykładem teologii po uniwersytetach, roztrząsanie przełożeń synodów, obsadzanie urzędów i t. p. Do każdego stopnia hierarchii chciał przyłączyć radę złożoną ze świeckich i duchownych. Radził częściéj zwoływać synody powiatowe, prowincyonalne i krajowe (Landessynode), zapewniwszy starannie większość rządowemu stronnictwu. Widocznie wola rządu więcéj na uchwały zgromadzenia wpływała, jak liczne życzenia i projekta objawiające się po kraju.

My utrzymujemy że choćby synody urządzone zostały najliberalniéj, choćby nawet oparto je na ogólnym wyborze, to i tak kościołowi protestanckiemu pewnéj i trwałéj pomocy by nieprzyniosły. Synody u katolików mają znaczenie, bo są zgromadzeniem tych, którym Bóg do rozstrzygania spraw duchownych szczególną łaskę nadał,

---

60) Są to słowa Stahla, wyrzeczone na synodzie 1846. Verhandl. etc. str. 26.

do których powiedział: *gdzie się dwóch lub trzech zgromadzi w imie moje, tam i Ja jestem w pośrodku.* My sądzim, że lud katolicki chociażby mu wybory na synod zlecono, posłałby samych duchownych i poddał się ich rozporządzeniom; to płynie z idei, z dogmatu. Inaczéj rzecz się ma w protestantyzmie. Tam słowa Chrystusa przytoczone powyżéj ściągają się bez różnicy do wszystkich, tam duchowny nie gwoli osobnego upoważnienia i łaski, ale jedynie dla większéj umiejętności i specyalnego wykształcenia pierwsze miejsce w kościele zajmuje. A przecież sam cytowany Luter już mówił, że nauka nie daje gwarancyi rozumienia biblii, że często prostota oświecona łaską bożą najmędrszego teologa zawstydzi. U protestantów więc synod złożony z samych duchownych, chociażby najpoważniejszych życiem i umiejętnością, nie zadowolni ludu. Żeby pozyskał zaufanie musi w połowie, a kto wie czy nie w większéj części przypuścić świeckich do rady. Ale wtedy wyjdzie znowu na to, o czém przy utopiach Lichtfreundów jużeśmy obszernie mówili, wtedy uchwały wszystkie zależeć będą od woli większości, co jak słusznem jest w polityce, tak w religii wychodzi na tyranią względem mniejszości i koniecznie do odszczepieństwa wiedzie.

Pokazywać się to już zaczyna w praktyce. Bo choć rząd przystał na wszystkie prawie odmiany, to jedne wcale w życie nie weszły, inne zaś spodziewanych nie wydały korzyści [61]).

Proponował jeszcze synod różne środki ku powiększeniu karności kościelnéj, ku przywróceniu religijnego

61) W ostatnich czasach porobił rząd znaczne ustąpienia. Reskryptem z dnia 29. Stycznia 1849 r. utworzył w ministerstwie oświecenia osobny wydział dla wewnętrznych interesów kościelnych. Wydział ten otrzymał niedawno (dn. 29. Czerw. 1850) nazwę: ***Najwyższéj rady kościelnéj.*** Działa ona w wewnętrznych sprawach niezależnie od ministra. Do kompetencyi jéj należą: liturgia, synody, tłómaczenie dogmatu, dozór nad nauką teologii i religii, karność kościelna, udzielanie dyspens, promowanie i odwoływanie duchownych etc. Przeciwnie zaś zewnętrzna opieka, zarząd funduszów, nominacya

zapału. Wiele z nich za *pia desideria* uważać musimy. Urządzenia stosowne dla prostoty innych wieków i innych wyobrażeń, dziś w naszém pełném zawikłań towarzystwie nie znajdą przyjęcia i nie dopełnią swego przeznaczenia. Niektóre podane przez synod sposoby opierają się na prostych i niezawodnych pewnikach katolicyzmu, które wszakże po usunięciu podstawy katolicko-kościelnéj pewnikami być przestają. I tak (że niektóre rzeczy wymienimy) synod mówi o braterskiém napominaniu się wzajem; chce on tym sposobem powściągnąć wykroczenia przeciw moralnéj stronie zobowiązań duchownych (patrz wyżéj); pragnie, aby pijaków, rozpustników i t. d. strofowały i karciły prezbyterya, synody powiatowe i prowincyalne; żąda, aby ludzi bezbożnych wykluczano ze zgromadzenia wiernych, usuwano od sakramentów [62]) i t. p. Zapominają uczeni mężowie, że nawet kościół katolicki, który w gorącości religijnéj o wiele reformacyą przewyższa, nie śmiał od całych społeczeństw domagać się tego, co u rozrzuconych, prześladowanych, ale silnych poświęceniem i zespolonych ognistą wiarą gmin pierwszych wieków chrześciańśtwa było praktyką codzienną. Kościół nasz ocenia moralny stan duszy jedynie z własnego oskarżenia się grzesznika, wyznanie jego największą

---

profesorów, pozostały tymczasowo przy ministerstwie, aż do chwili ostatecznego uregulowania samoistnego zarządu w kościele protestanckim. Minister jednak musi się w największéj liczbie przypadków porozumiewać z Radą. Postanowienie to mające zabezpieczać kościół od wpływu zmiennéj, a przynajmniéj zmieniać się mogącéj polityki ministra, nie zasłania go jednak od supremacyi królewskiéj. Naczelnik Rady wprost od króla zawisł. Jaki będzie układ przyszłéj administracyi kościoła trudno przewidzieć. Tyle jest pewna, że się toczą o to żwawe dyskusye w ministerstwie oświecenia i kultu. P. Ladenberg oświadczył na przeszłych posiedzeniach izb, iż rząd władzę protestanckiego kościoła złoży tylko w „uprawnione do tego ręce." Gdzie je znajdzie, jak oznaczy? trudno to dzisiaj powiedzieć. Czytelnicy znajdą w naszém piśmie czasu swego sprawozdanie z uchwał dotyczących téj sprawy.

62) Richter, Verhandl. der ersten preußischen General-Synode. S. 11. 441.

tajemnicą otacza, a broni nieuprawnionym sądzić o grzechu bliźniego i potępiać się nawzajem. Ileż to hałasu i zgorszenia powstałoby z owych braterskich niby upomnień! Przestrogi miłości chrześciańskiéj poszłyby na pastwę pism publicznych, gorliwość i dobra wiara stałyby się przedmiotem szyderstwa. Zkądinąd, jeśli kto nie ma prawa żądać prostoty, zapału i moralnéj solidarności pierwszych wieków chrześciaństwa, to niezawodnie reformacya, która rozbiwszy kościół sprowadziła najokropniejszy duchowy indywidualizm, która wraz z pewnością wiary, poezyą kultu i gorącość ducha utraciła. Synod wreszcie wspomina często o władzy kościelnéj, radzi opór klątwami karać [63]), utrzymuje w końcu w dziwnéj z katolicyzmem zgodzie, że Duch Ś. przez organ kościoła rozlewa się na wiernych [64]). Zdawałoby się że władza kościelna i zewnętrzne jéj organa są u protestantów rzeczą pewną, ustaloną, żadnemu zaprzeczeniu nie podległą. Nie, protestantyzm tych zbawiennych katolicyzmu zasad pod karą upadku wprowadzać u siebie nie może. One się tam nie przyjmą, nic nie pomogą i tylko ludzi religijnych na niepotrzebną narażą nienawiść. Indywiduum, jak słusznie jeden z racyonalistów powiada [65]), w dwóch tylko razach bezwzględnie ogółowi ulega. Albo się przed większością głosów ugina i przemożnéj siły słucha, albo ideę towarzystwa za swoją przyjmuje. A więc pierwéj ideę protestancką ustalić potrzeba. „Pan sądzisz, mówi daléj ten pisarz do pastora Kämpfe, że tą myślą jest wiara w niemylność pism symbolicznych, drudzy że wiara w samo „odkupienie; jedni zasadzają ideę na rozumowém pojęciu „Pisma Ś., inni na rozumie kierowanym zasadami Pisma. „Kiedy więc tak trudno zgodzić się na ideę kościoła ewangelickiego, należałoby zapewne pozwolić stronnikom wszystkich kierunków trzymać się swoich zasad, aż póki się „widocznie nie okaże, czyja zasada prawdziwa. Nie podobna

63) Tamże str. 7.
64) Tamże str. 191.
65) Die Berechtigung.

„zaś i nie godzi się powierzać żadnemu ze stronnictw „układania praw obowięzujących całość protestantyzmu[66].”

Jak widzimy małe są owoce prac królewskiego synodu z r. 1846. Przeszedł on bez śladu, bez wpływu na kraj i wiarę choć go popierała życzliwość władzy świeckiéj, choć pracował w czasach ogólnego pokoju i normalnych stosunków towarzyskich.

Wypadki z r. 1848 wstrzęsły aż do gruntu słabe fundamenta protestanckiego kościoła, i obudziły słuszne obawy w duszach gorętszych jego zwolenników. Zmiany polityczne zdały się zapowiadać zagładę wyznania, niebezpieczeństwo groziło z bliska. Parlament frankfurtski, zgromadzenia ustawodawcze państw pojedynczych, same nakoniec rządy ogłaszały w konstytucyach zupełną wolność religii, oddzielały kościół od państwa; paragraf 11. statutu organicznego (Grundrechte) brzmiał wyraźnie: „Nikt nie jest obowiązany do objawiania swoich prze„konań religijnych, wolno jest do żadnego nie należeć „wyznania,“ a zaś §. 14. stanowił, iż „każda religijna „korporacya zarządza samodzielnie sprawami swojemi, „i powinna się tylko jak każde inne towarzystwo do „praw państwa zastosować”, dodając przytem: „żadne „wyznanie nie będzie doznawało szczególnéj od rządu „opieki” i jeszcze: „do tworzenia nowych wyznań nie „trzeba pozwolenia rządu.” Taki układ towarzyski groził widocznie nieuchronnym rozkładem wszelkim chwiejącym się i niezcentralizowanym wyznaniom, a takim właśnie był podówczas protestantyzm niemiecki.

Niedziw że przerażeni biegiem rzeczy zjechali się do Wittenbergu (d. 21. Września 1848 r.) gorliwi stronnicy reformacyi [67]), dla narady nad sposobami pokonania albo przynajmniéj usunięcia na czas pewien grożą-

66) Ale czy to kiedykolwiek do jedności doprowadzi? Autor nie przyznaje nikomu mocy rozstrzygnięcia — wyrok zawiesza między niebem a ziemią.

67) Myśl zjazdu podał Bettmann-Hollweg. Znakomitsi członkowie jego byli: Dr. Krummacher, Pr. Stahl, Dr. Nitsch z Berlina, Dr. J. Müller z Halli etc.

cego niebezpieczeństwa. Przestrach popchnał niektórych w ostateczności. Znaleźli się w zgromadzeniu zwolennicy najzupełniejszego absolutyzmu, co radzili władzę duchowną dobrowolnie w ręce panujących złożyć. Wszakże myśl ta potworna a w dziejach chrześciaństwa zachodniego niesłychana, rozbiła się o zdrowszy sąd większości. [68]). Trzeba przecież było coś zrobić, żeby nie zostawić religii protestanckiéj bez głowy i administracyi. Po długich rozprawach zgodzono się wreszcie na następujące punkta:

1) Ewangielickie wyznania w Niemczech tworzą między sobą związek kościelny (Kirchenbund.)

2) Związek ten nie jest Unią łączącą oddzielne wyznania i absorbującą je w sobie, ale raczéj konfederacyą kościelną.

3) Ewangielicko-kościelny związek przyjmuje wszystkie wyznania stojące na gruncie reformacyi, a zwłaszcza luterskie, reformowane, Unią i braci czeskich.

4) Każde z wyznań wchodzących do związku zachowuje zupełną niezależność co do stosunków z rządem, co do władzy i praw wewnętrznych, mianowicie nauki, kultu i administracyi.

5) Zadanie związku stanowi:

a) Zjednoczenie kościoła ewangielickiego, krzewienie ducha wspólności i braterstwa.

b) Opór przeciwko wszystkiemu co się nie zgadza z Ewangielią (racyonalizm, katolicyzm).

c) Udzielanie sobie pomocy i rady.

d) Straż i obrona przywilejów należnych kościołowi protestanckiemu na mocy ustaw boskich i ludzkich.

e) Zawiązanie i utrzymywanie stosunków ze wszystkiemi kościołami ewangielickiemi w Europie i po całéj kuli ziemskiéj.

f) Związek kościelny rozpocznie działania swoje zjazdem deputowanych ze wszelkich okolic niemieckich.

---

68) Dr. Lücke z Goettyngi, chorobą wtedy złożony, listownie przeciwko temu się oświadczył.

które doń należeć zechcą. Potém walne zgromadzenia co rok odbywać się będą.

Dobitnie wypowiedziano że to konfederacya nie Unia, dla tego, żeby nie zrażać ludzi przywiązanych do pewnych symbolów. Inaczéj projekt podobny mógłby się był wydać usiłowaniem do zatarcia różnic konfessyonalnych, jak słusznie zrobił uwagę prof. Stahl.

Żeby się od wpływu racyonalnych elementów zasłonić, postanowiono żądać od wchodzących do związku pewnéj gwarancyi wyznania i wiary. Wszakże rzecz taką łatwiéj powiedzieć jak wykonać. Gdyby zgromadzenie Wittenberskie było prawomocném, od całych Niemiec uznaném, postanowienia jego mogły wznieść zasadę nowego związku i otworzyć nową erę dla reformacyi. Ale tam zasiadały jedynie osoby tych samych zdań i uczuć. Był to jakoby przygotowawczy parlament. O istności i granicach związku zawyrokować miał dopiero przyszły sobór ewangieliczno-kościelny. Od woli większości członków jego zależeć miało, czy konfederacya zostanie prawowierną w duchu i na zasadach reformacyi XVI. wieku, czy téż posunie się daléj i racyonalnym pojdzie torem [69]. Wielkie niebezpieczeństwo które nie uszło uwagi zgromadzenia Wittenberskiego. Starano się zapobiedz mu wszelkiemi sposobami. Na wniosek Dr. Dornera oświadczyli zebrani, że chociaż przyznają świeckim prawo reprezentacyi w nowym układzie administracyi kościelnéj, to jednak nie uznają wszechwładztwa ludu, tylko wszechwładztwo Chrystusa [70], każdy więc z deputowanych wtedy dopiero będzie miał prawo zasiadać w synodzie, skoro wyraźnie objawi całkowitą zgodę na zasady reformacyi [71]. Wyznaczono potém komitet i polecono mu wygotować [72]) prawo oborcze

---

69) Patrz mowy Smenda i prezesa na str. 81. Verhandl. der Witt. Versammlung. Dr. Kling.

70) Str. 121 tamże.

71) Str. 105 tamże.

72) Komitet składa się z 12 członków: v. Bettmann-Hollweg, Dr. Nitsch, Dr. Müller, Dr. Heubner, Dr. Schmieder, Dr.

następującéj treści. 1) Sobor składa się z równéj liczby deputowanych duchownych i świeckich. 2) Deputowani nie liczbę dusz, ale jednostki kościelne wyobrażają. Każda z nich bez względu na to, czy jest kościołem krajowym (Landeskirche), prowincyalnym, lub tylko gminą osobną, obiera dwóch deputowanych. 3) Fakultety teologiczny i prawny będą miały własną reprezentacyą. 4) Wybór członków zależy od organów istniejącéj władzy kościelnéj, przy pewném współdziałaniu gmin, który się bliżéj oznaczy [73]).

Sprzeczności téj uchwały są widoczne. Rządy czują niepodobieństwo zatrzymania władzy duchownéj, wyzuwają sie z niéj dobrowolnie, a zgromadzenie Wittenberskie chce, żeby sobór, mający ugruntować nową władzę, na zaufaniu ludu opartą, wyszedł nie z oboru gminy, ale narzuconym był niejako przez organa rządowe. Prawda, że dla zachowania prawowierności protestanckiéj jest to środek konieczny, jedyny. W kraju gdzie na 100 niby chrześcian 99 jest niewierzących lub obojętnych[74]), nie można się spodziewać po głosowaniu ogólném chrześciańskich reprezentantów. Z tém wszystkiém inaczéj złożony synod nie zadowolni świeckich i nie poprze sprawy reformacyi. Bettmann-Hollweg mniema, że niemożna przypuszczać reprezentacyi pojedynczych członków, tylko reprezentacyą pewnych organizmów kościelnych (str. 78.), gdyż Paweł Ś. kościoł organizmem zowie. (Efez. 4). Ale gdzież są takie żyjące organizmy w protestanckim kościele? Od 300 lat kusi się on o utworzenie jedności i kusi dotąd bezskutecznie. Możnaż reprezentować to co jeszcze nie istnieje wcale? Nie, taki sobór i konfederacya nie uratują kościoła protestanckiego, nie obronią przed racyonalizmem. Z dwóch rzeczy jedna: albo zgromadzenie nieodpowiadające większości

---

Harless, Dr. Grossmann jun., Dr. Sack, Dr. Krummacher, Dr. Smethlage i Dr. Hengstenberg. Oprócz tego obrano komisyą doradczą złożoną z 30 osób.

73) Str. 80 tamże.

74) Słowa pana Kuntze str. 71 tamże.

reprezentowanych będzie radzić na próżno, bez wpływu bez zaufania u ludu, albo też zastosuje się do większości i przybierze barwę racyonalną. W tym przypadku prawowierni będą musieli wyłączyć się ze związku i osobne stowarzyszenie zawiązać. Wniosek wyłącznéj organizacyi podano w Wittenbergu, jako praktyczniejszy i pewniejszy w skutkach, ale go zgromadzenie ufne w swe siły, bez dyskusyi odrzuciło.

Ileż zadowolnienia i wewnętrznego pokoju przynosi umysłom katolickim pogląd na te mozolne, a bezowocne wysilenia! Nie żebyśmy się mieli radować z cudzego kłopotu, ale, że właśnie tym sposobem najoczywiściéj przekonywamy się na przykładzie, jako jedyną drogą do utworzenia trwałego organizmu w chrześciaństwie jest droga przez kościół nasz wskazana. Tylko na niéj można prawdę objawienia wolną od fałszu zachować, tylko ona zgadza się ze słowami Chrystusa i idzie w kierunku Pisma Ś.[75]).

V.

Pomimo kilkakrotnych oskarżeń gazety ewangielicko-kościelnéj [76]), nie wierzymy aby zgromadzenia półroczne Lichtfreundów w Gnadau i Köthen, posiedzenia wieczorne Uhlicha, a nawet t. n. zebrania ludowe (Volksversammlung) w Gnadau i Schönebeck wiodły do politycznych celów, religii za maskę tylko używając. Najsumienniejsze badanie pism tego stronnictwa, wiadomości zasiągane od ludzi z blizka na rzeczy patrzących, nie podają nic takiego, coby nawodziło na ślady knowań podobnych. Nie, sekta Lichtfreundów nie wiąże się solidarnie z ża-

75) Posłuchajmy Uhlicha: Es ist ein wohl zu befriedigender Umstand, daß Jesus von dem, was man Kirche zu nennen gewohnt ist, niemals gesprochen hat. Man müßte denn jene Rede hierher ziehen, durch welche er den Jüngern die Macht zu binden und zu lösen, zuspricht. Aber freilich, wenn wir dieß wörtlich verstehen wollen, so hat die katholische Kirche vollkommen Recht.

76) Patrz Nra 72, 73, 85 Evangelische Kirchenzeitung z r. 1845.

dném polityczném stronnictwem, choć zapewne większa część jéj zwolenników ostatecznemu radykalizmowi sprzyja. Nie miała ona nigdy bezpośredniego wpływu na zmiany polityczne w Prusach i Niemczech. Pośredniemu nie dziwimy się wcale, bo i kiedyż wyobrażenia religijno-moralne nie oddziaływały na pojęcia o składzie państw i rządów. Zaprzeczenie wszelkiéj powagi na polu religijném musi w końcu poprowadzić naród do opozycyi nie tylko przeciw téj lub owéj formie rządu, ale przeciwko władzy w ogóle. Inna rzecz wszakże pośrednio usposabiać umysły, inna zachęcać i bezpośrednio prowadzić. Że towarzystwa Lichtfreundów nie były politycznym spiskiem, dowodzi sama ich luźność, nigdy albowiem stałéj organizacyi, nigdy powiązania nie miały; dowodzi wreszcie i ta okoliczność, że gdy Uhlich na zgromadzeniu narodowém w r. 1848. w lewym środku siedział, a zatém jeszcze do konstytucyjnego należał stronnictwa, Wislizen w Halli ulicznemu radykalizmowi przewodził i był deputowanym na berliński kongres demokratów. Nie ma więc u Lichtfreundów jednolitych przekonań politycznych.

Zkądinąd jest rzeczą łatwą do zrozumienia, że w pierwszych latach panowania Fryderyka Wilhelma IV. po tylu zawiedzionych nadziejach, tylu niedotrzymanych obietnicach, każda forma liberalniejsza, każdy cień opozycyi na jakiémkolwiek polu, zyskiwał łatwo poklask niecierpliwych umysłów. Wiele rzeczy, na któreby w kraju wolnym opinia publiczna zaledwo uwagę zwróciła, przyjmowano z niesłychanym zapałem, jakoby brzask nowéj epoki w dziejach państwa pruskiego. Odrzucenie półduchownéj, półświeckiéj władzy protestanckiego kościoła, peryodyczne zjazdy przypominające w formie zewnętrznéj obrady wolnych narodów, a nadewszystko opór przeciw rządowi który się ciągle opiniom większości sprzeciwiał, oto były powody, dla których Lichtfreundy w oczach wielu ludzi stali się wyobrazicielami wolności.

Wymienimy jeden jeszcze bodaj najgłówniejszy powód. Prawowierny protestantyzm ze spolił się był nierozerwalnemi węzły ze świecką władzą monarszą. Pod jéj opieką rosł i rozkwitał, z jéj chyleniem się słabiał, a upadek jéj zagraża mu zupełném zniszczeniem. Krótko przed wypadkami r. 1848 przytoczył dziennik *Univers* na obronę hierarchii katolickiéj oskarżonéj o spółkę z absolutyzmem liczne cytacye z pism niemieckich i francuzkich protestantów na dowód, że nie katolicyzm posiadający osobne duchowe istnienie, własną organizacyą i oddzielną władzę, lecz przeciwnie reformacya, wewnętrznéj siły i samodzielności pozbawiona, wszędzie i zawsze ścisły sojusz z samowładztwem zawierała. Dziś już na to obszernych nie potrzeba dowodów, wymowniéj mówią wypadki. Naczelnik kościoła, Ojciec Ś. dał hasło do reform w Europie [77]), duchowieństwo francuzkie bez niechęci rzeczpospolitę powitało [78]), episkopat niemiecki wyrażał się o zaszłych zmianach ostrożnie, wszakże bez wstrętu. Dziś trzeba niesłychanéj nienawiści, lub ograniczenia, żeby nie uznać, iż katolicyzm żadnéj formie rządu wyłącznie nie sprzyja, przyjmując wszystkie istniejące kształty, że tylko ze swawolą zgodzić się nie umie i nie chce. O ileż różni się w słowach i czynach luteranizm prawowierny! Wszyscy jego gorliwsi zwolennicy służą wyłącznie absolutno-stanowéj monarchii. Profesorowie teologii, pasto-

---

77) Katolicyzm jest nieprzyjacielem wszelkiego despotyzmu, czy on pochodzi z góry, czy z dołu. Dla tego téż papież stanowczy z radykalizmem rozbrat uczynił. Po uśmierzeniu nienawiści stronniczych postępowanie jego znajdzie najzupełniejsze uznanie, tego pewni jesteśmy.

78) Nie pojmujące katolicyzmu dziennikarstwo angielskie zarzucało duchowieństwu francuzkiemu bratanie się z ulicznym nieporządkiem i rewolucyą jako taką, fakt ten nizkiemu pochodzeniu kleru francuzkiego przypisując. Jestto fałsz. Duchowieństwo francuzkie zgodziło się z rewolucyą lutową dla jéj łagodności i umiarkowania. Z nieporządkiem i anarchią nie łączyło się nigdy. Arcybiskup paryzki położył żywot w obronie zasad społecznych.

rowie, ludzie religijni nieposiadają się z oburzenia [79]) przeciw każdéj zmianie, każdéj liberalnéj dążności. W głowach ich Chrystus i król absolutny, porządek chrześciański i dawny system policyjny stoją zawsze obok siebie, jak gdyby jedno pojęcie warowało konieczność drugiego, jak gdyby nie było zadaniem chrześciaństwa roznosić narodom cywilizacyą i moralne światło, bez względu na to, czy u nich panuje ta lub owa rządowa formuła. Nie dziw więc, że z ich winy lud niemiecki pobożność z absolutyzmem, wolność z niedowiarstwem zmieszał, nie dziw, że ogarniony żądzą swobód politycznych myślał dojść do nich przez odrzucenie chrześciaństwa. Pojmujemy co się dziać musi w sercu prawowiernych protestantów, gdy im się z rąk wymyka ostatni środek do utrzymania jedności w wyznaniu, pojmujemy ich niechęć do odmian i reform, zwłaszcza gdy te przez winę kierowników nowego ruchu obracały się zwykle na szkodę chrześciaństwa, nie pojmujęmy jednak, jakim sposobem ludzie uczciwi i światli zarazem, — a tę zaletę śmiało im przyznać możemy — zapomnieli, iż utrudnianie koniecznych odmian prowadzi zawsze do niepokoju i gwałtu, że zatém wspólnictwo ich z partyą absolutystów jeszcze bardziéj szkodzi sprawie protestantyzmu, i tak już zewsząd zagrożonéj. Nie pojmujemy także czemu gorliwi protestanci, tyle o miłości chrześciańskiéj mówiący, z taką złą wiarą mieszają wolność z anarchią, czemu nie odróżniają potrzeb rzeczywistych od radykalnych zachciewań, czemu wszystko co nowe okrzykiem zgrozy przyjmują.

Hengstenberg wiedział doskonale, że towarzystwo Lichtfreundów wprost do reform politycznych nie dąży, że jest stronnictwem czysto religijném, a raczéj religijno-filozoficzném. Nie mógł on nie czuć w sumieniu swojém, że oskarżając ich o dążenia polityczne zwodzi kraj i władzę do niebezpiecznych oddziaływań zachęca. Cóżkolwiek bądź, ostrożny gabinet poczdamski uwieść się nie

79) Patrz mowy Nitscha, Jul. Müllera i innych na zgrom. Wittenberskiém.

dał. Oddawna przeczuwał on, że machina rządowa niezwykłe parcie gazu wytrzymuje, i starał się je zmniejszyć częściowém upuszczaniem pary; uważając zaś ruchy religijne za doskonały konduktor od niecierpliwości politycznéj, nie chciał przeciw nim gwałtu używać. Pomimo codziennych prawie poduszczań gazety kościelnéj stał na boku. Kazał Lichtfreundów ze spólności kościoła wyłączyć, nie zabronił im przecież tworzyć gmin oddzielnych. Oględność ta i wyrachowanie (jak wiemy) nie pomogły. Na nic nie zdadzą się drobne środki dziennéj polityki, gdzie potrzeba energicznych odmian dla przywrócenia normalnego stanu towarzystwa, dla obudzenia ufności w narodzie. Nieszlachetne podżeganie gazety kościelnéj zaszkodziło niezmiernie prawowiernemu stronnictwu. Chytrość wyszła na jaw i obróciła się przeciw samymże oszczercom. Pisarze Lichtfreundów umieli zręcznie złą wiarę wykazać i zamiary Hengstenberga podać w ohydę.

Obszernie podany wyżéj rozbiór stanowiska religijno-moralnego Lichtfreundów pozwala nam przejść w krótkości pośredni wpływ ich na polityczne stronnictwa i walki niedawno minione. Długo Niemcy boleśnie czuć będą szkodliwe skutki owéj oziębłéj, wygodnéj polityki która cechuje ich czyny tak w religii i codzienném życiu, jak wśród wielkich wypadków historycznych. Nie raz jeszcze usiłowania ich rozbiją się bezowocnie o niemożność zadowolnienia osobistych, partykularnych interesów, o znaną niezdolność do poświęceń dla kraju. Długo potrwa szamotanie zanim się urzeczywistni piękna myśl jedności narodowéj.

W sporach Lichtfreundów z Luteranami widzieliśmy po kilkakroć, że jeden i drugi kierunek często, chociaż zdaleka, choć manowcami, do katolicyzmu się zbliża. Widzieliśmy jak racyonalizm odrzuceniem *bezwzględnéj* powagi Pisma Ś., obaleniem protestanckich wyobrażeń o łasce i wierze, a nadewszystko wyniesieniem zasługi dobrych uczynków, na pozór przynajmniéj skłania się do systematu rzymskiego kościoła. Poznaliśmy także, że gdzie tylko protestantyzm gorącość religijną, wspólność kościelną,

powagę symbolów, uszanowanie dla władzy kościelnéj przywrócić lub zaprowadzić usiłuje, mimo swéj woli i wiedzy na katolickie stanowisko przechodzi, i z małą modyfikacyą tych samych broni zasad, które od lat trzystu systematycznie obalał. Tylko że właśnie modyfikacya ta udaremnia dalsze jego trudy i próby. Nie brakło więc obu stronom pozorów do wzajemnego oskarżania się o kryptokatolicyzm. Luteranie wołali „na Koethen," Lichtfreundy „na Gnadau" [80]) droga do Rzymu prowadzi. Mybyśmy chcieli, mówi czasopismo *Syon*, żeby obiedwie do Rzymu zawiodły. Dla szczęścia, dla jedności Niemiec i my tego z serca życzymy, ale bardziéj życzymy niż spodziewamy się. Liczne nawrócenia w Anglii nie dają nam podobnéj dla Niemiec otuchy. W Anglii reformacya miała raczéj polityczną, jak religijną przyczynę. Z postanowienia królewskiego wyszła, edyktem z góry nakazana, nie zmieniła do tyla co luteranizm wyobrażeń całego narodu, a co największa, nie złamała tradycyi i urządzeń hierarchicznych. Téj okoliczności zawdzięcza kościół anglikański gorliwość religijną z jednéj, a niezmierną słabość w obec wolnéj dyskusyi i zupełnéj tolerancyi z drugiéj strony. Jakoż nie wiele pobłądzimy twierdząc, że Anglikowi dosyć na miejsce władzy świeckiéj w kościele duchowną, papiezką położyć, żeby katolikiem zostać. Nie tak się dzieje w Niemczech. Reforma wyszła tutaj z umysłowego ruchu, ogarnęła sumienie narodu, przesiąkła literaturę, prawa, zwyczaje, aż do codziennych zatrudnień. System wolnego rozbioru i tłumaczenia ksiąg śś. wpoił się w soki żywotne, tradycya kościoła zaginęła aż do śladu, duchowieństwo stało się cząską nauczycielskiego stanu, albo gałęzią administracyi. Nie tylko wyższe sfery towarzystwa, ale i lud nawet postradał czystość wiary i gorącość religijnego uczucia. Żeby zagoić takie rany, żeby tak zastarzałe choroby uleczyć, radykalnych lekarstw, wielkich wstrząśnień i organicznych

80) W Gnadau zebrało się kilka razy posiedzenie orthodoxów.

reform potrzeba. Powstająca w Niemczech wolność polityczna będzie zapewne takiém lekarstwem. Odszczepieństwo Lichtfreundów, zgubne teorye wielu innych stronników racyonalnego radykalizmu, przyłożą się do tego w miarę spustoszenia jakie nauki ich zrządzą w duszy i sumieniu narodowém, przez co oddziałanie obudzić się i poprawa nastąpić musi.

Kończąc ten przedmiot, ponad zamiar i chęć naszą rozszerzony, nie od rzeczy będzie zapewne wspomnieć raz jeszcze o smutnym wpływie racyonalizmu na charakter narodów i ogólny postęp ludzkości. Nizkość umysłów, które z natury rzeczy do wielkich zdawały się powołane być przeznaczeń, słabość usiłowań tam nawet gdzie sprzyjały szczęśliwe okoliczności zewnętrzne, owa powszechna nieudolność, owe dziwne niedołęstwo zwracały, już nieraz kłopotliwą uwagę największych naszych myślicieli. Wielki Boże, wołają oni, cóż się to dzieje na świecie! Tyle nędzy fizycznéj, umysłowéj i moralnéj w pośród kroci kapitałów, olbrzymich zapasów wiedzy i tysiącznych sposobności do rozwinienia czynnéj energii. Miejsce zapału wzięła drażliwość nerwowa, miejsce odwagi junactwo, brzmiące słowa okrywają czczość myśli, nauka w szarlatanizm przechodzi, zbytek gniecie tłumy ogołoconych nędzarzy, duma jednych podłością drugich się podsyca, słabi zwycięzcy nikczemniejszych cisną przeciwników, dawny porządek towarzyski opiera się tylko na nieudolności do ulepszeń i odmiany, albo téż ostateczném wysileniem natężonych sprężyn podtrzymuje. I przypisują mężowie owi upadek taki rozkładowi dawnego świata, widzą w nim przejście z jednéj epoki historyi do drugiéj, obiecują rychłe skojarzenie tezy z antytezą, a wtedy zaspokojenie wszystkich potrzeb, raj na ziemi. My nie dzielimy ani owych uczonych wyłożeń dzisiejszéj zagadki społecznéj, ani tych różanych nadziei na przyszłość. Nam się rzecz cała prościéj daleko i naturalniéj przedstawia.

Gdy człowiek wzgardzi przyrodzoném religii uczuciem, odrzuci historycznéj tradycyi powagę, zaprzeczy istnienia wyższego od siebie ducha, albo mu świadomości i twórczéj odmówi potęgi, a na to miejsce położy słabą jednostkę swoją i ograniczony rozum ludzki, wtedy indywidualizm, sobkostwo, drobiazgowość, przychodzą same z siebie i rozwielmożają się wśród człowieczeństwa. Ludzkość przestaje czuć się wspaniałą organiczną jednością, związaną przez myśl bożą tkwiącą w niéj, ożywioną tchnieniem Ducha Ś., i rozpada się na miliony odosobnionych atomów, których życie pełne jest nędzy, a śmierć zwątpienia i rozpaczy. I będziemyż dziwić się jeszcze, że te mizerne proszki środek świata i cel działania upatrujące w sobie, nie umieją wzbić się nad poziom do wyższych sfer ideału. Zakres ich taki mały, życie tak krótkie i znikome, a myśli i czyny miałyby po za grób sięgać i aż o boską doskonałość się kusić? Nie miłość wiąże je w towarzystwo, ale wyrachowanie i dobrze zrozumiany egoizm w kontrakt socyalny zaprzęga. Do zerwania warunków téj bezsłownéj, zobopólnéj umowy dość jednostronnéj woli pojedynczych członków, stanów, byle miały przewagę liczebną. Cóż tutaj skłania do zrzeczenia się jednych na korzyść drugich, co ma harmonią układać i zgodę? Wojna wszystkich przeciw wszystkim stać się musi ostatecznym wyrazem ludzkości i najwyższą społeczeństwa potrzebą. Obalenie powagi religijnéj, téj jedynéj potęgi w świecie moralnym, przed którą korzy się duch ludzki, którą jedną tylko za panią wolności swojéj moralnéj, za kierowniczkę czynów uznać jest zdolny, rozpasuje od razu wszystkie namiętności, i mnoży tysiącami błędne systemata rozumowe, schlebiające roskoszy i dumie. I bodajby jeszcze wszystkie teorye te wznieść się umiały do wysokości rzeczywistego umnictwa, bodajby wszystkie do ostatecznych doszły wyników. Wtedy albowiem staćby się tylko mogły własnością niewielu wyższych umysłów, którym wrodzone światło drogę do prawdy rychléj lub późniéj ukaże, a naturalna szlachetność od wielkich zboczeń uchroni. Ale te płaskie wymysły pospolitego racyo-

nalizmu, co ani wedrzeć się w tajniki ludzkiego serca, ani podnieść do najwyższych granic wiedzy nie umieją, co za najwyższy motyw uważają pochlebstwo złéj naturze, a za nieomylnego sędzię zwyczajny rozsądek praktyczny, te nędzne, śmieszne, nawet do świadomości siebie nie dochodzące teoryjki, które przez płytkość samą szeroko po powierzchni ziemi rozlewać się muszą, one to napawają goryczą umysły półoświeconych, mącą wyobrażenia głów słabych i leją jad nienawiści i szaleństwa w serca prostaczków. Z takiego siewu, smutnego zaiste spodziewać trzebą się żniwa. Jakoż jeżeli nas łaska boża nie wesprze, nie oświeci, a religia nie odmłodzi i wiarai to przejdziem przez srogie jakieś oczyszczenie we krw, i ogniu, albo się pogrążymy w barbarzyństwo.

Śniadanie u Dąbrowskiego.

(Wyjątek z moich wspomnień.)

Jan Henryk Dąbrowski znanym jest dotąd jedynie z swoich czynów wojennych, nikt go nam jeszcze nie wystawił w jego codziennem pożyciu. Wkrótce i bardzo wkrótce przyjdzie czas gdzie już nie będzie tych co go zaznali, rzućmy więc choć kilka rysów tego obrazu, który już blednieje w pamięci, a który najdalszym nawet rodu naszego potomkom miłym być może.

Dnia jednego po paradzie wojskowéj w Warszawie która co dzień za W. Księcia na saskim odbywała się placu, rzekł Dąbrowski do nas kilku bliżéj stojących: „chłopcy pójdźcie do mnie na śniadanie; wybyście woleli pobiedz do Szowota, ale nie, — trzeba i starego odwiedzić i pogawędzić razem. Dam wam śledzia, sera i wódki. Wszakże i tego niezawsze bywało w obozie." Chętni wezwaniu poszliśmy za nim; ale nimeśmy doszli do poczty, gdzie wówczas na pierwszém piętrze mieszkał, już po drodze odznaczył się kilku rysami jemu tylko właściwemi.

Księgarz Zawadzki miał wówczas sklep swój przy pałacu Stanisława Potockiego; przechodząc więc obok

niego, wstąpił, popytał o różne dzieła nowo wyszłe, rozpowiadał różne anegdoty o dawnych księgarzach naszych, tak stałych jak i wózkowych, a nakoniec kazał sobie podać siedm dzieł wojskowych, każde innéj treści, i siedm egzemplarzy życia Czarnieckiego. Nie dziwiły nas pierwsze siedm dzieł wojskowych, bo każdy z nas wiedział, jak lubił czytać pisma podobnego rodzaju, lecz pojąć niemogliśmy tych siedmiu Czarnieckich. Zdziwienie nasze bawiło go nie mało, rzekł więc po kilku chwilach: „Panie Zawadzki, tych panów jest siedmiu, dla każdego więc jedno dzieło militarne i dla każdego jeden Czarniecki. Odeszlij im to do ich mieszkań, ja za każdego ręczę, lecz tylko do 1go przyszłego miesiąca. Odbierają żołd wtenczas, niechże zapłacą.“ I odwróciwszy się do nas rzekł. „Chłopcy effectivement wy musicie [a]) czytać i kampanie Fryderyka i marszałka de Saxe i Guiberta i tylu innych, ale nadewszystko Czarnieckiego. Czarniecki i 30letnia wojna nie odstępowały mię nigdy w bojach. Wielkimi wodzami byli zapewne Zamojski, Chodkiewicz; ale podług mnie pierwszym Hetmanem, i takim właśnie jakiegobyśmy najbardziéj potrzebowali był Czarniecki. Wielu z naszych mędrków zowie go tylko szczęśliwym partyzantem, ale przyjdzie czas gdzie mu wymierzą sprawiedliwość. Trudnaż to rzecz ta sprawiedliwość na świecie, nie dość być wielkim, trzeba jeszcze być uznanym za niego.“

Wyszedłszy z księgarni postępowaliśmy za nim zwolna, mówię zwolna bo zawsze było trzeba coś poprawiać w jego toalecie, która do najnieszczęśliwszych należała; to ostroga się odpięła, to szarfa nazbyt opadła, to pióro groziło upadkiem, jeden tylko pałasz jakby z nim zrodzony, trzymał się dzielnie znajomego sobie boku, a jeżeli czasem jęknął po bruku, to jakby z żalu po téj kurcie któréj już nie widział przy sobie.

---

a) Jen. Dąbrowski zatrącał z niemieckiego. ***Wy musicie*** stoi tu za Ihr müßt. Wyrazu *effectivement* co chwila używał.

Byliśmy już prawie na wchodzie do mieszkania Dąbrowskiego, kiedy nagle ujrzeliśmy idącą ku nam poważną matronę z prześliczną obok córą. Udawały się zapewne na przechadzkę do Saskiego ogrodu. Wszystkich nas uderzyła piękność tak nadzwyczajna, a gdy jeden z naszych dla krótkiego wzroku chcąc bliżéj w tak cudowne wpatrzyć się oblicze, zajrzał nieco pod kapelusz słoniący jéj wdzięki, kraśna dziewica przybrawszy się nagle w surową dostojność takim go powitała marsem, że się aż cofnąć musiał. Stary nasz uśmiał się serdecznie i rzekł *„dobrze ci tak!* Nieprawdaż, dodał, „że nasze Polki mają coś właściwego sobie, jakąś go- „dność wrodzoną, któréj nie łatwo zaimponować; każda „z nich zda się mówić: *a co mi zrobisz!* Adjutanciki „moje kiedy tylko mogły wybierały mi zawsze na gło- „wną kwaterę w marszu wioseczkę, gdzie zdala widać „było przy dworcu kilka topoli włoskich, gdyż zawsze „się trafiało że tam był fortepianik i panienki. Otóż to „w takich drewnianych dworcach, w których tylko są- „siedzka bywała szlachta a z których przez całe życie „niewyjeżdżano, chyba na imieniny jakie, święta lub od- „pusty, w takich mówię dworcach zdarzało mi się często „bardzo spotkać panienkę tak zgrabną, tak pełną godności „i gracyi, tak mile naturalną i tak skromnie lecz gusto- „wnie przybraną, jak gdyby wśród najpiękniejszego (jak „to mówią) świata wychowaną była. Często dziewice „podobne nie miały guwernantek i przez matki tylko „kształcone były; matki dobre gosposie, poczciwe kobie- „ty, zabite Polki, ale najmniéj powołane do podobnego „wychowania córek. Jak to być mogło, jak się to stało, „nigdy pojąć nie mogłem. Zdaje się że natura już im „to nadała, a traf szczególny, instynkt, takt wrodzony „rozwinął i dopełnił. Tém bardziéj się dziwiłem, że „takich zjawisk tylko w Polsce dostrzegłem. Ale co „dziwniejszego jeszcze, że w żadném pismie mówiącém „o kobietach, w żadnym romansie, poezyi naszéj, nie „znalazłem tych odrębnych rysów które same tylko Polki „cechują, a przecież jest w nich coś innego zupełnie,

„jakiś w mowie, ruchu, spojrzeniu wyraz narodowy, prze-„bijający się nawet przez francuzką salonową ogładę. „jakiś wdzięk udzielny, który wszyscy widzimy, czujemy, „kochamy, a przecież nikt go nam dotąd wytłómaczyć „nie umiał. Pojąć Polki, jest to pojąć większą połowę „narodu. Póki nie pochwycą ich znamion charaktery-„stycznych, póty nie będziemy mieli poezyi narodowéj. „Będą to ideały niemieckie, francuzkie, ale nie Polki."

Tu podciągnąwszy nieco zbyt szerokie szarawary, wszedł na wschody i wkrótce ujrzeliśmy się w pierwszym czyli służbowym jego salonie, gdzie zastaliśmy starych dwóch wąsali po cywilnemu ubranych i oczekujących na niego. Jeden z nich był stary żołnierz kaleka, drugi zdawał się być wyższéj niegdyś rangi wojskowym. Zwrócił się ku pierwszemu i taka między nimi powstała rozmowa.

Ktoż ty jesteś?

A ja z panem Jednorałem różne landy deptał.

Gdzieżeś był?

Naprzód jak mię od Cesarskich zagarnęli byłem u Francuza i zaraz biliśmy się tam... gdzie to... ale bo człowiek już tych Italskich przezwisk spamiętać nie może... tam... tam gdzie to Żubra zabito.

Jak to? Żubra? W batalii żubra?

Tak jest JWy Jednorale, Żubra.

Ale zwaryowałeś kochanku, gdzież żubry we Włoszech i któżby je w czasie bitwy gonił. — Wreszcie uderzywszy się w czoło i głośno rozśmiawszy, dodał: Zapewne gdzie jenerał Joubert zginął.

Tak jest, Żubr JWy Jednorale.

No i cóż daléj mój Żubrze?

Potém do legionów mię transportowali i służyłem u naszych. —

W czyjéj kompanii?

Poplewskiego Jwy Jednorale

Poplewskiego?

Tak jest, tego co go to pod Trebią zagarnęli jak Francuz zbankrutował.

I czegoż ty chcesz mój kochanku, zapewne pensyi? Trudno teraz o nią, zwłaszcza dla legionisty.

Jużci żeby dali toby człowiek przyjął, aleć mogę się i obejść jeszcze bez niéj. Mam przy zięciu przytułek, a na tabakę toć jeszcze jakoś się zarobi. Ja tylko chciałem pana Jednorała zobaczyć i, Bogu dzięka, jeszcze nam dobrze wygląda. (Tu obejrzawszy się ku drzwiom czy kto niepodsłuchuje): może téż panie Jednorale będzie kiedyś jaka zrywka, ruchawka, to stary Wawrzyn zawsze gotów do wojaczki.

Jużci że będzie, to będzie kiedyś, ale naprzód cicho o tém, a potém już my podobno tego obaj niedoczekamy, mój Wawrzynie. Bóg ci zapłać mój stary żeś mię odwiedził, masz tu talarka, idź do domu, a jak będziesz w prawdziwéj biedzie, to przyjdź do mnie.

Pocałował go żołnierz w kolano i wyszedł szczęśliwy.

A Waćpan czego chcesz? zapytał Dąbrowski drugiego.

Ten zamiast odpowiedzi cało-arkuszową podał suplikę. Rzucił Dąbrowski wzrok na podpis i papier:

Waćpan, rzecze, chcesz pensyi?

Tak jest, panie Generale, ojcze nas biedaków.

Otóż z tego nic niebędzie. Byłeś złym kapitanem, złym ubiorczym, złym komendantem placu, złym dozorcą lazaretu. Bądź kontent że się na dymisyi skończyło. Ani słowa za tobą nie powiem, nic nie dostaniesz.

Jakto panie Generale! Ja co 30 lat ojczyznie służyłem!

Właśnie dla tego że jéj 30 lat służyłeś! Cóż ci ta ojczyzna zrobiła, abyś przez tyle lat ją krzywdził, brał płacę, a tak niegodziwie jéj odwdzięczał. Bądź zdrów i proszę mię więcéj nie nachodzić.

Zostaliśmy więc sami, przyniesiono zapowiedziane śniadanie, lecz z dodatkiem hultajskiego bigosu i barszczu w filiżankach.

Jakże, czy dobry barszczyk? zapytał Dąbrowski wypiwszy swoją czarkę. Nie zawsze on tak smakował. Przypominam sobie jak będąc w Medyolanie zaprosiłem na wielki objad najznakomitszych Włochów. Chciałem ich ukarać za niektóre figle które nam płatali; mając więc kucharza starego polonusa, same im polskie po-

trawy przyrządzić kazałem a objad umyślnie spoźniać aby tém gorliwiéj potem zajadali. Krzywili się z początku moi goście, ale częścią z głodu, częścią polską zmuszani przynuką, żadnéj nie opuszczali potrawy. Nie doszliśmy jeszcze połowy objadu kiedy jedni kręcić się, drudzy blednieć zaczynają, a nie czekając końca wszyscy chwytają się za żołądki i uciekają jak szaleni. Co my się też wtenczas z Redlem i Pokoszem naśmiali! Stawamy przy drzwiach, zwracamy, prosimy, błagamy, gdzie tam! ani odwołać, ani uprosić podobna. Chorowało to wszystko przez kilka dni i myślało że potrute. Przez całe trzy miesiące o polskim tylko obiedzie rozprawiano w Medyolanie, dodając *barbara gente! barbara gente!* Mówią że i Suwarow zrobił im coś podobnego, ale czy prawda, niewiem.

Tu przeszedłszy się kilka razy około okrągłego stołu i spojrzawszy na butelkę gdańskiéj wódki, rzecze:

Szkoda że temu staremu żołnierzowi nie kazałem dać choć kieliszek. Zabawiali mię oni nieraz ci żołnierze nasi nieumiejący ani słowa po włosku. Idąc raz przez ulicę, widzę stojących naszych dwóch w sklepiku i o wódkę się pytających, ale ani podobna im się porozumieć z Włochem. Różne im rzeczy wynosi, podaje, nigdy to czego żądają, aż nareszcie po długiéj umowie, znakach, migach, przynosi im wódkę. Zaledwie zawąchnęli, każą sobie nalewać pytając jak się to po włosku nazywa, naco Włoch: *Aquavita*. No patrz Jaśku, rzecze jeden do drugiego, jakto głupie Włoszyska naszą *okowitę* przezwały! Dobre to były chłopki a zwłaszcza kiedy jeść co miały; ale broń Boże niedostatku, bili się wprawdzie zawsze dobrze ale też i mruczeli. Pamiętam jak raz jechałem wzdłuż maszerujących batalionów. Witano mię jak zwykle moim mazurkiem; przecież gdy wszyscy śpiewali *za twoim przewodem, złączym się z narodem,* jeden wisus krakowiak ozwał się *za twoim przewodem wszyscy pomrzem głodem,* i nuż za nim drudzy powtarzać i całemi to śpiewać batalionami. Udawałem że nie słyszę, konia puściłem w galop, a tym czasem zaczęła się bitwa po któréj znowu wszystkiego było dostatkiem.

Wszczęła się rozmowa o kampanii 1809. r. Przypominano różne jéj szczegóły, zaciętość Raszyna, bohaterską obronę Sandomierza, śmierć Lubomirskiego, gdy wtem jeden z naszych przywiódł na pamięć radę wojenną w starym Modlinie po opuszczeniu Warszawy, gdzie Dąbrowski te tylko wyrzekł słowa *„moją radą oni do nas, my do nich"* i wszystkich na stronę swoją przeciągnął i całą stworzył kampanią.

Wszystko to prawda, rzecze Dąbrowski, ale bez wzięcia mostu pod Górą niczby z mego planu nie było. Siemiątkowski powziął pierwszy i to niezmiernie zręcznie wiadomość o niedokończeniu mostu, a Sokolnicki, któremu o tém doniósł, zrozumiał że tu o każdą minutę idzie. Ruszył więc natychmiast, zdobył szaniec przedmostowy i przeszkodził przejściu nieprzyjaciela na prawy brzeg Wisły, na którym jedynie działać mogliśmy; inny jenerał byłby się namyślał, raportował, pytał, lękał odpowiedzialności, — on doniósł że poszedł, a drugi raz że zwyciężył. Dziwnym losem, tak zręcznego jak Siemiątkowski i tak spiesznie stanowczego jak Sokolnicki trzeba było w tém zdarzeniu, i obaj się znaleźli. Ale co do całéj téj kampanii, powiem wam, czego może ani się domyślacie, że rezultata jéj byłyby dla kraju daleko ważniejsze, gdyby jeden człowiek nie był wszystkiego zepsuł. Przykro mi mówić o tém, gdyż jako żołnierz był najmężniejszym, jako Polak najgorliwszym, a jako człowiek najpoczciwszym, najszlachetniejszym; was zwłaszcza hałaśne młodziki trzymał w ryzie i porządku. Tym człowiekiem był jenerał Fiszer, ówczasowy szef sztabu głównego, — tak jest, Fiszer.

Tu uchylił drzwi do głównego salonu i zawołał: Basiu! każ mi przynieść tę mapę co na samym wierzchu u mnie leży, zaraz pod wierszami Molskiego [a]). —

---

a). Znany poeta Molski o którym słusznie powiedziano·
Jakikolwiek jest los Polski
Zawsze wiersze pisze Molski
ciągle w owéj epoce składał rymy do jen. Dąbrowskiego.

Przyniesiono bezwłocznie a Dąbrowski rozłożywszy ją na stole, tak daléj mówił:

Patrzcie jak daleko Kamiński i Rożniecki byli się już posunęli w Galicyi, patrzcie gdzie już za Lwowem byli! Otóż ten cały kraj byłby przyłączony do Księstwa Warszawskiego, gdyż w skutku układów późniejszych, wszystko co przez nasze wojsko zajętém było, do nas należeć miało. Nie było tak gwałtownego powodu do ściągania ztamtąd całéj naszéj jazdy, ale na nieszczęście, Fiszer wyzdrowiał z rany otrzymanéj pod Raszynem, właśnie w téj chwili gdy Szaurot zbliżał się od Warszawy ku obsadzonemu przez nas Sandomierzowi. Przeląkł się tak rozległego działania naszego wojska, i mimo że Ferdynand, zaczynający się dopiero cofać od Warszawy, dalekim jeszcze był od przechodzenia na prawy brzeg Wisły pod Wisłoką, mimo że korpus Gallicyna, żółwim wprawdzie krokiem, zawsze przecież ku osłonie naszego lewego skrzydła postępował, mimo nakoniec wielkich zwycięztw Napoleona które spowodowały arcy-księcia do spiesznego i koniecznego łączenia się z główną armią austryacką i zkąd nigdy wielkiego postępu Ferdynanda na prawym brzegu Wisły lękać się niewypadało, przecież Fiszer wpływem swoim tyle dokazał, że całą jazdę ściągnięto aż z za Lwowa ku Wiśle; i tak, gdy nadszedł pokój, nie mogliśmy już tego otrzymać cośmy sami opuścili. Pytam się teraz, gdybyśmy nie byli tyle piechoty i jazdy zamykali niepotrzebnie w Sandomierzu, który cofajacy się na gwałt nieprzyjaciel po krótkiém zajęciu musiałby był opuścić, gdybyśmy byli mieli San i Wisłę, po naszéj lewéj Gallicyna, a całą jazdę w okolicach Lwowa zebraną, zagrażającą tak okropnie cofającemu się nieprzyjacielowi, byłżeby arcy-książę wdawał się w tę bitwę nad Sanem również dla niego jak dla nas niepotrzebną, niekorzystną? Jakże to ważniejsze daleko skutki byłyby dalszych naszych operacyi wojennych! Gdybym ja był wówczas w Trześni, nigdybym tego nie był dopuścił. Wiem ja zawczasu że niejeden okrzyczy się przeciw rozdwajaniu siły zbrojnéj,

lecz w tém położeniu rzeczy jakie wówczas było, słuszność na mojéj byłaby stronie.

Kilka chwil jeszcze mówiono o różnych czynach waleczności w téjże wojnie, to o zręczném ukradzeniu nocném nieprzyjacielskiego generała całém zasłonionego wojskiem, to o owéj markietance 2go pułku piechoty, co z bronią w ręku szturmując z innymi do Zamościa, w obec wojska krzyżem wojskowym ozdobioną została, to nakoniec i o owym woltyżerze polskim, co za pozwoleniem wodza naczelnego przeprawił się przebrany za Wisłę, i tak dobrze wnęcił się do armii austryackiéj że nawet za masztalerza do arcy księcia przystawszy, wszystko przejrzał, policzył i już 10. dnia z najdoskonalszym raportem o sile i ruchu nieprzyjaciela stawił się przed Poniatowskim. Przytaczano wreszcie tyle dowodów męztwa, tyle wyliczano zwycięztw, iż Dąbrowski rzekł nakoniec:

Wszystko to prawda moi Panowie, biliście się walecznie, więcéj może nawet niż kiedykolwiek rozwinęliście życia narodowego, przecież mojém zdaniem nadto cokolwiek rozgłaszaliśmy nasze tryumfy. Mimo wszystkich naszych wysileń i tylu pięknych czynów, nie byłby tak łatwo i spiesznie nieprzyjaciel ustąpił. Cofnął się on zupełnie, ale najwięcéj w skutku bitew Ratyzbony i Dunaju. Był tu onegdaj u mnie Niemcewicz i czytał mi bajkę swoją *Gęś i osiel*, w któréj doskonale i rodzaj téj wojny i naszą przesadzoną chwalbę odmalował. Muszę go o nią prosić, dla pokazania jéj wam. Wojna ta będzie sławną, ale nie z samego męztwa i zapału, bo nie raz już na świecie bito się tak walecznie, — nie z planu, bo i ten w sobie nic tak bardzo oryginalnego nie miał, — ale z tego umiarkowania wodza nieprzyjacielskiego, i obchodzenia się jego wojska z mieszkańcami, które do najrzadszych zjawisk należą. Żałuję bardzo że nie znam osobiście arcy-księcia, musi to być najszlachetniejsza dusza. Ten tylko co był zdolny tak śmiałego, godnego, i prawdziwie książęcego czynu pod Ulmem, ten tylko mógł się zdobyć u nas na tak piękne umiarkowanie.

Mamy wieńce obywatelskie, wojskowe, nie mamy odpowiedniego takiéj sławie. Byłby to laur europejski, laur ludzkości. Szczęściem jest że nie tak łatwo ginie pamięć czynów piękniejszych [a]). Zapytajcie naprzykład tu w Warszawie każdego mieszkańca, każdą przekupkę, dorożkarza, co wam powie o Kellerze. Jakąż on godnością w oczach moich jaśnieje wśród tego rozhukanego na żydów pospólstwa w czasie procesyi Bożego Ciała! Jakże to trzeba było być ludzkim, szlachetnym, cnotliwym, aby słowa jednych ust i w takiéj chwili wyrzeczone, tyle miały potęgi! Nie wiem jakby Żandr a nawet ktoś wyższy wyszedł na miejscu Kellera.

Wspomnienie czynu arcy-księcia pod Ulmem naprowadziło nas naturalnie na rozmowę o honorze wojskowym, kiedy wtem drzwi się otworzyły i wszedł Wybicki. Po zwykłém powitaniu — o czemże to mówicie?, zapytał. — O honorze, odrzekł Dąbrowski. Właśnie jeden z tych Panów utrzymuje że ani Grecy ani Rzymianie nie mieli naszego wyobrażenia honoru, a przecież tak wielkiém wsławili się poświęceniem. Musi to być przecież coś wziętego z natury ludzkiéj, kiedy tak szeroko, tak potężnie i tak trwale panuje. Pięknaż to gwiazda tak uroczym przyświecająca blaskiem wiekom rycerstwa. A wreszcie moi Panowie, ileż to ludzi znamy, którzy wszystko w burzy życia stracili, cnotę, religią, moralność, a przecież honor ich jeszcze jakkolwiek na lepszéj utrzymuje drodze. Czemuż im odejmować tę ostatnią deseczkę ratunku? Wreszcie, któż wie czy teraz właśnie nie jest on najpotrzebniejszy, odkąd wszędzie tak sprawiedliwie równość w obliczu prawa zaprowadzają. Pan Wybicki i stróż jego, w twarz uderzeni, równą i tęż samą od prawa zyskują satysfakcyą, przecież nie jest w nich równém zupełnie uczucie obrazy, które zawsze w wykształconym człowieku silniejszém będzie. Otóż w takich

---

a) W obec tych pochwał z żalem wspomnieć należy że arcy-książe w r. 1846. słabość niedarowaną, obojętność na wszelkie względy ludzkości w Galicyi pokazał.
(Przypisek z r. 1850.)

razach honor znajduje się tą drogą, która dopełni tego czemu prawo nie wystarcza, i wystarczać nie może.

Wszystko to pięknie, rzekł Wybicki, powiem wam przecie żem i ja raz z jednym proboszczem mówił o honorze. Nie mógł on nigdy pojąć tego, jak mówił, nowo wymarzonego uczucia, którego śladu ani w starym, ani w nowym testamencie nie znalazł. Utrzymywał on że ludzie zawsze popsują co Bóg zrobi, i tak, Bóg stworzył wino i cnotę a oni honor i piwo. Jedno jest niezrozumiałém, a drugie niemieckim mętem.

Śmialiśmy się serdecznie z tak trafnego porównania poczciwego proboszcza, gdy Dąbrowski z założonemi w tył chodząc rękami, stanął nagle i tak się odezwał: Najdziwniejsze w téj mierze zdarzenie zaszło u mnie w legionach. Miałem dwóch oficerów w jednym batalionie razem służących, którzy bez siebie żyć nie mogli. Razem zawsze mieszkali, na wszelkich przechadzkach, zabawach nigdy nie widziano jednego bez drugiego. Gdy jeden z nich na niebezpieczne stanowisko lub wyprawę był wysłanym, trzeba było i drugiemu zezwolić na dzielenie z nim niebezpieczeństwa. W bitwach, z oka prawie jeden drugiego nie spuszczał, tak iż przyjaźń ich stała się niejako przysłowiem w legionach. Raz nawet w pewnéj bitwie obaj ranni byli, i obaj w prawe ramiona, jak gdyby niebo same podobném obóch znamieniem nacechować chciało. Zresztą byli to młodzieńcy najuczciwsi, najszlachetniejsi i sławnie waleczni. Przyjaźń tak gorąca i niezmienna trwała przez lat wiele, i nikt niepomyślał nawet aby kiedy zakłócić się mogła. Zakłóciła się przecież. Dnia pewnego przed świtem przychodzą obaj do jednego z oficerów, z prośbą aby im w rozprawie honorowéj, w któréj jeden z nich musi umrzeć koniecznie, służył za świadka. Ten wziąwszy to naturalnie za żart ułożony, wzajemnym téż odpłacał im żartem. Gdy jednak w ciągu dni następnych z tąż samą zawsze i coraz żywszą powracali prożbą, silném naleganiem o istocie rzeczy przekonany, wszelkich do zgodzenia ich używał sposobów, lecz wszystkich nadaremnie. Tém trudniejszém

było ich pojednanie, że mimo prożb, błagań i gorących zaklęć, żaden przyczyny sporu wyjawić niechciał. Lecz co najdziwniejszego w tym względzie, że nie mogąc między swymi towarzyszami broni skłonić żadnego do przyjęcia w tak smutném i nadzwyczajném zdarzeniu roli świadka, ciągle jeszcze przez miesiąc cały aż do ostatecznego rozstrzygnięcia téj sprawy razem mieszkali, razem wszędzie chodzili i czulszą jeszcze niż dawniéj zdali się kochać przyjaźnią, jak gdyby myśl tak bliskiego i straszliwego rozdziału wzmagała jeszcze siłę ich przywiązania i rzewność troski. Nadszedł nakoniec dzień stanowczy, gdzie w towarzystwie uproszonego przez nich cudzoziemca z zachodzącém już słońcem udali się nad rzekę. Długo i długo jeszcze w niejakiém od świadka oddaleniu rozmawiali z sobą. Nie było tam widać żadnéj oznaki skarg, wyrzutów, — żadnego uniesienia, zapału. Niekiedy tylko czułe ściśnięcie ręki i łza w oku błyszcząca tkliwszą ich rozmowy zaświadczały rzewność. Po silnym wreszcie i długim uścisku wziął jeden z nich dwie drobne słomki, jedną krótszą, drugą dłuższą, i wyrównawszy ich końce nad dłoń wystające, podał drugiemu do wyboru. Starszy nieco wiekiem wybierał, i wybrał trafem dłuższą, która była wyrokiem śmierci. Straszliwa zwykle uroczystość chwili podobnéj okropniejszą jeszcze nasiękła tragicznością przez ten charakter nadzwyczajności, który odtąd przybrali na siebie. Żadna łza — żaden wyraz żalu — żadna zmiana twarzy, — jakaś zimna, rozdzierająca rezygnacya, — dziwna, trupia, nieznośna spokojność, — jakaś niepojęta wiara w konieczność śmierci, władały nimi jedynie. Słowa nawet jednego nie rzekli do siebie. Mający umrzeć zdejmował z siebie szaty, a gdy zdał się niecierpliwić oporem niektórych części ubioru, drugi mu do ich zdjęcia dopomagał, szukał nawet okiem największéj przy nadbrzeżu głębi, i tę mu wskazał zdaleka. Rozebrał się nakoniec pierwszy, stanął nad brzegiem, i raz jeszcze spojrzawszy po świecie, długi i żałośny wzrok wrył w przyjaciela, — kiedy nagle dał się słyszeć

krzyk nadbiegających z miasta oficerów. Rzucili się sobie wzajem na szyję, — oderwał się starszy, wskoczył w rzekę i zniknął. — Nie przeżył drugi po nim i miesiąca jednego nawet. Ranka jednego znaleziono go umarłego w łożu. Z pozostałych papierów najdrobniejszego nie było można utworzyć domysłu. Nikt w całéj okolicy niesłyszał o żadném zdarzeniu, kłótni, najmniejszym nawet powodzie do nieporozumienia. Żadna piękność miejscowa żałobną nie okryła się szatą. Z śmiercią obu przyjaciół znikła na zawsze okropna i niepojęta ich sporu tajemnica.

Byłby dłużéj jeszcze Dąbrowski rzecz tę prowadził, kiedy nagłe wejście generała Kuruty przeszkodziło temu. Przybył on z doniesieniem o ważnéj zmianie w kroju pantalonów i sznurowém po wszystkich szeregach jazdy polskiéj wyrównaniu wąsów. A że wyrok ten stanowczy i nieodmienny natychmiast na niektórych kompaniach miał być wyexekwowany, przeto i Dąbrowski na ten uroczysty obchód na plac Brülhowski zaproszony został. Z wyjściem generałów rozeszli się wszyscy.

Fr. M.

Poezye.

Modlitwa za Mickiewicza.

Boże przyjąć racz
Całéj Polski płacz,
Wstrzymaj groźny sąd
Na Adama błąd,
Co w tak sprośny bój
Wyzwał kościół Twój.
Podnieś nad nim krzyż,
Dumę jego zniż,
Zeszlij wiary dar,
Zgaś nieczysty żar,
Niech się wzniesie z win
Slawny Polski syn!
Boże przyjąć racz
Całéj Polski płacz.

Panie! brat to nasz,
Serce jego znasz.
Łatwo zbłąka szał
Pychę wielkich chwał,
Lecz niech Twoja dłoń
Grzeszną dotknie skroń,
A tam pod tron Twój
Taki tryśnie zdrój,
Takich żalów jęk,
Takiéj pieśni dzwięk,

Że z podniebnych chmur
Twych aniołów chór
Święty słysząc rym
Hymn swój zleje z nim.

Boże przyjąć racz
Całéj Polski płacz.

Zwróć go Panie, zwróć,
Okiem Ojca rzuć.
Ma-ż ten wzniosły dąb
W taką runąć gląb?
Ma-ż ta gwiazda spaść,
Z takim wstydem zgaść?
Boże, przez Twój cud
Pociesz biedny lud,
Już on tyle mąk
Z Twoich przyjął rąk,
Starych zbrodni pył
Krwią i łzami zmył.
Codzień nowy jęk,
Codzień kajdan brzęk,
Codzień wyższy grób
Do Twych sięga stóp!

Boże przyjąć racz
Całéj Polski płacz.

Biedna Komornica.

(Prawdziwe zdarzenie z zimy 1835 *roku.)*

Huczy wicher po Czajkowie
Wpośród śnieżnéj nawałnicy,
Jakże smutno, jakże zimno
W izbie nędznéj komornicy

Psa-by nawet nikt niewygnał,
Ją do miasta pędzi bieda,
Trzeba dziatkom kupić soli,
Nikt jéj w całéj wiosce nieda.

A więc czoło przeżegnawszy
Idzie pełna smutku, troski,
I ostatnim płaci groszem
I powraca do swéj wioski.

Uszła drogi już połowę,
Przekopała śniegi mnogie,
Widzi zdala wieś i chatę,
Widzi w myśli dziatki drogie.

Duma, czy jéj niepomarzły,
Ciągle ku nim oczy zwraca;
Każde tchnienie w śron się ścina,
Każda łza się w lód obraca.

Gdy wtem nagle blednie, stawa,
Znów się wolnym wlecze krokiem,
Drży nieszczęsna, słabnie, klęka,
I z oćmioném pada okiem.

Ból ją kraje, ból rozdziera
Straszny, znany z doświadczenia,
I okropny krzyk wydaje,
Krzyk rozległy! krzyk rodzenia!

Nigdzie w koło żywéj duszy,
Martwe tylko stoją drzewa,
A wiatr huczy, a śnieg leci,
Leci, rośnie i zawiewa.

Pędzi zamieć na zamiecie,
Głuche pod nią słychać jęki,
I z wysokiéj zdala fary,
Nieszpornego dzwonu brzęki.

I noc spada, i nic w koło
Już niesłyszy ludzkie ucho,
A po świecie tak okropnie
Pusto, wietrzno, śnieżno, głucho.

Błysnął ranek, i też same
Znów na jutrznią biją dzwony,
A od miasta ciągnie dziadek
Wiekiem, nędzą pochylony.

Idzie — patrzy — aż tu z śniegów
Sterczy jakaś chusta, głowa;
I odgarnia ile może,
I znać daje do Czajkowa.

Dwa dni, noce przeminęły,
Wiódł przez wioskę chłopek sanie
I zatrzymał je przed chatą,
I dwie trumny włożył na nie.

Jedna wielka, druga mała,
Obie w miejsce powiózł święte
Szły za niemi trzy sierotki
W zgrzebne płachty obwinięte.

I gwarzyli o tém ludzie
Od niedzieli do niedzieli,
I jak zwykle w świecie bywa,
Pogadali — zapomnieli.

Mówią tylko że kto w owém
Polu w nocnéj jedzie ciszy,
Zdala, jakby z głębi ziemi,
Niemowlęce płacze słyszy.

Kwili, kwili biedna duszka,
Chce się w górę wznieść nieboże,
Nikt nie ochrzcił jéj na ziemi
I do nieba dójść niemoże.

Takie jest mniemanie gminu w Wielkopolsce że Bóg ani do nieba niechrzczonego dziecięcia przyjąć ani téż potępić niemoże, i ztąd gdy czasem wśród nocy słyszymy coś nakształt kwilenia dzieciny, jest to jéj płacz rzewny, że ciągle wzbijając się ku niebu, ciągle ku ziemi powracać musi. Bliżéj Warszawy utrzymują że gwiazdy spadające są właśnie takiemi dziećmi, i że łatwo jest otworzyć im niebo, mówiąc szybko nim spadną na ziemię, słowa: „Ja ciebie chrzczę w Imię i t. d.“ Jedna z wieśniaczek w bliskości Mińska pod Warszawą szczyciła się przedemną, że takich dzieci przeszło pięć tysięcy w życiu ochrzciła, które pewno modlą się teraz za nią.

Dwie łódki.

Dwie łódki w nocy po rzecznéj głębinie
Nieme jak trumny cichym spieszą lotem,
Mijają siebie, a nikt niewie o tém
Że jedna z synem, druga z matką płynie.

On liczne, srogie przetrwawszy nawały,
Spieszy gdzie matka czeka go stęskniona,
Ona na groźne puściła się wały,
By go tém prędzéj przycisnąć do łona.

Ona, gdy nawy mijały się obie,
Czuła jak rzewna łza w jéj oczach drżała,
On taką błogość w całym uczuł sobie
Jak gdyby matki miłość go owiała.

I wciąż płynęły łódki spiesznym lotem,
I nagle straszna wśród nich burza wzrosła,
Zginęły obie — nikt niewiedział o tém
Że jedna syna, druga matkę niosła.

Płacz we śnie.

Czemuż to dziecię zawsze płacze we śnie,
Tak dziwnym w północ odzywa się jękiem,
Tak rzewnym głosem, tak smutnie, boleśnie,
Jak gdyby szczęściarozbitego dźwiękiem.

Wszakże kwiat zdrowia na licach mu płonie,
Świat jeszcze serca nie zranił mu niczém,
Miłość go matki na swém tuli łonie,
Modlitwa skrzydłem słoni tajemniczém.

O bo w niém smutna przyszłość się ukrywa;
Może już anioł cierpień tak żałośnie
Wcześnie na młodéj lutni to przegrywa
Co kiedyś na niéj ma zagrać tak głośnie.

Do wnuczki Izi.

W pierwszą rocznicę jéj urodzin.

Jak przelot ptaszka, jak pieśń wybrzmiała,
Jak żeglujący w górze obłoczek,
Tak już część twoich dni uleciała
I pierwszy spłynął ci roczek.

Będą tak mijać lata po latach
I cząt twoich łzą nie osmucisz,
Aż się tam kiedyś śpiąca na kwiatach,
Na cierniu życia przecucisz.

I tyś aniołku stworzon do krzyża,
Patrz jak ta dzika światowa burza,
Aż do kołyski twojéj się zbliża,
Złoty twój ranek ochmurza.

Zródełko naszych obaw, nadziei,
Wytrysłoś wśród téj czarnéj nawały,
Ileż to może słot i zawiei
Zmąci wód twoich kryształy.

Nie smuć się przecie — nie lękaj losów,
Módl się z twym ojcem i matką społem,
Pacierz z téj ziemi, litość z niebiosów
Nad twém spotkają się czolem.

Naucz się wcześnie giąć twe kolanko,
Naucz do modeł rączki twe wznosić,
Bo źle na świecie — o źle, kochanko;
I o tak wiele masz prosić.

Czyściejszéj prożby Bogu tam trzeba,
A nas tak wiele grzechów tu szpeci,
Próżno jęk winnych bije o nieba.
Niewinne módlcie się dzieci.

15. Czerwca 1850.

Szprudel Karlsbadzki.

Przypisany Andrzejowi Koźmianowi z wdzięcznością za przyjaźń tyloletnią.

Warzy się — szumi — huczy — miota — dąsa —
Bucha — żarem pryska,
Lew to, lew gniewny gąszczem grzywy wstrząsa,
Wzrokiem ogień ciska.

Widząc ten nawał wrzący, spieniony —
Tę groźną nurtu głębinę,
Rzekłbyś, że piekieł płomień zbielony
Przedarł się w słońca krainę.
Parząca chmura oblocznéj pary,
Jak gdyby z paszczy szatana,
Wiecznie nad temi kłębi się wary
I miota — wiatrem szarpana.

I skądże pędzi prąd ten gwałtowny
Gdzie zdobył skarb swój cudowny,
Jakież w podziemnych ciemniach natury
Przetętnił jary, otchłanie,
Jakież tam przeżarł głazy i góry
W jakim się warzył wulkanie?

Ileż tu tłumów! — jakże mnogie — różne,
Kołem ten kocioł otaczają wrzący!
I ja wraz z niemi, jakby po jałmużnę
Podaję kubek żebrzący.
Z innéj ja niegdyś czerpałem wody
I płynnym ogniem lał się wiersz młody,
Górniejsze w sercu tętniły bicia; —
Dziś równie wrzącą poję się krynicą
Lecz z jakąż różnicą?
Niegdyś dla chwały — dziś tylko dla życia.

Warzy się — szumi — huczy — miota — pieni
Groźny szprudel — król strumieni,
Bucha żarem, parzy.
A nad nim sceptyk Germanii marzy,
W drobne go, nikłe atomy rozkłada,
Każdą kroplę bada,
Przecież w swych domysłów nocy
Niewidzi cudu wszechmocy,
Kiedy tymczasem Bóg ten tak widocznie
Do swych tu dzieci spuszcza się corocznie.
Temu dłoń Jego święta, tajemnicza —
Zżółkłą już zwiędłość zdejmuje z oblicza, —
Temu złatwiając krok spętany męką
Zwolna ojcowską prowadzi go ręką.

Sam dźwiga z łoża zlanych cierpień znojem,
I gdy złość świata serce Mu zakrwawia,
On każdy kubek swym nalewa zdrojem,
I złych i dobrych uzdrawia.

Bratni — Słowiański Bohemii ludu,
Z twych to gór wywiódł Bóg to źródło cudu!
Bucha z gorących ziemi twéj wnętrzności,
I pędząc, jak krew twa pędziła w bojach,
Przez przodków twoich przedziera się kości,
Dźwięczy po hełmach i zbrojach.
Słuchaj — podsłuchuj tego głębi dźwięku,
Praojców twoich podziemnego jęku,
A gdy już wreszcie głos się tam ozowie,
Co ci Słowiaństwa wielki dzień zapowie,
Gotuj twe siły — miecz twój do zapasu —
Krzep się codziennie w źródle Zmartwychwstania,
Czuwaj — nie chybiaj, nie uprzedzaj czasu;
Poznasz, uczujesz porę do działania,
Kiedy twe dłonie stwardną jak twe skały,
Żądza odżycia serce ci znamiętni,
A jak Mołdawy twéj wzburzone wały
Tak krew w twych żyłach zatętni.

Karlsbad, 20. Lipca 1850

Fr. M.

Wiadomości bieżące.

Piśmiennictwo.

Obrazy litewskie przez Ignacego Chodźkę. (Wilno u Zawadzkiego).

Seria pierwsza, 2 tomy, 1837.
Seria druga, 3 tomy, 1843.
Seria trzecia, 3 tomy, 1844.
Seria czwarta, 2 tomy, 1846.
Seria piąta, 2 tomy, 1850.

Kiedy chcemy mówić o Ignacym Chodźce, nasuwa się konieczność rzucenia okiem po naszém społeczeństwie polskiém dawném i nowszém. Bez takiego poglądu niemoglibyśmy bliżéj oznaczyć stanowiska jakie zajmuje znakomity powieścio-pisarz, że niepowiemy dziejopis obyczajowy Litwy, niemoglibyśmy należytéj sprawiedliwości mu wydzielić.

U każdego ludu istnieje pierwsza granitowa warstwa rodzimych właściwości najdłużéj w zakresie domowego życia widoma. Wszędzie podstawę obyczaje domowe stanowią. Jeźli to jest prawdą ogólnie, wyraźniéj jeszcze jest prawdą w Polsce która niezawodnie więcéj jak którykolwiek naród europejski domowym obyczajom winna. Polacy w domu wyrabiali sobie pojęcia cnoty i wolności które ich zbroiły na rycerzy, na obywateli, i krajowi zapewniały blask a potęgę. Polki w domu na dobre córy, żony i matki, na dostojne matrony wychodziły. Wychowanie religijne, wstydliwość nawyknień, poważna prostota obejścia, pracowite od najwcze-

śniejszych lat przyzwyczajenia, zabezpieczały ojczyznie pokolenia ludzi pełnych zdrowia i siły. Niesięgano daleko by potrzeby zaspokoić. Ziemia własna dostarczała wszystkiego. Ziemię tę szanowano i kochano; między ludźmi a przyrodą ojczystą istniała ciągle że się tak wyrazimy zgoda orzeźwiająca i napełniająca duszę. Nie była też Polska po za światem. Naród łączył się duchowo z innemi narodami w kościele powszechnym i na polu ogłady umysłowéj, co jednak nieprzeszkadzało mu strzedz surowo domowego zakonu, i własnéj samoistności zazdrośnie chronić. Zkądinąd, że polacy długo chowali jędrność moralną i fizyczną, przypisać to w części należy naciskowi zewnętrznych okoliczności. Polska musiała z jednéj strony zasłaniać chrześciaństwo od Azyi, z drugiéj wstrzymywać zaborczy germanizm. Owoż to ciągłe natężenie, ta wojna nieustająca zbyć im czerstwości rycerskiéj przez liczne lata nie pozwoliły.

Niepodajemy tu marzenia o złotym wieku, zgryźliwéj krytyki teraźniejszości. Gwałtowne namiętności, lekkomyślne naśladownictwo, zdradziecki wpływ obcych, wielokroć mąciły wielką harmonią i psuły piękność rysów ogólnego obrazu, to rzecz niezawodna. Cóżkolwiekbądź, utrzymujemy że w kraju naszym przechowywała się wiele wieków w całéj sile a przechowuje się jeszcze do dziś dnia w odbiciu, tradycya szlachetnych staropolskich i szczeropolskich obyczajów, tudzież że przeświadczenie o ich znaczeniu żyje w sumieniu naszém.

Koleją koniecznych lub przypadkowych zdarzeń historycznych wciągał w siebie powoli naród pierwiastki obce. Popychały Polaków na zachód stosunki polityczne, popychała poważna lub lekkomyślna ciekawość. Oprócz tego handel i przemysł cudzoziemców wdzierały się choć niewdarły zupełnie do staréj warowni. Wracający z cudzych krajów podróżni jęli coraz więcéj smaku nowego i myślenia nowego w domy przodków wnosić. Mieszkania były im zaciasne, płody ziemi niewystarczające. Zaczęto zmiany od rzeczy zewnętrznych, wszakże za reformami materyalnemi poszły i reformy moralne. Epoka tych niespokojnych dążeń przypada za synów Kaźmierza Jagielończyka. Dla nowatorów wszystko co istniało w kościele, w państwie, w prawie, w obyczaju, znalazło się niewygodném i niedostateczném. Ręce świętokradzkie targnęły się na największe świętości. Po kilkakroć probowano kraj odnowić, nastroić do zgody z pewnemi ruchami zachodniego świata, zawsze z uszczerbkiem żywotności wewnętrznéj i siły. Wśród targań uzuchwalała się przedewszystkiém indywidualność człowieka, a skoro węzły sprzęgające społeczeństwo rozwolniły się lub popękały, pojedyncze

ambicye wielki prąd dążenia narodowego odwróciły w boczne koryta. Rozproszenia kierunków winni są przedewszystkiém możni. Nie zasady ale imiona panów, podzieleni na obozy bracia jako godła wywiesili. Ale stan rycerski przeląkł się reformy religijnéj i oligarchicznych uroszczeń. Szlachta powstała ku obronie kościoła tudzież ku obronie swobód własnych i kiedy u wierzchołka nieprzestały się jawić usiłowania reformatorskie, na dnie żywéj społeczności narodowéj urządzono z całym fanatyzmem opór zachowawczy. Nie widać miary, często zdrowego rozsądku z jednéj i z drugiéj strony, wszakże instynktu polskiego więcéj pokazała strona liczniejsza. Rzeczywiście kraj potrzebował napraw ale nie reform całkowitych, wewnętrznych z siebie wysileń a nie teoryi cudzoziemskich. Należało zaprowadzić porządek, niegodziło się obrażać wiary i zwyczajów Próżno Skarga, próżno mała liczba wielkich a czystych umysłów, wskazywali tę drogę, próżno do upamiętania, do ładu, do jedności, do posłuszeństwa jednych i drugich nawoływali, próżno wyrzucali zaślepienie, prywatę, ucisk włościan (rzecz obojętną dla stron obu), namiętności ostateczne poszły swoim torem. W szlacheckiéj rzeczypospolitéj wzniosła się nieprzełamana granica niby mur ściśle zamykający stan rycerski ze wszystkiemi jego przywilejami, zwyczajami i przesądami. Obwarowano się nienawiścią cudzoziemczyzny któréj szatą wszystkie idee reformy osłonione przychodziły. By przełamać niezwyciężony opór, nowatorowie zaczęli się wiązać z obcemi. Idea obca zbrojno wdarła się do wnętrza narodu. To spowodowało jeszcze silniejszą, jeszcze szlachetniéj uzasadnioną obronę. Ale cóż wynikło? Oto na długie lata, na dwa całe wieki zawrzała walka domowa, przeszkadzając wewnętrznemu rozwinięciu narodowemu, ulepszeniom rzeczywistym i prawowitemu wpływowi ogólnéj chrześciańskiéj oświaty. Póki jeszcze trwały wojny zagraniczne, naród siły natężał i zdawało się że ma zbiorową potęgę; mówiono ***Polska nieładem stoi***, a ona stała koniecznością ratowania się wspólnie od niebezpieczeństw publicznych. Gdy atoli podpisano pokój Karłowicki, gdy Moskwa poczęła rozrastać się na wschodzie i południu, i przejęła niejako obowiązek zatrzymywania hord azyatyckich, Polska rozpadła się wyraźnie na stronnicze obozy. Owóż reformatorowie polscy nieprzestali wzywać pomocy wojsk zagranicznych; wróg zaś cudzoziemiec przychodził jako sprzymierzeniec jednéj fakcyi, w imie prawa tłómaczonego przez nią, i wpływy swoje przymierzami lub zwycięztwami gruntując, przeszkadzał pogodzeniu zwaśnionych braci. Ostatnie sceny tego okropnego dramatu odegrały się za Stanisława Augusta. I przyszła śmierć polityczna, i naród przemocą rozszarpany

wydany został na łup demoralizacyi obcéj. W tém smutném położeniu wiele cnót polskich odżyło. Wiara w zbawienie, poświęcenie dla sprawy, także wojenna ochota zajaśniały w całym blasku. Wszakże, z boleścią przyznać trzeba że obce pojęcia materyalne, obce zwyczaje i niewiara obca, pod łudzącemi pozorami oświaty i postępu przedarły się do źle strzeżonych przybytków narodowego obyczaju. Skutki tego zaślepienia widzimy coraz wyraźniéj.

Bądź co bądź, od niedawna zaczęto u nas rozpamiętywać czasy ubiegłe; ocknęły się pobożne usiłowania by odszukać i przechować wszelkie pamiątki przodków. Praca to zacna i wielce użyteczna. Każdy naród, by się odrodzić, potrzebuje znać przeszłość swoją. Z przeszłości czerpa się siła rzutu, w przeszłości jest nieprzełamana siła oporu. Poszukiwania rozbiegły się w rozmaite kierunki. Wszystkie mają swoją wagę, wszakże do najbardziéj zajmujących liczą się krzątania tych co próbują tradycye obyczajów narodowych zebrać i w całość powiązać. Takie zadanie wziął przed się od lat kilkunastu Ignacy Chodźko.

Ignacy Chodźko ma prawdziwą miłość przeszłości narodowéj; tém się on zaraz na pierwszy rzut oka różni od pisarzów artystów, co tylko fantazyują o staropolskich rzeczach. Najdzielniejszy reprezentant szkoły artystycznéj, autor ***Pamiątek Soplicy*** upodobał sobie dzieje szlacheckie jedynie po epokę konstytucyi 3 maja, i w mysli jakoby że to co w powieści wskrzesza zamarło niepowrotnie w rzeczywistości, potępia teraźniejszość, przyszłość z nadziei ogołaca. Chodźko, który mu niewyrównywa talentem i wykształceniem, ale który lepiéj i czyściéj kocha, nie dzieli, nie ćwiertuje historyi rozszarpanego narodu, uczuć kraju nie obraża, nadziei się i ufności w Bogu nie wyrzeka. Zkądinąd należy on do bezwzględnych, często przesądnych wielbicieli starych szlacheckich obyczajów-wiecéj powiemy, wszystko co opowiada pokazuje tak wyraźną stronność, że często trzeba przyzywać w pomoc zdrowego rozsądku i krytyki historycznéj, by się niedać uwieść powabnym bo szczerym, a szlachetnym bo na przekonaniu opartym uniesieniom.

Jakiekolwiek przecież usterki sądu napotkaliśmy ***w Obrazach litewskich,*** biorąc całość opowiadań pozwolimy je sobie nazwać relikwiarzem narodowym. Obyczaje, zwyczaje, cnoty, charaktery, szczegóły życia domowego, jaśnieją tam wybitnie a jaśnieją w oprawie poetycznéj rzewnością i prostotą. Chodźko nie jest sztukmistrzem, nierozmierza epizodów, nierozporządza umiejętnie szczegółów, charakterów starannie nierozbiera, brak mu często wstrzemięźliwości i smaku wytrawnego; niekiedy przewlekłość w jego ***Obrazach*** nuży;

mimo to wszystko widzimy życie i urok w postaciach, wdzięk prawdziwy w krajobrazach, tęsknotę polską w natchnieniu *Obrazy* oprócz tego przedstawiają częstokroć wzory żywota domowego; naukę moralną tém łatwiejszą do przyjęcia że w powabne kształty przybraną.

Dziś kiedy tyle niebezpieczeństw ostatnim zabytkom narodowych obyczajów zagraża, kiedy tak jest potrzebna podnieta do szanowania i kochania dobrych tradycyi przodków naszych, nie od rzeczy będzie otworzyć skarbiec pamiątek zebranych przez litewskiego pisarza, i szczegółowo szereg jego powieści rozpatrzyć.

Pierwsza Seria obejmuje siedem obrazków: „*Domek mojego dziadka*" — „*Boruny*" — „*Śmierć mojego dziadka*" — „*Ostatnia sesya exdywizyi*" — „*Samowar*" — „*Powrót dziedzica*" i „*Poddany.*" —

Autor zaczyna od swoich własnych wspomnień. Z całą miłością opowiada dni swojego dzieciństwa i pierwszéj młodości, pokazując na jakiéj drodze powziął wyłączne przywiązanie do rzeczy ojczystych. Dom dziadka jest dla młodzieńca węzłem wiążącym go z ojczyzną, narodem i przeszłością. W tym domu niema nic nadzwyczajnego. Starzec spracowany, człowiek prosty, szlachcic drobny, dolicza tam dni w pokoju i wierze najczystszéj, krzepi się wspomnieniami dni minionych i ludzi minionych, rad też opowiada wszystkim a tém bardziéj wnukowi dawne powieści. Za dom on nietęskni, niczego ze świata nie pragnie, po Bogu i ojczyznie ukochał kąt rodzinny, pracę rolną. Dziadek niebogaty w nauki książkowe, posiada za to całe bogactwo rzędności, pracowitości i cnoty; ta biegłość w zakonie domowym objawiająca się rymowanemi przypowieściami, przysłowiami, prognostykami, przewodniczy drobnemu szlachcicowi przez żywot cały i przeprowadza go aż do grobu, z zachowaniem cnoty i mienia całego na spuściznę wnukom. Dzieje dni szczęśliwych w zaciszu przepędzonych opowiada autor z tak miłą prostotą, że czytający zda się brać najżywszy udział nawet w ćwiku o ziarnka grochu. Jakże to bogaty obraz ludzi opływających w szczęście prawdziwe, bo mających czyste sumienie i żądze stłumione, bo umiejących nic niepragnąć. Święta wielkanocne, powrót studenta z oracyami francuzkiemi, których ani słowa nierozumie, uciecha familijna z ćwiczeń pamięciowych ukochanego dziecka, wszystkie te drobnostki zamienione w wielkie uroczystości familijne autor doskonale kreśli. Opowiadania dziadka stanowią prawie całą powieściową intrygę trzech pierwszych obrazów. Z tych opowiadań najrzewniejszém jest wspomnienie OO. Jezuitów a

mianowicie księdza Obłoczymskiego. Dziadek był sam wychowańcem Jezuitów, a że im zawdzięczał wszystko to co umiał z nauki i przestróg na życie całe, więc kochał zakon z całéj duszy. Jezuici we wsi pana Widmonta mieli skromny klasztorek, dokąd ksiądz Obłoczymski (były profesor retoryki w Żodziszkach) przybył na rektora. Uszczęśliwiony Widmont odtąd w księdzu niegdy profesorze swoim znalazł najlepszego przyjaciela. Co się tyczy czcigodnego kapłana ten prócz świętości namaszczenia kapłańskiego niemiał nic czémby się wznosił nad poziom parafii szlacheckiéj. Gdy razu jednego exorcyzmami dokuczał niemiłosiernie jednemu z djabłów w szlacheckiém ciele, djabeł ustąpił ale przepowiedział straszne nieszczęście zakonowi jezuitów. Wnet też przepowiednia ziściła się bullą Klemensa XIV. Ganganellego, kasującą zakon. Scena uroczystego odczytania bulli i rozejścia się zakonników jest wielce rozrzewniająca. Ksiądz Obłoczymski przyszedł potem do przyjaciela, do pana Widmonta na chléb dożywotni, i dwaj starce wiele lat żyli z sobą jak bracia. Ksiądz uprzedził przyjaciela na sąd boży, a pan Widmont został aby po nim nieraz zapłakać i wnukowi opowiadać wspomnienia towarzysza pracy i spokoju.

Następuje drugi obrazek „*Boruny.*" Boruny to miasteczko przytulone do stóp bazyliańskiego klasztora rozgłośnego od dawnych czasów szkołą litewskiéj dziatwy z sąsiednich powiatów, a w któréj autor spędził dni pierwszéj młodości. Obrazek ten żywszy od pierwszego zdobią wybitne postacie, jak naprzykład postać żebraczki Raduciny, kobiety na wpół szalonéj, ale w chwilach zdrowéj przytomności tém nadzwyczajniejszéj. Wróżka to wypróbowana, lekarka, usłużna każdemu, pani tajemnic szerokiéj okolicy sąsiednich powiatów, osoba pożądana od wszystkich, przecież postrach na dzieci a często i starszych o ile zabobonnych. Drugą postacią jest ostatni pustelnik na Litwie pod Borunami. Człowiek ten upoetyzowany i obleczony w cały urok świętości, dogorywa z wiarą i ufnością w Bogu, z wspomnieniami bolesnémi nieszczęść doznanych w życiu. Pustelnik czczony przez dziatwę boruńskiéj szkoły i szanowany od całéj okolicy, zda się wychylać jak doskonały chrześcianin z głębokich gdzieś wieków nieskalanéj przeszłości. Daléj przesuwa się wyborna figura księdza profesora fizyki, ukochanego od studentów przywódzcy zabaw, wszystkich rekreacyi i majówek. — Majówka stanowi doskonały obraz: muzyka studencka, zalecanki wyrostków panów dyrektorów do panny Katarzyny, śpiew światowy księdza fizyka zaintonowany na pochód dziatwy: „*Ozdobo twarzy, pokrętne wąsy!*", gościnność gospodarza, zabawy z rodzinami i powrót z tęsknotą do szkoły,

wszystko to wybornie uchwycone. Powieść kończy się popisem szkolnym jako sceną najwyższego podniesienia.

Smierć dziadka dopełnia wspomnień opowiadaniem zgonu przewidzianego i obliczonego przez starca co się nań gotował z całą pokorą i uszanowaniem dla praw bożych i ludzkich na ziemi.

„*Ostatnia sesya exdywizyi*, *Samowar*, i *Powrót dziedzica*" tworzą drugą całość. Z góry zapowiedzieć musimy, że lubo i tu pojedyncze charaktery dobrze są oddane, to przecież szereg obrazów mniéj nas uderzył. Widzimy w nich tylko wady i złe nałogi. Jedna cnota starego sługi z całém familijném przywiązaniem do dziedzica domu któremu od dwóch pokoleń służy, trochę światła na czarne tło rzuca. Że każda postać wzięta jest z żywego świata temu nieprzeczymy. Młody i marnotrawny panicz dłuży się i upada, przyjaciele go gubią a potém rzucają się na majątek i ten biorą w podział. Pieniactwo jest dobrze odmalowane, a wystąpienie starego gaduły poczciwego sługi w obronie panicza przewyborne. Wypędzony i obrany z ziemi wziętéj w exdywizyą młodzieniec rusza w dalekie strony do krewnych; tam żeni się bogato i powraca z gotowizną do oczyszczenia mienia ojczystego. Ekonom niepoczciwy co kradł najlepiéj i z dochodów pańskich w wierzyciela zmieniwszy się wziął z exdywizyi część ziemi najlepszą, ma pewną oryginalność w swojéj chciwości i rubaszności. Żona z głuchą i ślepą na występki męża prostotą, córka otarta już o polerowniejsze zfrancuziałe towarzystwo, malują zetknięcie się nowego ze starym światem w domu dorobkowicza. Koncept starego sługi, mszczącego się za pańską krzywdę rozlaniem ukropu z samowaru na sąsiedztwo winszujące imienin parweniuszowi, wydał nam się mierny mimo żywości opowiadania i pewnego bogactwa szczegółów. Powrót dziedzica z żoną, powitanie starych sług opuszczonych, spotkanie się z przywiązanemi chłopkami, uważamy za bardzo ładną scenę.

„*Poddany*" wedle przypisku stanowi jedną z najdawniejszych prac autora. Jest to rzecz słaba bardzo. Chłopak wzięty do posług panicza i jakby na igraszkę a dla emulacyi razem z nim uczony, puszcza się w świat i w prawnictwie dorobiwszy się imienia i dostatków, zostaje szambelanem króla Stanisława. W tym stopniu poznaje zbiega stary marszałek dworu wojewody i z fanatyzmem szlachecczyzny chce go ściągnąć z wysokości stanowiska a wepchnąć w poddaństwo dawne. Zięć wojewody znosi się z teściem. Oni dwaj wyprobowawszy cnotę szambelana na miłości braterskiéj i synowskiéj, wyzwalają go z poddaństwa i zakrywają tajemnicę jego rodu. Cała powiastka tę tylko ma wartość, że

dopełnia szeregu prac autora i pokazuje postęp coraz świetniéj rozwijającego się talentu. Na niéj kończy się seria pierwsza obrazów.

Serja druga zawiera: *„Brzegi Wilii,"* przez całe trzy tomy jedną powieść, a raczéj na jednym wątku jak na sznurku nawleczone najpiękniejsze obrazki.

W téj seryi autor ograniczył się do kilkomilowego wybrzeża Wilii, i do najprostszego przedmiotu konkurencyi młodego człowieka do panny prezydentówny. Młokos walczy ze starym ale bogatym rywalem panem szambelanem, zwycięża go szczęśliwie i żeni się nakoniec. Oto i cały zawiązek. Ale na tle niewyszukaném rozwinął autor całe bogactwo uczuć i spostrzeżeń. Ludzie jakich wprowadza wszyscy są czystéj krwi. To pierwotwory narodowe przechowane w zaciszu wiejskiém niepokalanie, z cnotami, obyczajami i zwyczajami a nawet i wadami.

Wstęp niejako stanowi pociągnięcie wzrokiem i myślą po wdziękach rodzinnéj ziemi litewskiéj. Najdziksze jary i najprozaiczniejszych ludzi jeszcze autor w szaty poezyi przyozdobił. Odwiedziny zamku po Trockim wojewodzie, którego potomki hulają gdzieś po świecie, kiedy w gnieździe ojców sługa tylko stary, niby kustosz, wspomina czasy ubiegłe i modli się za dusze tych co go uprzedzili na sąd boży; opowiadanie starca w obec dawnych portretów, stanowią związanie umarłego z żywym światem. Daléj autor pozostawiwszy zamczysko zagląda do rodzinnego swego domku, przyjmuje gościa młodego przyjaciela, a potem z nim wyjeżdża w sąsiedztwo na huczne imieniny pana prezydenta. Pan prezydent żyje dworno, nie mierzy wprawdzie dochodów z rozchodami, ale ma dom wesoły, przyjaciół lik, i córeczki piękne. Uczta i tańce opowiedziane żywo. Hipolit, przyjaciel autora, na ochocie owéj stracił serce, pokochał się w pannie Helenie, córce najstarszéj prezydenta. Hipolit bywalec, po stolicach kształcony, umiejący ludzi prostych pochwycić za umysły, panience od razu zakradł się do serca. Choć obcy i nikomu nieznany wnet zdobywa sobie w kole braci szlachty dobrą życzliwość; niebawem nawet rej między młodzieżą wieść zaczyna. Hipolit zapuszcza się wyraźnie w zaloty, a do tych zalot oprócz przyjaciela co go w dom wprowadził przychodzą mu jeszcze w pomoc ludzie przeczuciem dobrze dlań uprzedzeni. Zdawałoby się że wszystko musi pójść pomyślnie. Ale nie taki rzeczy obrót biorą. Pan szambelan, milioner, samochwalca, pyszałek, stary kawaler, kutwa, gdera, typ owych romansowych tyranów konkurentów, pan szambelan ni mniéj ni więcéj tylko pięćdziesiąt sześcioletni antyk, rzuca oczy na pannę Helenę, ojcu jéj pożycza pieniędzy, a osidliwszy pre-

zydenta, lada chwila ma zakończyć interes na ślubnym kobiercu. Zaloty pana Hipolita niewsmak idą szambelanowi, niewsmak prezydentowi, ale panienka i poczciwa matka stają po stronie młodzieńca całém sercem. Owoż w takiém umysłów nastrojeniu poczyna się z całą strategiką parafijańską wojna konkurentów. Szambelan zbity z toru powodzeniem Hipolita, postanawia wstępnym bojem wojnę zakończyć; wypowiada więc pożyczone summy prezydentowi.

Po kilkodniowéj uczcie młodzieńcy odjeżdżają do domu, obaj zakochani, obaj szukają rozrywki w polowaniu; tam goniąc sarny ogarami w kniei, zapędzają się do brzegów Wilii. Na Wilii spotykają flisów prowadzących na galarach zboże do Królewca. W młodych głowach wnet powstaje myśl dziwaczna. Wilia ztąd płynie do wsi prezydenta, wodą drogi mil ośm, podróż oryginalna, zabawna, trzeba sprobować wodnéj podróży; a brzegi Wilii piękne, cel podróży powabny! Więc zaraz wchodzą z wioślarzami w mowę. Stary sternik zimno ich projekt przyjmuje, powoli przecież kupują sobie dobrém sercem u starca przyjęcie na galary i płyną. Strzelcom kazali wracać do domu i zadysponować aby im drogą powóz przysłali. Dwóch młodych ludzi, stary sternik na wodzie zestarzały, wnuk jego Jakóbek i milczący wioślarze — oto cała gromadka, cały świat sunący się po srebrnych Wilii falach, pomiędzy dzikiemi jéj wybrzeżami. Tak są ciasne ramy obrazka, a przecież ta podróż na Wilii stanowi bodaj najpiękniejsze dzieło Ignacego Chodźki.

Sternik Bartłomiéj mistrzowsko jest przedstawiony. Opowiadania jego własne młodym podróżnikom rozwijają całą długą szkołę życia jaką przeszedł i w któréj się wyrobił z pracowitością niezmordowaną, cnotą wyprobowaną. W dzieciństwie od ojca sternika przeznaczony na organistę, marnuje on w klasztorze kilka lat czasu, ale niewdzięczny głos i niezgrabne do klawiszów palce, niepozwalają mu w żaden sposób zajaśnieć talentem na horyzoncie nawy kościelnéj. W końcu wypędzony przez przeora jako darmozjad, powraca do ojca i puszcza się z nim na Wilią ze zbożem. Wnet ukochał wody Wilii i życie wędrowne a urozmaicone. Ojciec zatrzymuje go ostatecznie przy sobie. Odtąd co lato Bartłomiéj prowadzi sznurem statki ładowne zbożem litewskiém do Królewca i zarabia grosz skromny uczciwie. Po wybrzeżach Wilii zna on wszystkich ludzi, wszystkie szlacheckie dwory, i nawiedza w podrożach drugie już i trzecie pokolenia. W rozmyślaniach samotnych, w ocieraniu się między ludźmi, Bartłomieja rozsądek wrodzony nabrał bystrości i doświadczenia. Ta osobliwsza szkoła ukształciła go i dała mu pojęcia zdrowe i obszerne. Ów żywy kronikarz brzegów Wilii

opowiada młodym podróżnikom liczne historye przywiązane to do pagórka, to do ruiny kościoła, to do stosa kamieni, co wszystko grupuje się w cudownie piękną panoramę. Nie tu koniec; przebiegły a domyślny Bartłomiéj pochwycił wnet tajemnicę celu podróży paniczów, co więcéj, dowiedziawszy się o co idzie, czynną rolę w téj awanturze miłosnéj przyjmuje. Ma on wspomnienia i w domu prezydenta, tak jak je ma wszędzie nad Wilią; staje się przeto figurą niezmiernie ważną. Nocleg pod gołém niebem, wieczerza i modlitwa, ranek mglisty i dalsza podróż w czasie któréj łapią szczupaka i polują na kaczki, stanowią zajmujące sceny. Ale otóż i nowa figura. W ciągu żeglugi wypada spoczynek u stóp dworca przeglądającego się w wodach Wilii. W dworcu mieszka pan Tadeusz, koniuszyc. Jestto kawaler podżyły co wyperswadował już sobie konkury i ożenienie, gościnny i serdeczny, porządny najsystematyczniéj w domu i całém gospodarstwie; zresztą w powiecie kochany od wszystkich, wtajemniczony w sprawy domowe każdéj rodziny, pożądany z radą w przypadkach nadzwyczajnych, wicegospodarz na walnych festynach, swat niezmordowany i zręczny, przytem gaduła, słowem człowiek u którego całe serce na wierzchu. Pan Tadeusz od lat wielu znajomy ze starym Bartłomiejem, czatuje już na niego z wybrzeża, i zaprasza wraz z młodzieńcami na śniadanie. Z panem Ignacym dawną już miał zażyłość, z Hipolitem obcym w tych stronach znał się od imienin prezydenta na których był wicegospodarzem. Koniuszyc ma współczucie dla miłości Hipolita ku Helenie. Rzeczy układają się wybornie. Właśnie prezydentowa poleciła koniuszycowi wyrozumieć coby za zamiary miał pan Hipolit, a razem doniosła o ataku szambelana przez wypowiedzenie kapitału. Hipolit wyznaje koniuszycowi swoją miłość, co więcéj, bierze na siebie obowiązek zapłacenia szambelana. Trzeba się tylko spieszyć bo prezydent oczarowany majątkiem szambelana zdecydował się oddać mu córkę: nazajutrz dzień mają nastąpić urzędowne oświadczyny. Składają tedy walną naradę, koniuszyc robi plan sobie tylko wiadomy i następnego ranku puszczają się daléj w podróż wodą. Na miejscu zastają czekające na siebie powozy. Niecierpliwy Hipolit, co chciał aby mu galary sunęły po wodzie lotem sokoła, gdy już z towarzyszami dojeżdża do dworu, spostrzega sześciokonną karetę szambelana zbliżającą się do promu na Wilii. Nie ma więc ani chwili czasu do stracenia. Spieszą; przed gankiem prezydent wita dość niechętnie niespodziewanych i nie w porę przybywających gości. Za to pani prezydentowa i Helena odpłacają im uśmiechem radości zły humor gospodarza. Gdy w ogrodzie Hipolit korzysta z czasu by uczucia swoje wypowiedzieć Helenie, szambelan z księdzem przeorem

piechotą najniespodziewaniéj się jawią i przerywają scenę tak ważną. Rywale zmierzyli się ostrym wzrokiem; jeden względami ojca, drugi miłością panny i życzliwością matki zbrojny, poczynają walkę z całą zręcznością. Ale nim rozstaniemy się z Bartłomiejem posuwającym się daléj wodą, trzeba nam wspomnieć ostatnią jego usługę dla Hipolita. Właśnie gdy szóstka szambelana spuszczać się miała do przewozu, galary Bartłomieja zastąpiły drogę, skręciły się niezręcznie i prom zgruchotały. Wściekłość porywa szambelana, chciałby kijem obić niezręcznego sternika, ale Bartłomiéj zręcznie spycha galary z mielizny i rusza daléj, a Jakóbek skacze z radości. W takim przypadku szambelan odsyła konie dalszą drogą, a sam z przeorem siada na łódkę i jak widzieliśmy piechotą kończą podróż. Opowiadanie szambelana przejmuje podróżników wodnych wdzięcznością dla starego Bartłomieja. Następuje obiad, a w czasie obiadu jedna ze scen najzręczniejszéj szermierki przeciwników na koncepta; koniuszyc rozwija tam całą potęgę swoją na pobicie szambelana. Po obiedzie szambelan poczyna się kręcić około pochwycenia stosownéj chwili do urzędowych oświadczyn. Ksiądz przeor głuchy a lubiący gawędę i sekreta ma grać rolę swata. Pan Tadeusz jak dzielny wódz z całą precyzyą wykonywa plan przez siebie skreślony; zrekognoskował on naprzód wszystkie punkta, pocieszył pannę, naradził się z matką, zręcznie obiecał pieniądze prezydentowi na zapłacenie szambelana, a teraz poleca panu Ignacemu zająć szambelana w jednéj altanie ogrodu, gdy sam w drugiéj zaczyna traktować z przeorem; Hipolitowi dostała się rola zabawienia prezydenta przez pół godziny dysputą o gospodarstwie; kobiety mają się tylko modlić do Boga. Gdy Ignacy zawzywa szambelana aby się wytłómaczył z owéj żądanéj summy pożyczonych pieniędzy prezydentowi i oświadcza że chce takową natychmiast mu wypłacić, pan Tadeusz głuchemu przeorowi zaczyna roztrząsać sumienie. Powiada mu że temi swatami cztery pogrzeby gotuje; pogrzeb panny, pogrzeb matki, a wreszcie pogrzeb szambelana i Hipolita, którzy się pojedynkować będą. Cała ta scena z głuchym przeorem wpada do uszu szambelana konferującego o interesie z panem Ignacym. Przeor bogobojny odprzysięga się swatów i ucieka na modlitwę, szambelam gniewa się i złości ale postanawia cofnąć się. Wyjazd nagły szambelana, który pozostawia przeora, zdumienie gospodarza, plączą się w niezrozumiałą intrygę, którą zwycięzki wódz p. Tadeusz rozwiązuje oświadczynami Hipolita o rękę Heleny. Przeor ślubodawca całego powiatu, błogosławić będzie młodéj parze. Odtąd płyną dni pogodne w domu prezydenta. Ale przed samym ślubem zasępia się widnokrąg. Prezydent chce intercyzy przedślubnéj i zapisów. Z jego strony

ku sporządzeniu aktu, staje pan podstoli prawnik znakomity ale staréj daty, ze strony zaś pana młodego Władysław kuzynek, młody prawnik wedle pojęć najświeższych. Wyborna jest scena sporu jurystycznego. Stary chce całą fortunę pana młodego owładnąć. Władysław postanawia niedopuścić żadnych zapisów. Stary wyczerpał się, stracił czas napróżno i został pobity. Wchodzi na to prezydent, a dowiedziawszy się rezultatu wpada w gniew ogromny, a chociaż już powozy zajeżdzają do ślubu chce zerwać wszystko. Ale pan Tadeusz swat nielada, rzuca z lamentami i płaczem na głowę prezydentowi żonę, sam tymczasem zabawia całe towarzystwo. Jeszcze nie zdecydowany prezydent wchodzi na salą gdy mu padają do nóg państwo młodzi, prosząc o rodzicielskie błogosławieństwo. Widok ślicznéj pary rozbraja ojca. Następuje ślub, a potem całe pasmo dni szczęśliwych w bogobojności, pokoju, pracy i przestawaniu na małém. Cała ta powieść tak pełna życia, że czytający nieustannie obcuje z towarzystwem i idzie za wypadkami z współczuciem. Nigdzie tam niedojrzeć przesady, nadzwyczajności, wszystko znajdujemy opowiedziane najzręczniéj Jeżeli przedstawienie żywéj rzeczywistości jest sztuką, Chodźko tą razą zasłużył na miano mistrza.

Serya trzecia zawiera „*Pamiętniki kwestarza.*“ Dzieło to ma podwojną wartość, raz jako rzecz sztuki, drugi raz jako obrazek historyczny. Opowiadanie kwestarza zaczyna się za czasów Stanisława Augusta, a kończy po kampanii 1812 roku.

Pamiętnik doskonale naśladujący język i opowiadanie starych dyaryuszów szlacheckich zrazu jest niby spisywany przez marszałka dworu wojewody, jednego z magnatów i ludzi politycznych. Marszałek pan Michał Ławrynowicz przywołany przed wojewodę aby zastąpił w sekretarstwie zachorzałego księdza kapelana i wzięty na examen, pokazuje dowcipnie, że więcéj umie jak infimista. Skoro trafił w humor wojewodzie, przypuszczony zostaje do rady jakby napisać do pana podstolego, którego trzeba skaptować przed sejmikiem na stronnika, — czy całe *Wielmożny Mości Dobrodzieju*, czy per abreviationem, na końcu czy *uniżony* czy *najniższy sługa.* Pan Michał dowcipnie i skutecznie rozstrzyga te wątpliwości wojewody, wciąga następnie kopią owego listu w dyaryusz pański zwykle przez księdza kapelana prowadzony, a innéj ręki wielu ciekawemi zapisany rzeczami. Zbudowała pana marszałka ta księga, przejrzał ją, więc rzeczy pożyteczniejsze zamierzył sobie przepisać; nadto postanowił utrzymywać własny pamiętnik. Gdy nazajutrz marszałek objawił tę myśl księdzu kapelanowi, pobożny kapelan myśl dobrą pochwalił, a pochwyciwszy wojewodziński dyaryusz pokazywał rzeczy co najciekawsze i radził najpierw przepisać swoje dwa kazania i bo-

gaty zbiór sentencyi w obu lingwach polskiéj i łacińskiéj, rytmem przez siebie ułożonych. Zabawny jest opis dyaryusza. Na pierwszéj karcie ręką księdza kapelana namalawany w konterfekcie herb pana wojewody takie ma pod sobą wiersze:

„Otwarta brama, z świętéj niebios rady,
„Dla Tadeusza cnót ślicznéj parady;
„Za którą i sam postępując w tropy,
„Walny odprawi wjazd do nieba z Europy."

Koniec końcem, marszałek dyaryusz prowadzić zaczyna i na początek daje relacyą sejmiku województwa Połockiego w Uszaczu. Wojewoda należący duszą i ciałem do partyi królewskiéj, ma sobie poleconém od króla JMci przeprowadzenie na posłów panów *Sulistrowskiego* i *Brzostowskiego*. Partya przeciwna forytuje kandydatów miejscowych *Sielickiego* i *Reuta*. Pan wojewoda wyprawia się do Uszacza z kuchnią, kredensem, piwnicą, i oprócz licznéj klienteli braci szlachty przy szablach, bierze z sobą do orszaku kompanią piechoty z porucznikiem Piekarskim. Opozycya nie drobniejsze posiada siły, do niéj należą całe zastępy drobnéj szlachty, któréj Sieliccy i Norniccy przewodniczą. Małe tedy miasteczko Uszacz naraz staje się obozem zbrojnego rycerstwa. Partye równe siłą i animuszem, zażywają sztuki i podejścia. Chodźko owe agitacye równie dobrze jak niegdyś Soplica maluje. W całéj gromadzie niewidać żadnego principium, idzie tylko o osoby. Zacząwszy od wojewody wszyscy sami niewiedzą czego chcą właściwie i wykonywają obroty, których kierownicy aż w stolicy przy królu lub na czele opozycyi się znajdują. Wojewoda zręcznie chwytać umie za umysły drobnéj szlachty i popularnością kupuje sobie uwielbienie pijanych przeciwników. Biesiady i traktowania dyplomatyczne wspomagane kielichami wina i dzbanami miodu, zastępują obrady parlamentarne. Ale partya opozycyjna choć nieraz zachwieje się po pijanemu, to wytrzeźwiawszy z większym stawia czoło uporem, nareszcie obsadza kościół, do którego ani stronnictwa wojewody ani jego samego wpuścić niechce. Ale marszałek pan Michał Ławrynowicz z rotmistrzem Rudominą i Stanisławem Świebodą, dwoma potężnemi filarami sejmikowemi, niedają się zbić z toru. Marszałek dostaje klucz od zakrystyi, przez którą i wojewodę i adherentów jego do kościoła wprowadziwszy opanowywa najważniejszy punkt strategiczny, krzesło prezydencyonalne i kancelaryą sejmikową. Szlachta drobna wybucha wściekłością że ją tak podstępem z tyłu wzięto. Niektórzy, zwłaszcza obywatelstwo z traktu Żupońskiego, gotowi są rzecz tę rozstrzygnąć szablą. Jeden z przywódzców, niejaki

Junosza, wykrzykuje nawet; *„zdrada! Twardowskiemu djabeł sekunduje.“* — Aliści pan Michał zgorszony wspomnieniem czarnoksiężnika i djabła w kościele, powstaje z hukiem na Junoszę kacerza i bluźniercę. Zwrot piorunującéj wymowy marszałka do pobożnéj braci szlachty, wydaje owoc bogaty. Junosza chowa się pod ambonę. Niedość tego że umilkł, trzeba było całą jego chorągiew rozproszyć. Stanisław Świeboda wnosi aby heretyka Junoszę spalić. Porczyńscy krzyczą: *„palić!”* Szerzy się okrzyk: *„spalić Junoszę!”* Ale marszałek dorzuca podejrzenie że Junosza nietylko heretyk ale i czarownik, więc wnosi aby go pławiono jak czarownika. Jeżeli utonie, to wyciągać go nie trzeba bo heretyk, jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik! Teraz szlachta ciekawa operacyi wrzeszczy: *„pławić!”* — *„spalić!”* Tymczasem Junosza widząc najlepszych nawet przyjaciół przeciwko sobie, chyłkiem wynosi się z kościoła i zmyka do domu, partya zaś jego bez wodza marnieje. Mimo to jeszcze zgody niema na posłów, z obu stron innych kandydatów wywołują: aż w tém zajeżdża pocztą przed kościół pan *Sulistrowski* kandydat z polecenia króla. Sulistrowski moderat i dworak, całą postać rzeczy zmienia. Przywozi on łaski królewskie dla podkomorzego Sielickiego jednego kandydata opozycyi, drugiego pana Reuta obietnicami rozbraja. Szlachta z wszechwładną wolą swoją zostaje bez kandydatów. Słyszy o łaskach królewskich zlanych na pryncypała swego pana Sielickiego, ciekawa jakie to łaski, dowiaduje się pobocznie, że został posłem do Turek zamianowany przez króla, i cały trakt Żupański szlachty na sumpt królewski ma wziąść do boku dla ostentacyi. Szlachtę opromienia radość z takiéj pryncypała promocyi. Sesya zostaje solwowana, następuje obiad, a na obiedzie kończą się dyplomatyczne zabiegi: zupełne odnoszą zwycięztwo kandydaci królewscy. Szlachta żupańska tymczasem chcąc pokazać radość swoją z promocyi podkomorzego, zbiera się w dziedziniec z dzbanami miodu i krzyczy *„vivat Pan podkomorzy Sielicki poseł turecki!”* Wtedy dopiero dla sprostowania pogłoski fałszywéj, następuje z hukiem moździeży i waltorni ogłoszenie z ust samego pana wojewody, że pan Sielicki nie posłem do Turek ale kasztelanem Połockim mianowany. Pośród grzmotu kapeli i dawania salwy ogniem za komendą Piekarskiego przez całą kompanią piechoty, wypada jeden strzał grandkulkami prosto w pierś pana wojewody. Polityka nakazała zataić tę straszną zbrodnię, wojewoda pada na łoże chorobą niby nagłą przyciśniony; sprowadzony nocą spiesznie doktor, sławny medyk ojciec jezuita, daje ratunek rannemu, a nowy senator pan Sielicki kończy sejmik reassumując urzę-

dowo — panowie Sulistrowski i Brzostowski jednogłośnie posłami obrani. Sejmik zakończony.

Niemasz w tym obrazie ani jednéj figury obojętnéj, każda ma wyraźne cechy, ma wartość wyraźną.

Następują wypisy sentencyi z dyaryusza pana wojewody, a po przerwie jakoby brakujących w rękopiśmie wielu kartek zaczyna się nowe wcale opowiadanie. Marszałek coś na dworze skrewił, i to tak grubo, że gdy nie było nadziei przebłagania gniewu pańskiego uciekać musi. Ucieka tedy i przechowuje się w klasztorze w *Głębokiem* u Karmelitów. Przeor daje mu przytułek, ale lęka się gniewu pana wojewody, więc wyprawia Michała daléj. Ku zakryciu peregrynacyi trzeba się oblec w habit i wąsy ogolić, a nawet szablę zostawić. Przeor przy téj okazyi radzi porzucić awantury światowe, a poświęcić się chwale bożéj i pokucie — słowem namawia do pozostania w habicie. Marszałek bierze rzeczy na głębokie rozmyślanie, żal mu świata i szabli, jedzie daléj i zajeżdża do Mińska do ubogiego klasztorka Karmelitów. Przeor tamtejszy zakłopotany przybyciem darmozjada, dowiaduje się z listów rekomendacyjnych o co chodzi. Tymczasem nawija się sposobność pozbycia gościa. Kustosz bernadyński przyszedłszy wezwać na celebrę przeora, spotyka marszałka w habicie i z kazaniem zaprasza; dowiedziawszy się zaś całéj historyi, zabiera go z ochotą, gdyż właśnie trzeba mu dworaka do kierowania ucztą odpustową i podejmowania zbierającéj się kapituły. Kustosz sztuka energiczna i sprężysta, polubił wnet Ławrynowicza, jął nawet na niego przypuszczać coraz zręczniejsze ataki o przejście do życia zakonnego. Kustosz wyborny jest ze swojém przysłowiem *„ot co jest!"* którém kończy wszelkie rozumowania, rozkazy i rady. Marszałek daje się skruszyć. Światowiec, dworak znudzony awanturami, gdy poznał ciszę zakonną kruszy się i obłóczy habit bernadyński. Nie idzie jednak na mszalnego ojca, tylko na braciszka. Kustosz z swojéj strony, zażywając zdolności byłego marszałka na pożytek konwentu, oddaje mu kwestarstwo i szeroką instrukcyą, z cudnemi spostrzeżeniami o świecie i ludziach na długiém doświadczeniu opartemi. Zaczyna swój nowy zawód pan Michał puszczając się w podróż w dwa wózki jednokonne, ze starym kwestarskim woźnicą Marcinem, dwoma baranami wyuczonemi na przewodników stada (po zakonnemu *prewadyry*) a zowiącemi się ***Barabasz*** i ***Eliasz***, tudzież psem ***Pamfilem***.

Nim atoli wyprawimy brata Michała na kwestę, musimy się nieco zatrzymać. Ojcowie Bernadyni tego lata właśnie odprawiają kapitułę w Nieświeżu. Kustosz zabrawszy ze sobą Michała, którego już szczerze pokochał, zajeżdża do Nieświeża.

Fizyonomia zebrania patrów teologów, jubilatów, profesorów i definitorów, doskonale ale tylko z rubasznéj strony uchwycona. Ale najważniejsza figura jaka tam występuje jest *Karol Radziwiłł, Panie kochanku.* Radziwiłł syndyk klasztoru Nieświeżskiego przychodzi na kapitułę i dyktuje absolutnie wszystkie uchwały. Naznacza nawet gwardyanów, a gdy mnichy rozgniewane chcą stawić opór, Radziwiłł schyla czoło przed prawem i ogranicza się do obowiązków syndyka; mianowicie bierze cały zarząd świeckich spraw na siebie, odcina ojców od refektarza i kuchni, do siebie na zamek sprowadza i poić zaczyna najokropniéj. Na téj drodze zyskuje jednomyślność, i stało się że w kilka dni uchwalono to wszystko czego chciał książę. Kustosz przez Radziwiłła wyznaczony na gwardyana do Nieświeża dla tego że polowanie lubił i bił niedźwiedzie, zatrzymuje przy sobie brata Michała i oddaje mu kwestarstwo. Teraz następują opowiadania zręcznie powiązane w wędrówce kwestarza; jest tam doskonały wizerunek Radziwiłła *panie kochanku*, jest historya sławnego *Wołodkowicza*, rozstrzelanego za napad z szablą na trybunał kadencyi ruskiéj. Cały ustęp o Wołodkowiczu znajomy już z pamiątek Soplicy jest ściśle historyczny. Kwestarzowi opowiada ten wypadek dworzanin niegdyś Wołodkowiczów, obecnie na dożywotnim chlebie książęcia zostający leśniczy. Dalsze pamiętniki pełne są szlacheckich anegdot i dykteryi. Stary kwestarski furman naucza nowicyusza kwestarza sztuki przymawiania się o jałmużnę i niemałą jest pomocą panu Michałowi. Napotyka się też piękny ustęp, obrazek domu bogobojnego starosty. Staropolska cnota w prostocie swojéj rozumie powinności obywatelskie, ale nieumie rozróżnić między nauką nową i szkodami z niéj wpłynącemi a prawdziwie dobrém wychowaniem dzieci. Wedle panującéj mody sprowadzony do domu guwerner Francuz, wszczepia niewiarę w młode serce syna starosty i niszczy wszystkie zarody cnót staropolskich. Miejscowy pleban przez przywiązanie do rodziny starosty uczy się języka francuzkiego z nadzwyczajną wytrwałością, aby mógł kontrolować nauki Francuza. Jestto prześliczny charakter, prawdziwy anioł stróż narodowości i cnoty. Przeciwnie postać wdowy po trzech mężach, nałogowéj wielbicielki trunków, wydał nam się przesadzony.

Po znacznéj przerwie czasu autor prowadzi daléj pamiętniki. Przeskok obejmuje lat dwadzieścia przeszło. Już widać obyczaje i ludzi zmienionych. Było to w czasie wkraczania Francuzów do Wilna w epoce kampanii 1812 roku. Cichy tylko Zakon OO. Bernadynów Wileńskich w niczém się nieodmienił. Wiek przygniótł brzemieniem lat i kusztosza i kwestarza, ale za to pomnożył ich doświadczenie i zwiększył mi-

łość obyczaju narodowego. Tęsknią obadwaj za dawniejszym poczciwszym czasem i nietracą wiary w odrodzenie się i oczyszczenie narodu. Świat cały a więc i Litwa brzmią chwałą Napoleona cesarza. Zestarzały ksiądz kustosz, chylący się już do grobu, prosi tylko Boga aby mu jeszcze pozwolił przed śmiercią oglądać tego wielkiego bohatera. Obraz cofających się z Wilna Moskali i następnego wnijścia Francuzów zdaje się być wzięty z opowiadań naocznych świadków. Świątobliwy kustosz dostępuje upragnionego szczęścia, i spostrzeżenia swoje przymierzywszy do pierwéj słyszanych powieści o czynach Napoleona, „ot co jest“ odzywa się po dawnemu. Po zobaczeniu cesarza, staruszek słabnąć poczyna, i umiera. Jak życie jego przeszło spokojnie i bogobojnie, tak były piękne i ostatnie chwile. W ostatnich dniach rozporządza majątkiem złożonym z kilku pamiątek i książek, i kona pośród modlitw w sposób rozrzewniający. Odwrót z Moskwy posępnie zajmuje ostatnie stronnice pamiętników kwestarza. Straciwszy przyjaciela idzie pan Michał do odległego a ubogiego klasztoru kwestować na biednych braci; unosi ze sobą tylko różaniec i seksterniki z pamiętnikami swojemi. W drodze napadają go marodery francuzkie, objuczają tłomokami i nielitościwie pędzą z ciężarem. Jeden zabiera mu jego staroświecki po kustoszu odziedziczony kałamarz, dobywa z niego drogich papierów i podsyca pamiętnikami ogień biwakowy. Rozpaczająco patrzy zrazu starzec na płonące swoje pisma, potém rzuca się na uratowanie reszty. Następuje scena między żołnierzami, z których jedni stają w obronie własności kwestarza. Już ma przyjść do bitwy, ale rozbraja ich starzec poświęcając papiery dla ocalenia krwi bratniéj. Pan Michał rozpoczyna nową wyprawę na kwestę w obcych stronach lub oddawna zapomnianych. Zajeżdża téż do domu starosty. Starosta z żoną dawno już pomarli, córeczka za mąż poszła, a syn? — Syn służy w wojsku francuzkiém, jest pułkownikiem i właśnie nawiedza majętność ojczystą z tłumem pijaków i szulerów. Jakaż różnica w przyjęciu kwestarza! Gość w tym domu niegdyś tak pożądany i miły, dziś zostaje znieważony od bezbożnéj gawiedzi. Pokora mnisza i zręczność kwestarska do czasu zastosowana i ludzi, potrafiły i tutaj obudzić wspomnienia w sercu gospodarza; wszakże jałmużna dawniéj tak uroczysta, dzisiaj zostaje mu rzucona pogardliwie i lekkomyślnie. Idzie kwestarz poszukać noclegu do oficyny; tam nieraz z plebanem nadwornym nocował, nieraz odmawiał pacierze. Plebana już nie ma, ale znajduje dwóch staruszków białowłosych, sług po zmarłym staroście, marszałka i dworzanina, obu na łaskawym chlebie z zapisów testamentowych pana. Starcy kochają się i wspominają przeszłość jednako, ale o przy-

szłości i czasach dzisiejszych inaczéj trzymają. Jeden kombinuje gwiazdd szyki, obserwuje komety i horoskopy sporządza. Drugi zatopił się w biblii i z apokalipsy tłumaczy dzisiejsze wypadki. Prześladują się wzajemnie za swoje niedorzeczności, ale najzawziętsza dyspyta przyjaźni ich nienadweręża. Obaj są radzi gościowi którzy im dawne czasy przypomina. Pożegnanie starościca rankiem, rozwiązanie kwestyi czy jest dusza, przymówienie się zręczne o jałmużnę, należą do dobrych szczegółów. Żal bierze na widok spółeczeństwa znajdującego się w pierwszym stopniu wynarodowienia. Autor ma zasługę że umiał ten żal obudzić. Obraz domku Amurata Tatara, potomka owych jeńców sprowadzonych na Litwę i osadzonych w koloniach, dopełnia nauki. Pośród chrześciańskiego narodu przez cztery wieki spolszczył się Tatar bez śladu obcego pochodzenia; krwią okupił on sobie obywatelstwo, został mu tylko islamski koran na różnicę, a i tak Bernardyn znajduje u niego lepsze cnoty i obyczaj jak w zepsutych rodzinach chrześciańskich z imienia. Powieść kończy się opowiadaniem napadu maroderów francuzkich na wracającego z jałmużną kwestarza. W sam czas przybywa oddział polskich ułanów, w którego dowódzcy poznaje kwestarz syna swojego niegdyś sejmikowego przyjaciela Stanisława Świebody. Młodzieniec nawet szablą Michała Ławrynowicza wojuje. Uścisk serdeczny zamyka książkę.

Serya czwarta obejmuje: *„Jubileusz”*, — *„Duch opiekuńczy”* — *„Autor swatem”*, i *„Panna respektowa.*

Ze wszystkich pism Ignacego Chodźki ta serja jest najsłabszą i mimo szanownych jak zawsze dążeń, mimo wartości pojedynczych charakterów, oryginalność narodowa i swoboda opowiadania giną. Litwa pobladła, powiastki dadzą się przyswoić każdemu innemu kawałkowi ziemi ojczystéj, a bodaj że i na obcéj ziemi byłyby swojskie, miejscowe.

Jubileusz przedstawia obraz czasów jakoby dzisiejszych, typy narodowe znikły z przed oczu, widać człowieka powszechnego, w formie kosmopolityzmu. Nawet nikt już z aktorów nie tęskni za obyczajem czysto narodowym którego bodaj że już nie zna. Treść powiastki następująca. Człowiek pracowity i poczciwy żeni się z piękną kobietą młodszą o lat dwadzieścia. Wybiera sobie przezornie osobę ubogą i powolną swéj woli. Pierwsze lata płyną téj parze dość szczęśliwie. Ona go nie kocha miłością, ale czuje dla niego przyjaźń dostateczną. Oprócz tego córeczka jest węzłem połączenia, zadatkiem trwałości szczęścia. Razem zachmurza się niebo. Ona poznaje młodzieńca wychowańca wielkiego świata, który lekomyślnie zakrada się w jéj serce. Biedna kobieta przywięzuje się całą potęgą pierwszéj miłości.

Otóż mąż spostrzega co się dzieje. Kocha on żonę nad wszystko, kocha honor i dziecie jedyne, zakrywa więc przed światem swoje nieszczęscie, co więcéj, troskliwie uważa rozwijanie się téj miłości, aby w chwili stanowczéj zapobiedz upadkowi kobiety i ogólnemu zgorszeniu. Kochanek namawia występną żonę do rozwodu. Ona się waha, ale za chwilę namiętność przeważy. Widzi to mąż z przejętego listu i pierwszy raz przychodzi z zapytaniem dokąd by to wszystko prowadziło. Niewdzięczna wybucha gniewem, miasto upokorzenia się oświadcza mu że go nigdy nie kochała, że się rozwiedzie i pójdzie za kochanka. Mąż na tem poprzestaje i to w jakiś smutny uczuciowy sposób. Kochanek tymczasem jedzie w podróż do Warszawy i pod groźbą nakazuje mężowi aby szanował jego narzeczoną. Na to zuchwalstwo uczuciowo-rozumny mąż ocala dni swoje dla córki, któréj matka już nie kocha. Dziwne jest pożycie w jednym domu rozerwanych na zawsze małżonków. Tymczasem listy od młodzieńca ustają. Ona w rozpaczliwém oczekiwaniu, zaczyna kochać męża dla tego że ją pociesza nadzieją powrotu kochanka. Ale otóż straszna wieść przychodzi że zdradliwy kochanek ożenił się z inną. Opuszczona tak haniebnie kobieta, wpada w straszną chorobę i umiera. Owdowiały zaś mąż zbiera wszystkie listy od kochanka do żony swojéj pisane i odsyła mu z napisem: *„zbójcy na pamiątkę.”* Jest to cała zemsta znieważonego męża. Uspokaja się potém wdowiec, i przelewa całe swoje kochanie, całą troskliwość na córkę pozostałą. A gdy widzi nadzwyczajne podobieństwo w licach do matki, stara się tak ją wychować aby charakteru po matce nieodziedziczyła. Próżne zabiegi. Jakiś szarlatan Francuz, ucząc rysować dziewczynę, zawraca jéj głowę deklamacyami aktorskiemi. Ojciec znowu chce systematycznie leczyć córkę z niewczesnéj namiętności, tym czasem ona ucieka w świat z kochankiem. Teraz dopiero miękki całe życie człowiek twardnieje na raz jak skała i nietylko że nie ściga córki, ale wypiera się jéj na zawsze. Córka ta wziąwszy ślub za granicą i parę chwil szczęśliwych w upojeniu przeżywszy, traci naraz męża. W istocie, był to ksiądz zbiegły, rozbójnik potém, słowem zbrodniarz skończony. Porzucona w Dreźnie, gdy lęka się gniewu ojca i niema czoła pokazać się przed nim, zarabia rysowaniem na kawałek chleba, nareszcie zapada w chorobę i nędzę ostatnią. Z téj toni dobywa ją rodak, przejeżdżający Litwin. Wiadomość o nieszczęśliwéj dochodzi ojca, ale on słyszeć nie chce o niczém. Posyła jéj tylko spuściznę po ciotce, z zakazem zbliżania się do siebie. Nadchodzi Jubileusz. Starzec znękany nieszczęściami i lat brzemieniem wkopuje drugi krzyż Jubileuszowy i łzami skrapia

ziemię poświęconą pamiątce powszechnego odpustu. Schorzała córka jego zjeżdża także na Jubileusz do rodzinnego gniazda. Nikt jéj zgoła nie poznaje. Nadchodzi kazanie zakończające ową wielką w chrześciaństwie uroczystość. Serdeczna wymowa kapłana budzi zapał powszechny, zgromadzeni pobożni zaczynają ze łzami ściskać swoich nieprzyjaciół i przebaczać sobie wzajemnie nienawiści. Stawa i nieszczęśliwa córka przed skruszonym ojcem, ten przebacza jéj i przyciska do serca. Tak się kończy powiastka któréj niebrak interesu, dramatyczności, nawet wysokich moralnych dążeń, ale która nie przypada do stroju z obyczajowemi opowiadaniami dawniejszemi; zkądinąd, jeżeliby świat nasz tak źle miał wyglądać, możnaby wątpić czy kiedyś przyjdzie Jubileusz pojednania dzisiejszego narodu z tym co żył pierwéj.

Krócéj wspomnimy o reszcie powiastek czwartéj Seryi. „*Duch opiekuńczy*," mimo czerstwych w ciągu rozumowań, jeszcze jest słabszy. Treść tam następująca: Żołnierz wraca po wojnie do rodzinnéj wioski, ale pogardza ogłuchłą exystencyą zwyczajną. Więc staje się odludkiem i żyje tylko wspomnieniami chwały. Gdy i te wspomnienia pobladły z czasem, już więcéj wartości nie przywiązuje do życia. W tym upadku budzi się w nim od dawna zgłuszona wiara. Obrządek uroczysty kościelny, słowa pokornego i bogobojnego kapłana rozniecają ową iskierkę. Wojownik duma samotnie w ruinach zamku, a znudzony czczością życia wyzywa i zaklina duchy nadziemskie by mu się pokazały. Duchy nie jawią się. Z kolei wznosi myśl do Boga i woła cudu. Cud następuje. Stawa przed starcem duch opiekuńczy. Ów duch zapuszcza się w nieskończone rozumowania ku zbudowaniu niedowiarka pułkownika. Na dowód swéj władzy, budzi z grobu przeszłość; wskrzesza scenę zamordowania Kiejstuta w zamku Krzewskim. Po téj scenie daje nadzieję pułkownikowi że jeszcze będzie szczęśliwym, niech tylko szuka pociechy w religii, i znika. Skruszony pułkownik zaczerpnąwszy w serce wiary poczyna znowu żyć, kochać i czuje się szczęśliwym. Cały ten obrazek jest niezręczny w pomyśle, dziwaczny i przesadzony w wykonaniu. — Wiara i jéj tajemnice zbyt pospolicie wyglądają w ustach nadziemskiego ducha, anioł nie nosi na sobie uroku świętości, cud zaś jest zabobonem, snem albo pijaństwem fantazyi.

„*Autor swatem*" nie posiada więcéj wartości. Student kocha się w dorastającéj córce sąsiada; skompromitowany jakiemś dzieciństwem nie śmie jéj się więcéj pokazać. Czas upływa. On poszedł do wojska, i powraca Majorem. Kochanka była za mężem, za podkomorzym i owdowiała. Spotykają się oboje wolni znowu. Tu zaczyna się powtórny

romans, ckliwy jak zwykle romanse ludzi podżyłych. Wytrawione serca długo się z sobą łamią, aż się wreszcie plątają w małżeństwo na drodze literackiéj. Pojedyncze sceny i pojedyncze postacie ratują powieść. Stary ekonom uparty przy rutynie polskiéj, barykadujący się przeciw postępowi przemysłu rolniczego, jest przewyborny. W ogóle jednak trudno w tym utworze rozpoznać autora ***Brzegów Wilii*** i ***Pamiętników Kwestarza.***

„*Panna respektowa*”, przyłatany kawałek, wcale niezajmujący, wykłada czém była niegdyś osoba nosząca to miano na dworach staropolskich.

Serya piąta i ostatnia obejmuje ***Dworki na Antokolu.*** Jest to zakończenie ***Obrazów litewskich***, zakończenie zajmujące i świetne. Żal rozstawać się z zacnym i pociągającym pisarzem, przyznać atoli trzeba, że już się wyczerpnął niejako. Stopniowanie uczucia i sztuki łatwo się da w ciągu pięciu seryi odznaczyć. Pierwsza błyszczy gorącą miłością, poezyą pamiątek żywo odzywających się w piersi autora; pociąga całą siłą, mimo pewnego zaniedbania w wykonaniu. Brzegi Wilii jeszcze żywe, jeszcze ciepłem wspomnień ogrzane, mniéj przecie już w nich bezpośredniego uczucia jak sztuki. W Pamiętnikach kwestarza, widać ogromnego artystę, rysującego charaktery jak najpoprawniéj, tworczo układającego obrazy. Znajdujemy tam wykończenie mistrzowskie, koloryt najświetniejszy. Autor śmiało przerywa opowiadanie i po dwudziestu pięciu latach stawia nam przed oczy te same postacie, tych samych ludzi, tylko obciążonych lat brzemieniem tudzież przywarami wieku, otoczonych społeczeństwem wyrodzoném, odartem do połowy z dawnéj polskości. Starców odział on takim urokiem, taką poezyą, że ze łzami w oczach żegnać przychodzi schodzący z widowni wiek dawny i Polskę dawną, zwłaszcza kiedy nowa wygląda jak zamęt, w którym jeszcze i nadzieja pogody nie błysła. Czwarta serya pokazuje jakieś znużenie i zaniedbanie. Ostatnia dopiero znowu się na dawną wysokość podnosi i zamyka poczet obrazów pełną wdzięku, uczucia i sztuki powieścią

Treść ***Dworków*** prosta jak w ***Brzegach Wilii.*** Rzecz dzieje się w czasach Stanisławowskich, nawet dwie te same figury jawią się w obrazie, pan Sulistrowski i Radziwiłł ***panie kochanku***, tylko że obadwaj starsi znacznie. Ale zobaczmy bliżéj o co idzie.

W starościance kocha się piękny młodzieniec drobnoszlacheckiego pochodzenia. Między rodzicami obojga kochanków istniała zdawna przyjaźń sąsiedzka, Zosia i Ludwik Dowiat wzrośli obok siebie. Zdało się, że Bóg kształci dwoje pięknych i poczciwych dzieci jedno dla drugiego. Zosia wy-

chowuje się w domu u matki, Ludwik dokończywszy szkół, wedle starodawnego obyczaju iść powinien na publiczne posługi w ojczyznie. Pokój zamyka pole w zawodzie rycerskim, stosunki familijne wpychają go do palestry. Ludwik ma dwóch stryjów zawołanych jurystów. Starszy słynął kiedyś na Litwie z adwokatury. Powołanie atoli i rzutność charakteru niepozwalały mu zrazu zastanawiać się nad naturą spraw podejmowanych. Brał złe i dobre, każdą wygrywając. Kiedy jeszcze dependował i razu jednego poszedł do kościoła na odpust przed cudownym obrazem Boga Rodzicy, usłyszał lud śpiewający nabożną pieśń, w której jedna zwrotka wspominała zapis klasztorowi znacznych dóbr na Litwie. Jurysta żyjący wiecznie kombinacyami jurystycznemi wpada na myśl, czy też to nadanie dobrami klasztoru odbyło się prawnie? Ledwie mu ta myśl zaświtała, wnet przerywa pryncypałowi modlitwy i szepce na ucho swoje spostrzeżenie. Pryncypał kiwnął głową i daléj liczył różaniec. Nagle panu Dowiatowi przychodzi skrupuł, — zadrżał; przed obrazem cudownéj Boga Rodzicy, pośród tak uroczyście oddawanéj czci przeczystéj dziewicy patronki narodu polskiego, on śmiał świętokradzką myśl rzucić na podejrzywanie ofiary w pobożności ducha uczynionéj. Znał swego pryncypała że nie zaniedba śledztwa w konstytucyach i zapisach. Poczyna tedy skruszony lać łzy rzewne i błagać Boga o przebaczenie grzechu śmiertelnego. Uśmiech pryncypała do reszty wstrząsa mu sumienie, w prawniku robi się wielka reforma. Wychodzi na swój chleb, ale głos wewnętrznéj zgryzoty nigdy nie daje mu spokoju, bo chciwy pryncypał zajrzawszy w akta spostrzegł, że konstytucya zabraniająca nadal zapisów dóbr na klasztory bez przyzwolenia stanów, zapadła o kilkanaście lat wcześniéj nim nastąpiło nadanie o którém opiewała pieśń nabożna; gdy zaś potwierdzenia sejmowego nieznalazł, wytoczył klasztorowi proces i zabrał sobie dobra ogromne prawem kaduka. Wyrzuty sumienia zatruwają szczęście Dowiatowi. Rzuca on się w swój zawód całą duszą, aby ciągłém zajęciem zagłuszyć głos sumienia. Fortuna z rogu obfitości sypie mu dostatki. Cóżkolwiek bądź, wszystko sobie obrzydza i postanawia w końcu odziać się trynitarskim habitem. W mniszém odzieniu atoli niestracił miłości korowodów jurystycznych. Bierze urząd prokuratora zakonu, prowadzi interesa dóbr klasztornych i pienia się jeszcze dla mnożenia dostatków na chwałę bożą. Młodszy Dowiat, Franciszek, także do prawniczego rzucił się zawodu. Pierwsze ćwiczenia odbył u pana brata i znakomicie się uzdolnił. Gdy brat oblókł habit, po nim odziedziczył reputacyą i interesa. Jestto znowu inny rodzaj jurysty, inny charakter, przeciwieństwo pierwszego. Tamten rzutny i silny, bystry i żywy, widać w nim jeszcze z mniszego kap-

tura całą moc życia; ten powolny i systematyczny, nieufający stałości fortuny a ztąd zdzierca i sknera. Układa on sobie plan do używania na swoją korzyść zdolności i doświadczenia księdza prokuratora. Prowadzi interesa zakonu, ma u księdza brata szkatułę w depozycie, codzień go nawiedza, i codzień umie tak zręcznie naprowadzić dysputę że zawsze obudzi w pobożnym mnichu genialnego jurystę; pater wpada zwykle w zapał, cytuje obficie konstytucye, zbija wszelką opozycyę i kombinuje genialnie okoliczności. Pan Franciszek wszystko chciwie notuje w pamięci; aż tu zastanawia się ksiądz prokurator, przypomina sobie niewczesność uniesienia, przeklina nałóg co go już raz w życiu do śmiertelnego grzechu doprowadził, gromi brata za stawione sobie pokusy, klęka do modlitwy, pości, nawet biczuje się na przebłaganie Boga za grzech nałogowy. Pan Franciszek (skarbnik z tytułu) powraca atoli nazajutrz. Z oszczędności, w środy, piątki i soboty jada on zwykle u księdza brata, a często nawet i dla depedentów wybiera od klasztoru haracz w pierogach i podpiwku.

Otoż ci dwaj stryjowie prawnicy pokierowali synowca Ludwika do palestry. Aplikuje on u stryja, biorąc zapas doświadczenia na wszelkie posługi ojczyzny. Ludwik przecież nie ma powołania. Chłopiec gładki, żywy, dziarski, gdy pokój nie daje mu zasłynąć po rycersku na polu chwały, zbiera laury w stolicy Litwy, zawracając głowy niewiastom; wszakże miłość ku Zosi statecznie w nim przeważa. Ale otóż czas przypatrzeć się położeniu familijnemu panny. Starosta jest to sobie człowiek gnuśny, miękki, przyjaciel trunków, a ztąd pedogrzysta i domator. Niktby o nim nie wiedział na świecie gdyby nie imie, parentela i ożenienie z Sapieżanką. Starościna za to wychowanka wielkiego dworu, obyczajów modnych, powiązana stosunkami z najznakomitszemi rodzinami, przesiaduje w Warszawie, kokietuje króla i dworaków, zręcznie intryguje — ale z czasem, chociaż nabrała ważności politycznéj, spostrzega się że majątek strasznie podrujnowany i że trzeba go ratować dla utrzymania splendoru domu. Ostatnia wyprawa do Warszawy w celu uzyskania nowego starostwa nie udaje się, bo idea sprawiedliwości poczyna przeważać i zasługa bierze górę nad intrygą. Zagniewana jejmość wraca na Litwę i zabiera się do utrzymania majątku na ostatniéj drodze jaka zostawała śród powszechnego zepsucia, pieniactwem. Intryguje zręcznie, rozpoczyna mnóstwo procesów, a sprowadzony i ugodzony jurysta plenipotent wyszukuje zaczepek sąsiedzkich, zawsze pewien wygranéj za wpływami swojéj klientki. Taką rzeczy koleją pani starościna rozpoczyna z Dowiatami, rodzicami Ludwika, proces o dworek i folwarczek na Antokolu w Wilnie, powołując się na stare dokumenta opie-

wające że dworek niegdyś do dóbr jéj należał. Żąda ona prawnych dowodów od Dowiata na nabycie legalne posiadłości. Wspomnieć wypada co to za dworki na Antokolu istniały. Podupadła szlachta lub starzy ojcowie po wyposażeniu dzieci zwykli byli wynosić się dla chwały bożéj na starość do miasta, gdzie urządzali sobie małe gospodarstwa i stawiali domki na rezydencyą. Dworki podobne zwykle na przedmieściach, jak w Wilnie na Antokolu, tworzyły rzeszę szlachecką, towarzystwo miłe i zgodne. Wzrastały tam często wnuki i prawnuki. Tak wychował się Ludwik, taki dworek mieli w Wilnie od stu lat jego przodkowie, i o niego starościna wytoczyła Dowiatowi proces. Zerwała się przyjaźń sąsiedzka, a Ludwik stracił nadzieję posiadania Zosi. Zosia kochała go i cierpiała z nim razem tracąc nadzieję. Ludwik posmutniał, zmienił się, pobladł. Rodzina spostrzegła zmianę, spenetrowali przyczynę stryjaszkowie, a radząc nad zapobieżeniem złemu, postanowili rzeczy ku stron pojednaniu kierować. Do narady familijnéj staje nowa figura, typ wyśmienity, już prawie nieznany w naszych czasach. — Stary to wojak, koniarz, zawedyjaka, awanturnik, umizgus. Pan porucznik słynny na całéj Litwie, wdowiec po trzech żonach które zaślubił w peregrynacyach wojskowych, dzisiaj jeszcze smali do panien cholewki, a zamożny trzema posagami żyje huczno i wesoło, rąbie się dzielnie i pomaga do awantur byle do śmiałych. On to przychodzi Ludwikowi w pomoc i wyjeżdża z księdzem prokuratorem do starostwa w swaty. Jejmość dumna pani, odrzuca oświadczenie, i tak reszta nadziei Ludwika upada. Smutek się jego powiększa śmiercią ojca. Zosia ze swojéj strony więdnieje pod jarzmem matki, która powodując się modnym obyczajem chce rozporządzać dziećmi wedle pojęć wieku o *dobréj partyi*. Zosię obwozi po świecie i łowi zięcia bogatego i familianta. Kiedy się to dzieje, pojawia się w Wilnie pan Sulistrowski, przybyły na roki trybunału dla pokierowania ważnym procesem z Karmelitami klasztoru Głębockiego, najbogatszego na Litwie. Jużto naówczas z upadkiem wiary, poczęto powszechnie obdzierać klasztory. Niepotrzeba było wiele zachodów do zaczepienia jakichkolwiek dóbr duchownych; sądy łatwo dawały się uwodzić i wbrew słuszności przyznawały wygraną świeckim. Proces Sulistrowskiego doskonale owe czasy maluje. Sulistrowski, znajomy nam z pamiętników kwestarza, ma w sobie mieszaninę ambicyi szlachcica, gościnności i dobrego ułożenia. Jestto ideał *farmazona* w pojęciu staroszlacheckiém. Reformator, dyplomata, galant, polityk, posiada oprócz tego zręczność do pomnażania fortuny. Zjechawszy do Wilna pod pozorem ratowania zdrowia, odnawia on starą znajomość ze starościną. Układają się we dwoje o pomoc wzajemną. Pan Sulistrowski

bierze ją za pośredniczkę do interesów z sędziami, zasłaniając się tak od pozoru intrygi i zdepopularyzowania pomiędzy szlachtą. Franciszek Dowiat jest adwokatem Sulistrowskiego. Ztąd pan Sulistrowski staje w pośrodku między kochankami jako pośrednik i obiecuje doprowadzić do skutku to czego ksiądz prokurator z porucznikiem niedokonali.

Rzecz przenosi się teraz w inne strony. Radziwiłł przyjmuje króla Stanisława w Nieświeżu, a cała Litwa asystuje tym godom. Król poznawszy wpływy Radziwiłła i potęgę na Litwie, pojednał się był z nim i w szczerą z potrzeby wszedł przyjaźń. Radziwiłł ma ważny głos na dworze, a ztąd wszyscy ubiegają się o jego łaski i protekcyę. Sulistrowski przyczepił się także do Radziwiłła by ze stopnia Pisarza Wielkiego Litewskiego dostać się na wyższe stopnie. Obecny w Nieświeżu za gościny króla, zaprasza Radziwiłła w gościnę do siebie w Oszmiański powiat. Pochód Radziwiłła z myśliwskim orszakiem ma dużo ruchu i barwy. Przyjęcie w domu Sulistrowskiego dla Radziwiłła, równa się prawie Radziwiłłowskiemu w Nieświeżu dla króla. Tutaj Radziwiłł *panie kochanku* występuje z całą charakterystyką swoją. Doskonała jest scena kiedy szlachta z procesami pod ostateczny a polubowny sąd Radziwiłła się garnie. Sławne też dotąd na Litwie żyją w podaniu jego wyroki. W domu Sulistrowskiego rozsądza najpierw Sulistrowskiego z Karmelitami z zadowoleniem stron obu. Następnie sądzi sprawę Dowiatów ze starościną o dworek na Antokolu. Wyborna jego propozycya na ustępie sądowym, aby oddać babie dworek a on Dowiatowi zapłaci z własnéj kieszeni! — Staje się atoli inaczéj. Zadeferowano Ludwikowi przysięgę. Ludwik wyrok przyjmuje, ale dla należnéj czci zmarłemu ojcu i zacnym naddziadom, zrzeka się dworka i przysięgać nie chce. Ten czyn obudza powszechne uwielbienie, a Radziwiłł kuzyn starościny sam staje swatem Dowiata do Zosi. Starościna grymasi jeszcze nieco, ale gdy Zosia wyznaje swą miłość, a Radziwiłł zapowiada, że ktoby w Litwie poważył się starać o rękę Zosi przeciw jéj woli, będzie miał z nim samym do czynienia, gdy nawet cała szlachta obecna obiecuje księciu sekundować, starościna w końcu zezwala na małżeństwo.

Oto szkielet wszystkich powieści, ogołocony z bogactwa szczegółów które niezmierną wartość artystyczną *Obrazom* zapewniają. Cóżkolwiekbądź, ta krótka wiadomość wystarczy żeby dać pojąć jakie jest znaczenie całéj publikacyi.

W ciągu niniejszego artykułu napomknęliśmy kilka razy o niedostatkach utworów Ignacego Chodźki; niedostatki te istnieją, są wyraźne i w treści i w formie; każdego uderza brak rozmiarów w powieściach, niewstrzemięźliwość szczegółów niektórych, przesada innych, niedbałość i niepopraw-

ność stylu; z tém wszystkiém *Obrazy litewskie* takie obudzają zajęcie, takie przywiązanie w czytelniku, wdzięk tych opowiadań tak jest rzeczywisty, nadto tak wysoki zamiar z całego ciągu się przebija, iż krytyka wiele ze swoich praw w obec podobnego dzieła ustąpić może.

Spodziewamy się że *Obrazy litewskie* staną się popularną u nas książką i że je smak publiczny obok *Pamiątek Soplicy* postawi.

Zaczynają teraz drukować pod cenzurą rosyjską niektóre z dawnych emigracyjnych rzeczy. Niedawno ogłoszono *Sen nocy letniéj*; wyszły także w Petersburgu *Gawędy* Michała Czajkowskiego pod tytułem *Powiastki i Gawędy* (u Wolffa, 1850). Wiele z gawęd objętych wydaniem paryzkiém z r. 1840. wydawca petersburski opuścił; nawet w pojedynczych ustępach poprzekreślał niektóre miejsca; natomiast dodał powieść *Termołama* znaną z umieszczenia w jedném z naszych pism czasowych.

Pieśni nasze. Tom pierwszy. Batowy Szlak i Król-Królowa Jadwiga, z dołączeniem kilku innych poezyi, przez Adama Herbu Trąb Rustejko. Wilno, 1848.

Taki jest tytuł najdziwaczniejszego zbioru poezyi jaki nam się w życiu czytać zdarzyło. Autor ma chęci uczciwe, uprzejme, myśli szlachetne i bogobojne, ale wykłada je jaknajniepoetyczniéj, najniezgrabniéj, a co do stylu najniepoprawniéj. Wiersze niegodziwe, a proza stokroć gorsza od wierszów. Po przedmowie noszącéj szumny tytuł *Stosunek dzisiejszéj oświaty do Boga i do ludzkości,* ale w najmniejszéj mierze zadaniu nie odpowiadającéj, idą naprzód pieśni nazwane *Emmanuel.* Autor dobrodusznie Panu Bogu się tłumaczy dla czego wierszem, a nie prozą pisze.

„Bo czyż wysłowi, Panie! proza sucha,
„Zbawcze, nam duchom, sprawy Twego Ducha?
„Lub, czyż to godnie? o Twém wzniosłém słowie,
„Prawić w ostygłéj, prozaicznéj mowie?

Bez wątpienia że byłoby niegodném, gdyby ta proza miała być tak suchą i ostygłą, a przytém tak niezrozumiałą i napuszoną jak proza p. Rustejki. Rzecz się ma jednak inaczéj jeźli weźmiemy na uwagę każdą inną prozę, byle jasną i gramatyczną! Daleko bowiem przyzwoiciéj jest chwalić Pana Boga prostą, niewykwintną, a nawet pospolitą mową, jak składać mu krwawą ofiarę, jakby jakiemu bóstwu pogańskiemu, z pokaleczonego i wierszami wytorturowanego języka, który przecież tyle wzniosłych pieśni ku Jego wydał uwielbieniu. Po *Emmanuelu* następują trzy większego rozmiaru utwory:

1) *Batowy Szlak czyli Henryk pobożny i święta Jadwiga*; 2) *Dwa rapsody z pieśni Chocimskiéj z prologiem;* 3) *Król-Królowa Jadwiga.* Trzeba czytać, żeby uwierzyć że coś podobnego za godne druku osądzoném zostało. Jakto? w ciężkich czasach, w których niejedna znakomita praca doczekać się wydawcy nie może, a brak funduszów staje na przeszkodzie nowemu wydaniu dzieł w naszéj literaturze najcelniejszych lecz dziś już wyszłych z handlu księgarskiego, — w czasach, w których zubożałéj Polsce tak trudno się zdobyć na lada narodową ofiarę, czy na odbudowanie Krakowa, czy na ratunek wygnańcom za granicą z głodu wymierającym, — w takichże to czasach podobne tym ramoty znajdują chętnych wydawców, a co większa, liczny poczet prenumeratorów? Takie to zapewne pytanie zada sobie niejeden czytelnik zamykając do połowy przejrzaną tę książkę i nie chcąc dalszém czytaniem powiększać swego smutku, — boć smutno jest widzieć jak zupełny brak talentu i nieznajomość najniższych reguł sztuki najszlachetniejsze uczucia na śmieszność wystawiają. Myśmy z obowiązku doczytali do końca. W coraz większe wpadając zdumienie, co krok pytaliśmy siebie jaki być może wiek i stan autora, jakie nieszczęście czy nieostrożność popchnąć go zdołały do tak nierozważnego wyskoku. Jestże on młodzieniaszkiem, który nakleiwszy wierszy na ławie szkolnéj, zamierzył ich wydaniem wstęp swój na świat ogłosić i dedykacyami zyskać sobie przyjaciół, — każdy bowiem urywek tu zamieszczony poprzedza dedykacya, godna iść w parze z ową która czytającą publiczność tyle ubawiła na początku roku bieżącego. Domniemania nasze zdawały się potwierdzać podobne następującym wyrażenia:

„Ta pieśń dzisiejsza, chociaż niemowlęca,
„Z wszystkiego serca dla nich się poświęca.
. . . . ,
„Więc usłysz głos mój z głosem niemowlątek.

Aliżci blisko pod koniec dowiadujemy się, że autor chodził na nauki w Krzemieńcu i Wilnie, że się mieni być pośrednio uczniem Czackiego, a bezpośrednio Śniadeckich. Zdziwienie nasze podwoiło się, i już mieliśmy odłożyć książkę do tych zagadkowych płodów, którym imienia ani autorstwa nikt naznaczyć nie zdoła, gdy nam ostatnia karta całą rzecz od razu objaśniła. Autor jest lekarzem. Wyobraził sobie że ma powinność podnieść swe powołanie poezyą, a to dla tego że *Apollo nie tylko był twórcą poezyi i muzyki greckiéj, ale téż i medycyny razem.* Dopiero otworzyły nam się oczy, dopiero nieco zrozumialszym stał się nam poprzedni wiersz pod tytułem *Medycyna i Poezya*, który wprzód czytaliśmy jakby jaką

receptę tajemniczemi, niewyczytalnemi głoskami dla niepoświęconych pisaną, dopiero wtedy pojęliśmy co znaczy ów czterowierz:

„Boże! przyśpiesz te godziny,
„Wyplenienia prozy gniazda!
„Tchnieniem wiary — medycyny —
„Jest poezyi zbawcza gwiazda.

Ale dość już tego, dość by poznać jak autor poezyą praktykuje. Co do teoryi poezyi, *tym* (jak powiada) *Zenicie ludzkiéj wiedzy*, autor zostawia swe pomysły do następnego tomu. Zaiste strach nas bierze by się sam na Nadyrze nie znalazł. Z pism tych jednak, upominających ustawicznie aby bliźnich z całego serca miłować, niemałą czerpiemy otuchę, że się pan Rustejko daleko lepiéj z swymi pacyentami jak z poezyą i językiem polskim obchodzi, i jeżeli jako literaci przymuszeni jesteśmy szukać pociechy w przypuszczeniu, iż jest lepszym lekarzem jak poetą, to zarazem tuszymy, iż medycy nigdy o nim nie powiedzą, że był lepszym jeszcze poetą jak lekarzem.

Niech przecież nikt nas z powyższych uwag nie posądzi o mniemanie jakoby zawód medyczny był w czémkolwiek sprzecznym poezyi i sztukom pięknym. Uszlachetniają one wszystko, czemużby podnosić nie miały powołania które otwiera najobszerniejsze pole do poświęceń i do cnót wszelakiego rodzaju, czemużby kojarzyć się nie miały ze stanem który dotykając się najbliżéj niedoli ludzkiéj, świadek najuroczystszéj chwili w życiu człowieka, umiejętny dostrzegacz najtajniejszych sprężyn jego myśli i uczuć, stawa co momen, w obec Boga, uczestniczy w działaniu Jego wszechmocności i po lekarzu duchownym pośredniczy najczęściéj między Stwórcą a stworzeniem. Liczne też są przykłady lekarzów którzy nie tylko jaśnieli poetyczną podniosłością duszy, ale nadto bogatą spuścizną zostawili literaturze lub sztukom. U nas, dość wspomnieć o Jędrzeju Śniadeckim. Karol Kaczkowski pisze wzorową prozą, a niegdyś dowcipne wiersze układał. Znaliśmy wielu lekarzów dobrymi muzykami. W emigracyi kilku, jak Szczapiński, namiętnie muzyce się poświęciło. Wiadomo iż sławny Orfila utorował sobie pięknym głosem pierwszą wziętość w salonach paryzkich. Anglik Darwin był równie dobrym poetą jak lekarzem, a lubo dla zbyt wyszukanych rymów przyrównywano jego wiersze do rzędu lancetów i zwano fabryką szpilek, lubo poemat jego o *miłości roślin* wyszydzono satyrą pod tytułem *miłości trójkątów*, przecież zajmuje on jedno z najznakomitszych miejsc w literaturze angielskiéj. Ludzie nawet wyłącznie literaturze

poświęceni często uciekają się pod miano lekarzów by szerzéj roztworzyć tajniki serca ludzkiego. Balzac we Francyi (Le médecin de campagne), a Samuel Warren w Anglii (The Diary of a late Physician), wskazali dostatecznie jak bogate materyały do najwyżéj zajmujących powieści mógłby znaleść w swém doświadczeniu każdy lekarz. Śmiesznéin przeto a nawet występném byłoby, zagradzać lekarzom przystępu do literackich dostojeństw. Niegodziwém byłoby przeciw dobijającemu się zwolennikowi Eskulapa po laury na Parnasie powtarzać ów żart Moora:

Jakżeż doktora uśmiechnie się czoło
Wonnym rumiankiem uwieńczone w koło.

Owszem chcielibyśmy tak szacowny stan w społeczeństwie najusilniéj zachęcić do pisania, do udzielania swym kolegom właściwych sztuce odkryć, a publiczności ogólnych nad naturą ludzką spostrzeżeń, natchnień i pociech które ich w trudnym wspierały zawodzie. Ale by kandydat mógł wejść w szranki literackie, trzeba aby złożył dowody, iż przynajmniéj pierwsze umie stawiać kroki. Inaczéj na pośmiewisko wystawi swoje pierwotne a tyle poważane powołanie. Otóż obawiamy się że p. Rustejko zbyt lekkomyślnie puścił się w nowy zawód, a przez to krzywdę dawnemu wyrządził. Odgadujemy cel jego szlachetny. Chce on podnieść powołanie lekarskie moralnie, naukowo i religijnie; chce zniszczyć przesąd że ***mąż usposobień poetycznych***, ***że poeta do onego ma być niezdolnym***. Pragnąłby swych braci pobudzić do zrzeczenia się wszelkiego materyalizmu, odciągnąć od ubiegania się za zyskiem, przynaglić do coraz wyższych poświęceń i głębszéj nauki. Zgoła chciałby z rzemiosła uczynić stan, a na ostatek ze stanu kapłaństwo. Wyborne przedsiewzięcie, atoli w niewinności swéj uciekł się do najfałszywszych środków wykonania. Cała pomyłka ztąd pochodzi iż myślał że miara i rym już stanowią poezyę, i stało się co się zwykle w takim przypadku dzieje, zamiast przyciągnąć pewnie niejednego odstręczy.

Nie jest jeszcze ten poetą, co się nauczy słowa w miarę i rym układać, tak jak ten co umie wyostrzyć lancet lub utłuc proszek, nie jest jeszcze lekarzem; jeżeli p. Rustejko potrzebuje mniéj pospolitego dowodu i sentencyi, to mu z Pitagoresem powiemy: ***Ex imputatis vitibus ne Diis libato***, — nie léj Bogom na ofiarę wina z gron niewypróbowanéj latorośli.

Najnowsze powinszowania, przez L. Falkiewicza. Wydanie drugie pomnożone. Lwów, 1850. Drugim już to zbiorem powinszowań obdarza nas Lwów w roku bieżącym. Drobna ta okoliczność okazuje jak się coraz bardziéj zacierają u nas zwyczaje i właściwości narodowe. Druk, wolny handel i nieograniczona konkurencya pomału wyganiają to, co było dotąd miejscowym przywilejem wujaszków i stryjaszków, starych rezydentów i nauczycieli. Jakież dziecię zechce teraz łamać sobie głowę nad ułożeniem powinszowania, lub iść w proźby o takowe do starszych, kiedy mu je fabryka *ad hoc* dostarcza jak najtaniéj w najrozmaitszych do wyboru gatunkach? Za tém ułatwieniem i spowszechniałością pójść koniecznie musi upadek całkowity tak szacownego zwyczaju. Towar niniejszy jest nader miernego wyrobu. Wartość gatunków stoi w odwrotnym stosunku do wieku osób dla których one są przeznaczone, i tak: najlepsze powinszowania są dla dzieci, gorsze dla dorastających, zupełnie złe dla dojrzałych. Autor przeprowadza nas koleją od najniewinniejszych życzeń czteroletniego dziecka, aż do gorących westchnień młodzieńca dla kochanki, a kończy na jednym z najerotyczniejszych wierszów Katulla. Żadna przeto przezorna matka nie ośmieli się dać téj książeczki w rękę dziecku swemu. Znać duch opiekujący się staropolskiemi zwyczajami popchnął autora do tak niedorzecznego zakończenia, by niem całe dzieło i zamiar zniweczyć.

Powieści starego sługi dla swoich kolegów. Lwów, 184.

Zawiadowcy zakładu Ossolińskich oddają niemałą przysługę naszemu społeczeństwu, ogłaszając książeczki tak pożyteczne jak powyższa. Są to opowiadania i rady wysłużonego domownika, ostrzegające kolegów uderzającemi przykładami jak powinni unikać nałogów i wad zbyt często przydarzających się w ich stanie. Nauki te przez dziesięć powieści przeprowadzone, cytacyami z Pisma Ś. i przykazami religijnemi bogato okraszone, przedstawiają zajmujące obrazy dla każdego czytelnika, choć niby dla służących tylko pisane. Wyjąwszy jednéj powiastki *Dwie ściesżki*, nic tu nie obraża najdelikatniejszego smaku. Z tym jednym wyjątkiem, dziełko to może być nawet dzieciom bezpiecznie daném do ręki, Autor czy autorka (bo zdaje się nam żeśmy już coś podobnego dawniéj czytali, być nawet może iż to jest tylko przedruk lub dalszy ciąg powieści napisanych przez autorkę znaną dobrze z utworów tego rodzaju), zaleca jak najdobitniéj rozpowszechnianie Towarzystwa wstrzemięźliwości. W jednym

rozdziale wprowadza na scenę profesora, w którym łatwo poznać szanowną postać Kaźmierza Brodzińskiego. Gdzieindziéj znowu przypomina zasługi autorki *Pamiątki po dobréj matce* i książkę jéj przepisów z Pisma Ś. jako wielce korzystną do czytania przedstawia. Życzymy z serca aby w gorliwości podobnéj pracujący nie ustawali, i aby liczba pism tego rodzaju mogła się coraz bardziéj powiększać. W klasie do któréj one szczególniéj przemawiają, obudziła się obecnie żarliwa chęć do czytania. Trzeba chęć tę żywić, pobudzać i kierować. W braku dobrych dzieł rzuciłaby się ona niezawodnie ku tym bezbożnym naukom, które dziś nieprzyjaciele spółeczeństwa tak podstępnie i ponętnie jéj podsuwają. Obowiązkiem przeto jest każdego kto ma mniéj oświeconych pod swą strażą i dba o rozpowszechnienie moralności i prawdziwego światła, aby wszelkiemi siłami wspierał tak chlubne przedsiewzięcia, ku czemu, jak w tym razie, przychodzi w pomoc taniość w kraju naszym niezwyczajna, bo książeczka ta, zawierająca 150 stronnic pięknego druku, tylko 6 krajcarów kosztuje.

Komedye oryginalne Stanisława Bogusławskiego, Tom I. i II. Warszawa, nakładem i drukiem S. Orgelbranda, 1849.

Żadna z siedmiu sztuk P. Bogusławskiego dwoma temi tomikami objętych nie może właściwie zasłużyć na nawisko komedyi, w wyższém tego wyrazu znaczeniu, bo żadna nie ma dość zawikłania aby się komedyą intrygi, zadna dość rozwiniętych charakterów aby się komedyą charakterów nazwać; a jednak wszystkie prawie posiadają wielką zaletę, dla któréj wiele, bardzo wiele autorowi przebaczyć należy, wszystkie są mniéj więcéj obrazem narodowych wad i śmieszności.

W poważnym dramacie, w którym poeta traktuje wielkie ludzkie sprawy i wielkie ludzkie namiętności, przedmiot narodowy, jakkolwiek wartość utworu podnosi, nie jest koniecznym warunkiem rozbudzenia spółczucia i interesu. W chwilach uniesienia i zapału wszyscy ludzie podobni są do siebie. Szekspir prawie ciągle, Kornel w lepszych swoich scenach, nie są wyłączną własnością Anglii i Francyi lecz są całéj ziemi poetami; każde ich słowo, bez względu na czas i narodowość, w sercu każdego czującego człowieka echo znajdzie, każde jest wyrazem tego co jest wieczném i niezmienném w ludzkości. Inaczéj rzecz się ma w komedyi, któréj głównym celem uobrazowanie prywatnego ludzkiego życia, z wszystkiemi cechującemi je śmiesznościami, wadami i cnotami. Jeżeli ludzkie cnoty wszędzie są jedne, to sposób ich objawienia się bardzo różny, a ludzkie śmieszności, głupstwa i błędy zupełnie

są miejscowemi. Wyobrażenia o przyzwoitości, dobrym tonie, równie jak zwyczaje i obyczaje, nawet sposób zapatrywania się na rzeczy, w każdéj epoce i w każdéj narodowości są odmienne. Mówią wprawdzie że wyższe klasy towarzystwa na całéj ziemi są podobne do siebie. Bardzo to wątpliwa, a przynajmniéj bardzo względna prawda. Zewnętrzny pokost może być jednakowy, ale tło obrazu ma w każdym kraju właściwą swoją cechę. Po salonach warszawskich i petersburskich pięknie po francuzku, a podobno nawet i po angielsku rozmawiają, a przecie, czy zdarzyło się komu w hotelach paryzkich, lub u wód niemieckich, pomylić się w oznaczeniu narodowości Rosyanina lub Polaka? Są u nas ludzie, a dzięki Bogu liczba ich z dniem każdym się zmniejsza, którzy na własnéj ziemi jak exotyczna roślina karmieni, od pieluch cudzoziemskim powierzeni rękom, powinniby zdaje się zupełnie obczyzną przesiąknąć. Tak nie jest przecie.

Być może że cuda parowych statków i żelaznéj kolei zdołają, w ciągu wieków, zatrzeć rozmaitych narodowości odcienia, ale dziś, raz jeszcze powtarzamy, komiczny poeta do *całego* teatru oklasków wzdychający, musi na swojéj ziemi szukać charakterów do komedyi. Któryż z czytelników naszych nie zrobił uwagi jak licho wyglądają na polskiéj scenie tłumaczenia najsłynniejszych paryzkich wodewilów? Ostra stal ich ironii, prawie zawsze jak ciężki a tępy ołów między słuchaczy naszego parteru pada. Ciągłe alluzye do miejscowych okoliczności, do osób których nie znamy wcale, lub, co na jedno wypada, które z gazet, z imienia tylko znamy, do tysiącznych szczegółów codziennego domowego życia, wszystko to marnie ginie, duch prawie cały z lekkiéj kompozycyi ucieka, a zostaje bezkształtny szkielet nad którym trudno się zachwycać.

Pan Bogusławski biorąc za przedmiot swoich komedyi wady i śmieszności polskie, stanął na dobréj drodze, a jeźli do właściwego celu nie dobiegł, to, przekonani jesteśmy, mniéj przez brak talentu jak w skutek trudności których na polskiéj ziemi żaden poeta pokonać nie zdoła. Swoboda myśli jest tu koniecznym warunkiem, a téj kto w Polsce używa? Wolnoż tam tragicznemu poecie otworzyć przed ludem księgę jego dziejów, aby w niéj bohaterów swoich poznał i szanować się ich nauczył, aby siły swoje pokrzepił wielkością narodowéj przeszłości a z jéj błędów korzyści na przyszłość wyciągnął? Wolnoż tam komicznemu poecie dać szczery obraz swojego wieku, a dla nauki słuchaczów przedstawiać im własne ich głupstwa, słabości i wady, gdy większa część tych głupstw, wad i słabości używa przywileju bezkarności, gdy nie tylko żart z nich lecz najlżejsza nawet alluzya ulega nieraz surowéj karze? Nie pomnę już który pisarz niemiecki, na wytłóma-

czenie dzisiejszéj niedołężności poetów dramatycznych swojéj ojczyzny, powiada że trudno jest gonić za chwałą dramatycznego poety, gdy dworska cenzura natchnieniu skrzydła łamie, gdy w Badeńskiem nie wyprowadzać szwedzkiéj Chrystyny bo Wielka księżna jest z domu Wazów, a w Wirtembergu rosyjskiéj Elżbiety, bo żona następcy tronu z Petersburga przybyła. Ale cóżby ten krytyk powiedział gdyby na czele téj dworskiéj cenzury stał rosyjski generał, gdyby rosyjski generał był dyrektorem teatru!

Ta ślepa i nieumiejętna generalska cenzura może najpiękniejszy talent do rozpaczy przyprowadzić! Zdarza się též najczęściéj że pisarz, widząc zamknięte przed sobą wszystkie drogi do wyższéj komiczności wiodące, chcący jednak słuchaczów swoich lub czytelników rozśmieszyć, w kałużach rozpusty łatwych konceptów szuka. Nie uniewimia go to wcale, przyznajemy, ale krytyka, mimowolnie do względności prowadzi.

W dwóch tomach p. Bogusławskiego kilka tylko wierszy znaleźliśmy karcących ukradkiem przekupstwa po trybunałach dziś grasujące. W komedyi *Urojenie,* Kurdesz, lokaj Henryka, tak mówi o swoim panu:

Majątek.... no.... majątek trochę jest wątpliwy,
Wdał się w prawo, tu słusznie, tu jest nieszczęśliwy,
I chociaż można mówić, czysta sprawa jego,
(pokazując liczenie pieniędzy)
Ależ diabli, gdy teraz chcą czego innego.

Otóż i wszystko na co się w dwóch tomach komedyi odważyć mógł poeta w kraju rządowych śmieszności, nadużyć i przekupstwa. Niechże tam kto goni teraz za chwałą Arystofanesa! Ale za to co za bogactwo dwójznaczników, jeżli żarty p. Bogusławskiego dwójznacznikami nazwać się godzi. I nic dziwnego. Cenzura ma tam ostrowidza oczy na każdą najodleglejszą, najniewinniejszą alluzyę do spraw publicznych, ale za to jest jak kret ślepa gdy chodzi o miarkowanie rozpusty, o szanowanie skromności kobiecéj, o wzgląd na ciche cnoty domowe. Każda sztuka p. Bogusławskiego przesycona jest żartami których czytać na głos nie łatwo się odważyć, a które podobno z oklaskami publiczność warszawska przyjmuje. Pan generał dyrektor, który na cień politycznéj alluzyi już brwi marszczy i w kieszeni kluczami od cytadelli brząka, klaszcze łaskawie, gdy usłyszy słowa na które damy, które nie wiem po co tam przyszły, wachlarzami zasłaniają oczy, a praporszczyki w fotelach za boki się chwytają. Nigdy wyższéj, szlachetniejszéj ironii, nigdy śmielszéj krytyki, bo wszystko co myśl podnosi, co duszę od zmysłowych rozkoszy odrywa jest prze-

ciwne dążnościom rządu, a więc poetom wzbronione. Taki stan rzeczy nie mógł pozostać długo bez zgubnych na charakter narodowy wpływów; komedye p. Bogusławskiego smutnym i niewątpliwym są tego dowodem. Przekonani jesteśmy że p. Bogusławski przesadził trochę, ale nie mógł zupełnie obcych warszawskim salonom charakterów na scenę wyprowadzać! A cóż tam widzimy? Młodzież rozpustną, rozuzdaną, młodzież która straciła nawet ostatnią mężką cnotę — odwagę. O godności i delikatności w postępowaniu ani myśleć; plwają sobie w oczy, grożą pojedynkami, a zawsze na prożbach kończą. Warszawscy modnisie robią się demokratami aby od lokaja kilka groszy wyłudzić, udają miłość aby okradać kochanki. Kobiety uczą się filozofii i o komunizmie rozprawiają; ale komunizm nie jest u nich szaleństwem myśli, jeno wyuzdaniem i rozpustą, o której na literackich wieczorach z dziwnym cynizmem rozprawiają. Honor i uczciwość, zdaje się, przechowały się w sercach ludzi podeszłego wieku. Jakżeż bolesny dla polskiéj duszy obraz!

Dla usprawiedliwienia się przytaczamy kilka ustępów. W komedyi *Stara Romantyczka* tak p. Baron z p. Wacławem rozmawia:

Baron.

Kiedy kto czyni głupstwa, niech ich nie powtarza,
Baron mym przyjacielem, proszę, od téj chwili
Byś milczał, bo... na szpady będziemy się bili.

Wacław.

Ja z panem? ani myślę.

Baron.

Z jakiéjż to przyczyny?

Wacław.

Nigdybym nie odpuścił sobie takiéj winy.
Nigdy krew tak dojrzała rąk moich nie zmyje,
Bo po cóż to zabijać co już ledwo żyje?

To pieprzniejsze trochę od kłótni Wadiusza z Tryssotinem; a przecież Wadiusz i Tryssotin żadnych nie mieli pretensyj do elegancyi i dobrego tonu. Żeby czytelnicy nie myśleli że *damy* delikatniejsze są w słów wyborze, dajemy im jednę z licznych scen między dwoma siostrami, panną Różą i panną Barbarą, w przytomności kuzynki ich Anieli, w komedyi *Krewni.*

Róża.

Wyjechałam, to było zemstą mą jedyną,
Nie pomna jakich nieszczęść stanę się przyczyną.

Dwoich hrabiów zwariowało, par zginął w rosprawie,
Margrabia się zastrzelił, baron struł się w kawie,
Szambelan się zalewał krwawych łez potokiem,
A dwóch lordów angielskich zalało się grokiem;
Na mą cnotę....

Barbara.

Jak widzę z twoich wielbicieli
To najwięcéj rozumu dwaj Anglicy mieli.

Barbara.

Nie mniéj także rozumnym był mąż pani siostry,
Bo się rozwiódł w pół roku.

Aniela.

Przycinek za ostry.

Barbara.

Zapewne czuléj Róży drogie jest wspomnienie
Leona, co się kochał w niéj tydzień szalenie,
A który potem, niewiem, przez zozpacz czy wzgardę,
Z wstążki którą mu dałaś zrobił psu kokardę.

Róża.

Również i pani siostra przypomni to sobie,
Kiedyś po trzecim mężu chodziła w żałobie,
Jak do jéj ręki wzdychał ów dependent czuły,
Który dobrze szarpnąwszy mężowskiéj szkatuły,
Nim jeszcze czas ubieżał bolesnéj żałoby,
Uciekł, i od tych związków i od twéj osoby.

Barbara.

Wiem czemu podarunków pan Alfred nie szczędził.

Róża.

Wiem dla czego mąż czwarty pisarza wypędził.

Aniela.

Kuzynki! . . . . .

Barbara.

Bo dziś cnota, nie w sercach, lecz w mowie.

Róża.

Dla tego się twój Józiu pogrobowcem zowie.

A teraz posłuchajmy jak w komedyi *Lwy* i *Lwice*, Natalia tłumaczy mężowi przedmioty traktowane na literackich wieczorach:

Na co się to zdało!
Znudzisz się, ręczę za to, bo mi przyznasz snadnie,

Żeś ty specyalnych sciencyi nie pojął dokładnie,
Że nawet się nie wciśnie do twojego ucha
Rosprawa o zgodzeniu materyi i ducha....
Cóż gdy w Symonistowskiéj utoniem rozprawie,
Gdy ich cel rozbierając bez żółci, zawiści,
Wskażemy społeczeństwu rozliczne korzyści.
Gdy zaczniemy dowodzić, jak wspolności siła
W każdém odcieniu życia błoga jest i miła,
Jak się w spolności myśli porządek zachowa,
Jak do niéj się dołączy spolność finansowa.
Jak z tego wnet powstanie ogólna, socjalna,
Jaka wspolność duchowa, jaka materyalna.

Późniéj trochę Natalia taką daje definicyą lwic warszawskich:

Jestem *lwicą*, byłam nią, będę, i być muszę!
Chcę mieć wszystko co mają damy w tym rodzaju,
Czy to z zasad, z potrzeby, czy to dla zwyczaju,
Chcę męża filozofa, konia pięknéj rasy,
Kredyt na wszyskie modne materje, atłasy,
Stare wino, cygara, brylanty i długi,
Emancypację, miłość, dwór obfity w sługi,
Teraźniejszość dwójznaczna, przyszłość bez widoku,
Słowem że żadnéj lwicy nieustąpię kroku.

Godzi się zrobić uwagę że p. Bogusławski nikczemności wszelakie w wyższém towarzystwie mieści. Wielki pan łotr i hipokryta, a naprzeciw niego cnotliwa gałganiarka deklamująca przeciw bogaczom, to obraz jaki mu się podoba. P. Bogusławski niezawodnie równe oklaski temi radykalnemi pospolitościami jak dwuznacznikami rozpustnemi zarabia; niechby się jednak zastanowił że przykładając się do rozprzężenia w kraju, nie na korzyść ojczyzny, ale na korzyść jéj nieprzyjaciół pracuje.

Nie mamy zamiaru wchodzić w szczegółowy rozbiór sztuk p. Bogusławskiego, bo jak już powiedzieliśmy, żadna jako całość, najsłabszéj próby nie wytrzyma. W jednych nie ma intrygi ale prosty dialog, w drugich jak w komedyi ***Krewni*** intryga jest niedorzeczną; a we wszystkich lokaje i subretki tak dobrze jak główną grają rolę. Zdawałoby się że P. Bogusławski i jego słuchacze zmuszeni, dla osobistego bezpieczeństwa, szanować wszelkie ***socyalne pozycye,*** i tak do tego rzemiosła przywykli że wolą i na teatrze śmiać się ze swoich służących jak z siebie samych lub wyższych od siebie. Przy wadach całości, przy ubóstwie pomysłu, każda sztuka ma sceny wyborne, bo w rzeczywistości czerpane,

których jedyną, zdaniem naszém, wadą, jest zbytek dwójznaczników i oburzająca pospolitość w języku mniemanych elegantów, od których mamy prawo wymagać więcéj trochę szczerego dowcipu a mniéj gburowatości.

W *Staréj romantyczce*, gdzie bohaterką jest dojrzała wdowa która swoje prozaiczne imie Barbara na Aldona zmieniła, wiele jest miejsc prawdziwéj komedyi godnych, jak np. następujące, gdzie wdowa mówi do zakochanego w swoich wsiach Barona.

Więc nie przestawaj cierpieć, to także rozkosze;
Kochaj mnie i cierp zawsze, Baronie, ja proszę,
A w troskach, gdy twą ufność na zawsze posiędę,
Widząc że dla mnie cierpisz, i ja cierpieć będę;
Wacław, widząc że cierpię, także cierpieć będzie,
A tak słodkie cierpienia rozlegną się wszędzie;
Tak wszyscy będziem cierpieć, ah! bo tkliwa dusza
Zawsze nas, chociaż w szczęściu, do cierpień przymusza.

We *Lwach i Lwicach* ile prawdy w komplementach przez członków literackiego wieczora wzajemnie sobie sypanych! Zdaje się nam że czytamy liryczny wybuch lub *uczoną* recenzyą przez jednego warszawskiego proroka na cześć kolegi ułożoną, który mu przy pierwszéj sposobności tąż samą monetą odpłacić nie zaniedba. W nich dopiero poczuła się Polska, oni dopiero na poezyi drogę trafili. Filozof Artur, który musiał w Wielkopolsce mieszkać a przynajmniéj wielkopolskie książki czytywać, bo mógłżeby inaczéj w następny sposób pieniądze definiować:

Bo cóż to są pieniądze? podmiotowość, proza!

filozof Artur tak mówi w literackim wieczorze o swoim przyjacielu panie Alfredzie.

Słowem że w jego pieniach jaśnieje z kolei
Apoteoza ducha i tryumf idei.

Alfred.

Ja wielki! i tyś wielki, myśmy wielcy oba!

Natalia (do Celiny).

. . . . . A twa powieść nowa
Jaki styl czarujący, jak piękna osnowa!
Dobrze żeś ją pisała w francuzkim języku,
Tu by się nie poznali, tam narobi krzyku!
Boś ty wielka Celino!....

Celina (do Anieli).

Czy w księdze potomności zbraknie dla cię karty?

Natalia.

Emancypacya kobiet małożci da chwały?

Alfred.

Wszystkie usta nią zabrzmią!

Artur.

Nawet już zabrzmiały.

Natalia.

Gdy ogłosisz to dzieło jakże będziem nizcy!
Boś ty prawdziwie wielka!

Artur (do siebie).

Tośmy wielcy wszyscy!

Ale niema długiego szczęścia na ziemi. Śród tylu wielkości spada jak bomba człowiek staréj daty, Sędzimir, i ze swojego punktu widzenia taki o lwach i lwicach sąd wydaje

A naprzód, lew filozof mędrzec w świecie rzadki,
Zna każdéj filozofii tytuł i okładki,
Wyuczył się jak sroka wyrazów bez liku,
Powiązał je bez sensu, bez ładu, bez szyku,
Z tego utworzył nowe zasady, rosprawy.....
Tuż za nim postępuje jak rzadki kometa,
Niby kolos poezyi, sławny lew poeta;
Nie wiem jak się nazywa, lecz w potocznéj mowie
Każdy jego przyjaciel jeniuszem go zowie,
On również jeniuszami przyjaciół nazywa,
I tak się ta jenialność rozdziela, rozpływa,
Tak się między przyjaciół i krewnych wcieliła,
Że w końcu klub jeniuszów samych utworzyła;
A w tym klubie sąd ostry i ciasne podwoje,
A hasło: wszystko dobre, co tylko jest moje!
. . . . A za niemi z bliska
Postępują dwa wielkie a straszne zjawiska
Stara emancypacya, i wspólki czcicielka,
Téj wygodne zasady, téj moralność wielka! i t. d.

Przykłady te dostatecznie, sądzimy, pokazują jak prawdziwy, jak wysoki talent do komedyi P. Bogusławski posiada. Lecz ogłoszone dotąd prace jego lepiéj się w czytaniu jak na scenie wydają, bo w czytaniu gładkością wiersza sprawia ją często że o braku akcyi, o ubóstwie intrygi zapominamy. Byle na przyszłość starał się zręczniéj komiczną powieść ułożyć, lepiéj charaktery rozwiązać, a odrzucić niegodne zdolności swoich środki rozśmieszania i entuziazmowania słuchaczów — dwójznaczniki i grubiaństwa, pan Bogusławski

niewątpliwie wysokie będzie mógł zająć miejsce między komicznymi poetami Polski.

Kilka chwil we Włoszech w latach 1847 i 1848, przez Wandę Odrowąż. Poznań, 1850.

Wdziękiem téj drobnéj książki jest rzetelność. Na każdéj karcie znać że ją kobieta pisała, a pisała na miejscu i pod wpływem pierwszego wrażenia. Niepewność zdania, łatwowierność, instynktowy pociąg ku pięknemu przy nader powierzchownéj nauce, tęsknota za krajem obok niewymiarkowanego entuzyazmu dla wszystkiego co obce, zgoła nie brak tu żadnéj cechy, która kobietę a osobliwie Polkę w naszych znamionuje czasach. Autorka jednakie posiada uniesienie dla ludzi *powolnego, legalnego działania*, jak dla ludzi *nagłych wybuchów*, dla Piusa IX. jak dla Mazzinistów, dla Mickiewicza jak dla księży Zmartwychwstańców, zwyczajnie jak kobieta: *sama nie wie co lubi, wszędzie serce zgubi.* Taki jest jednak urok wszelkiéj szczerości, iż pomimo licznych wad i niedostatków książka ta z przyjemnością czytać się daje. Żałować tylko wypada że autorka skryła się niepotrzebnie za fałszywe nazwisko. Mogą być słuszne powody do zatajenia własnego nazwiska, ale po co brać cudze, zwłaszcza rodziny któréj zgasła świetność tak boleśnie w pamięci naszéj na początku bieżącego roku odświeżoną została przez zgon ostatniego jéj potomka. Z resztą kto tylko w wymienionych latach wojażował po Włoszech lub słyszał o podróżujących rodakach, ten łatwo odgadnie tajemnicę. Wspomnienie dotkliwéj straty w Pizie jest już dostateczną skazówką.

Pomyłek jest tu tak wiele iż podnosić ich niepodobna. Niewątpliwie większą część błędów w wyrazach i imionach cudzoziemskich winie drukarza przypisać należy. Mniéj jednak na przebaczenie zasługuje niedokładność w opisie wypadków. W ogólności autorka w niczém się nieprzykłada do wyjaśnienia tak ważnych zdarzeń, w posród których przebywała. Również nic nieprzydaje pod względem czy to historycznym czy artystycznym. Ogranicza się najczęściéj na zdaniach ogólnych bez znaczenia, na prostym katalogu miejsc zwiedzanych, na suchym inwentarzu najsłynniejszych sztuki arcydzieł. Już Krasicki w swym *Doświadczyńskim* wyśmiewał podróżnika który za całe opisanie Wiednia donosił, że *wino węgierskie nie tak dobre jak u nas, wieża Ś. Szczepana wyższa od Świętokrzyskich w Warszawie . . . . widziałem cesarza, chodzi po francuzku.* Jakżeż nieporównanie więcéj razić musi sposób podobny w czasach takich jak nasze, w których znajomość obcych krajów tak wysoko postąpiła, a obfitość wszelkiego rodzaju *Opisów* i *Przewodników* tak jest wielka, iż pisarz nieprzynoszący ani głębszéj nauki, ani no-

wych spostrzeżeń, na smutne wystawia się podejrzenie, że prosto z *Murraya* lub *Artarii* nazwiska miejsc i osób na swój dziennik przenosił.

Następujący wyjątek da poznać styl i sposób autorki, a przytém szczegół z całéj książki najciekawszy:

Dnia 13. marca. Wczorajszy dzień tak dla mnie uroczysty! „Wcześniéj wstałam, by żyć dłużéj nadzieją i przygotować „się lepiéj do tak ważnéj chwili. Z kościoła, po gorącéj „modlitwie by ochłodnąć, uspokoić myśli, poszłam na Monte-„Pincio. Czas cudowny, kwiatów tysiące, wesołość w każdym „prawie listku, krzewiu. Czemuż jednak większy smutek na-„pełniał me serce? czemu zamiast zdumiewać się nad temi „cudnemi głosami, śpiewami natury, słyszeć mi się tylko zda-„wało brzęk kajdan naszych braci, naszych więźni? czemuż „mnie tak ciążyły na umyśle jak im na członkach zbolałych, „przygniatały wszelkie swobodniejsze myśli i czucia? Te cu-„dne widoki jakoby z za krat więzień przesuwały się tylko; „ach czemuż? bo za godzin kilka stanąć miałam po raz „pierwszy przed namiestnikiem Chrystusa Pana, przed Jego „kapłanem miłosierdzia na ziemi. O cóż więc błagać go „miałam? Czego pragnęłam jak najgoręcéj w sercu mojém? „co je krwawiło najmocniéj, jeżeli nie ta niewola okrutna „méj Matki, te jęki boleści jéj dzieci. Dla Polski więc i dla „tych, którzy dla niéj tyle cierpieli i cierpią, postanowiłam „go prosić . . . . . prosiłam i błagałam wśród łez i płaczu bło-„gosławieństwa papiezkiego, a gdy Ojciec Święty z wzruszo-„ném obliczem schylił się ku mnie i zachęcał bym wynu-„rzyła me prośby: *Ojcze, módl się! byśmy byli wolnymi, „by byli wolnymi więźnie nasi, skrusz nasze pęta, a dzieci, „biedne sieroty Galicyi, którym ojce i matki zamordowali, „weź pod twą opiekę, bądź im ojcem.* O gdyby w téj chwili „Polska cała widzieć była mogła wyraz anielski téj twarzy, „te łzy w oczach, któremi zaświeciły jak dyamenty, jak gwia-„zdy nadziei, pewniki przebłagania zagniewanego nieba, uko-„iłaby się choć trochę w swym żalu i żałobie, ufałaby „w przyszłości. *Modlić się będę za was wszystkich,* prze-„mówił swym brzmiącym głosem, *będę błagał Boga by wa-„sza pokuta się skończyła, byście dostąpili miłosierdzia „Bożego. Otrzymacie je, mam tego nadzieję, jeżeli w zgo-„dzie i miłości postępować będziecie, bo wasza wiara, jak „widzę, jest silną; patryotyzm wszystkich, którzy przedemną „stawają, buduje mnie. Miejcie nadzieję, przyjdzie dla was „chwila . . . lecz powtarzam: kochajcie jedni drugich, bądźcie „złączeni a zwyciężycie!* O jak te słowa zabrzmiały mi „w duszy, jak ją wstrząsły silnie! Płakałam i wstać nie mo-„głam, i klęczałam, i klęczałabym wieki, bo szczerze mi się

„wydało, ze u stóp Zbawiciela jestem, bo mi się zdało, żem „się przeistoczyła w Polskę całą, że wszystkie jéj przeszłe „i obecne męki i katusze rozdzierały, szarpały me serce; „a że u tego tylko źródła życia, miłości, napoić się mogłam, „by zgoić dawne rany, nabyć sił i mocy, by w nowych „walkach, stanowczych chwilach, gdzie znów o wolność „i święte prawa walczyć będziemy, nie upaść z pragnienia. „Jedność i miłość, to słońce, rosa, która rozkrzewia, utrzy„muje świeżość, piękność świata, czyż zakwitną nareszcie „u nas? Bodajby modlitwy Ojca Śgo nam ją przyniosły...."

Radowitz. ***Eine Silhouete.*** Berlin, Fr. Gerhard 1849.
Joseph v. Radowitz. ***Eine Charakterschilderung von Emil Frensdorff.*** Leipzig, F. A. Brockhaus, 1850.
Parlamentarische Grössen von Walter. ***(Radowitz.)*** Berlin A. Hofmann et Comp. 1850.

Radowitz! któż na to imie nie przypomni sobie ubiegłych lat ostatnich, kto nie ujrzy w myśli wszystkich katastrof politycznych, w których p. Radowitz czynną grał rolę, które sprowadził, których zatrzymać nie zdołał. Od wojny Sonderbundu z konfederacyą Szwajcarską, aż do mobilizacyi wojsk w Prusach, nazwisko jego łączy się ze wszystkiemi układami, wszystkiemi obradami izb, ze wszystkiemi krokami dyplomacyi. Kiedy partya liberalna niemiecka zdradziła zupełną swą niemoc, a książęta z Austryą nie mogli czy niechcieli o połączeniu myśleć, w ręku króla pruskiego i doradzcy jego, p. Radowitz, zdawała się być złożona idea i gwarancya jedności niemieckiéj. Na sejmie w Frankfurcie zwracał on ciągle uwagę reprezentantów na konieczność punktu oparcia, zalecał bezprzestannie wzgląd na interesa, wyobrażenia i chęci gabinetu pruskiego. Porozumienie między rządami a sejmem uważał i głosił za rękojmią i jedyny warunek prawowitości uchwał zgromadzenia. Przeciw zasadzie wszechwładztwa ludu od razu i wyraźnie protestował. Jego po części radom przypisać należy, że Fryderyk Wilhelm IV. odrzucił stanowczo koronę cesarską, chociaż zkądinąd niezaprzeczamy, że charakter, zasady i przekonania tego monarchy nie dozwoliłyby mu i tak przyjąć dar podobny z rąk wyraźnych przeciwników swoich. Za jego także, jak myślimy, namową i staraniem wziął na się rząd pruski ciernisty obowiązek połączenia na drodze dobrowolnych umów w ściślejszy niż dotąd związek dwory książęce, zazdrosne o wyłączne przywileje niezawisłości monarszéj, chciwe zatrzymać władzę, chociażby z krzywdą rzeczywistych potrzeb kraju, z ujmą chwały narodowéj. Zadanie nie było łatwe.

Wprawdzie rządy państw pomniejszych przerażone postępem rewolucyi, nie mając dość siły do oparcia się natarczywym żądaniom poddanych, rzuciły się w ręce jedynego wtedy państwa które potęgą wojskową rozporządzać mogło. Prusy pomogły przytłumić powstanie w Saksonii, Palatynacie, w Baden; wdzięczni książęta zawarli (z wyjątkiem Bawaryi i Wirtembergu) unią pruską w maju 1849. Ale jak z jednéj strony krwawe zwalczenie rewolucyi oburzyło na rząd berliński całą partyą radykalną w Niemczech, tak z drugiéj rozwiązawszy ręce rządom usposobiło je do tergiwersacyi i oporu. Pod koniec roku Austrya uwolniona od wewnętrznéj wojny stała się punktem podpory wszystkich niechęci. Unia traciła coraz więcéj z zasadniczych podstaw swoich, z każdym dniem szerzył się w Niemczech wpływ gabinetu austryackiego na szkodę powagi pruskiéj. Nie tu jest miejsce rozbierać szczegółowo wypadki bieżącego roku; pismo nasze nie omieszka we właściwéj porze zdać o nich sprawę czytelnikom. Nadmienimy tylko, że w całym tym dramacie niefortunnym i niezręcznym przez zbytek oględności i wyrachowania p. Radowitz najczynniejszym był aktorem. Widzimy go, jako komisarza królewskiego w Izbie II., zapowiadającego niezłomną wolę Prus zjednoczenia Niemiec „aż do ostatecznych granic możebności.“ Widzimy go późniéj reprezentantem Prus i ściślejszego związku w tymczasowéj komisyi związkowéj, a zarazem głównym agitatorem efemerycznego sejmu w Erfurcie, który nic nie dokazał i tylko niezgodę książąt na ułożony przez nich samych projekt konstytucyi bardziéj na jaw wyprowadził. W końcu kazano mu reprezentować rzeczywiście ową politykę, któréj duchem z za kulis od dawna kierował. P. Radowitz został ministrem spraw zagranicznych. Lecz skoro tylko wypadki nieuchronne zbliżyły się, skoro potrzeba było poprzeć całą potęgą wagę słów i woli rządu, upadł przed silnym oporem kolegów urzędu i niechęcią stronnictwa, którego interesa popierał. Upadkiem jednak osoby nie dadzą się odwrócić skutki systematu ogłoszonego słowem, zapewnionego uroczystą obietnicą, wcielonego w dokonane czyny, nie da się zatrzeć upokorzenie ze zniweczenia świetnych zamiarów płynące. Honor, czy konsekwencya błędu powiodły rząd daléj, niż się był spodziewał, i p. Radowitz ma pociechę widzieć jak owa mobilizacya wojska, o którą się rozbił u steru państwa, na wielką skalę po całym odbywa się kraju. Czy usunięcie jego jest znakiem niełaski i zwrotem do innych wyobrażeń, czy też jest tylko koniecznem ustąpieniem dla ułatwienia układów, trudno dziś *a*) z pewnością rozstrzygnąć. Tyle jest pewna, że położenie

---

a) Pisaliśmy dn. 21. Listopada 1850 r.

p. Radowitza w ministeryum nawet w zwyczajnych okolicznościach byłoby nadzwyczaj trudném, cóż wśród dzisiejszych zawikłań politycznych? Nie może on oprzeć się bezpiecznie na żadném z obecnie istniejących stronnictw. Radykaliści nienawidzą go, jako wyraźnego nieprzyjaciela zasad demokratycznych, jako szczęśliwego zwycięzcę usiłowań republikancko-unitarnych; partya konstytucyjna nie zapomniała mu wyobrażeń monarchii stanowéj; absolutyści, stronnicy dawnego rządu nie wierzą szczerości jego zamiarów, podejrzywają go jako katolika i nie Prusaka, radziby się wyrzec niewygodnéj przyjaźni, nabawiającéj ich kłopotów i strachu, czyniącéj spadkobiercami owéj dziwnéj romantyczno-mistycznéj polityki, którą słusznie o wszystkie dzisiejsze trudności oskarzają.

Jakkolwiekbądź, nie małe jest znaczenie generała Radowitza w obecnych czasach. Pojmują to wszystkie przyjazne i nieprzyjazne mu organa prasy niemieckiéj. Pełne są one od lat dwóch najdziwniejszych o nim szczegółów, najsprzeczniejszych zdań o jego systemacie politycznym. Dla tego téż nie od rzeczy sądziliśmy z okoliczności trzech pism wyłącznie biografii jego poświęconych, skreślić obraz życia i prac tego człowieka stanu.

„Parlamentarische Grössen“ gdzie Radowitz stoi obok innych znakomitości naszego czasu *b*), wypłynęły z pod radykalnego pióra. Grzeszą one nie tylko niepomiarkowaną nienawiścią, ale nadto powierzchownością i brakiem pewnych, pozytywnych faktów. — Broszura *„Radowitz. Eine Silhouette“* napisana jest, mimo wszelkich zastrzeżeń i pozorów bezstronności, w duchu bardzo dla p. Radowitza niechętnym, co dla tego nie mile uderza, że autor zamiast walczyć na obszerném polu przekonań politycznych i dokonanych czynów, rzuca się na złośliwe podjazdowe wycieczki, porusza drobne podejrzenia i drobniejsze jeszcze pogłoski. Walka do takich sprowadzona rozmiarów utraca godność i powagę, dowody tracą moc przekonywającą. Bezimienny autor słusznie swéj pracy nadał imie sylwetki. Do wysokości dokładnego, a nawet podobnego obrazu nigdy się ona nie wznosi. Wyższą pod wszelakim względem jest broszura p. Frensdorffa. Obrobiona starannie i nie bez talentu, czerpie twierdzenia z faktów i dokumentów urzędowych, obfituje w daty i cytacye wiarogodne, zaleca się wreszcie mimo widocznéj ku p. Radowitz przychylności pewną niezależnością, która wprawdzie w bezbarwność polityczną niekiedy przechodzi. Bądź co bądź, odsyłamy czytelników naszych do téj ostatniéj broszury, jeśli chcą mieć obraz dokładny głośnego dzi-

---

b) v. Gerlach, Stahl, Walter, Dahlman, Camphausen, Simson, Hansemann, v. Vincke.

siaj dyplomaty. P. Frensdorff przytacza następujące szczegóły, które podamy w krótkości. Józef Radowitz urodził się dnia 6. Lutego 1797 r. w Blanckenburgu na Harcu z ojca katolika, a matki protestantki z domu v. Könitz, primo voto v. Einsiedel *c)*. Z początku w protestanckiéj przez matkę wychowany wierze, przeszedł w czternastym roku życia za życzeniem ojca do katolicyzmu; nie jest jednak prawdą, jakoby w kolegium jezuitów nauki pobierał. W osiemnastym roku służył już w wojsku byłego królestwa Westfalskiego i został oficerem artyleryi. Ranny i wzięty w niewolę pod Lipskiem przeszedł w służbę heską i wraz z wojskiem koalicyi francuzką kampanią odbywał. Po r. 1815 został nauczycielem w szkole kadetów w Kassel, gdzie lat kilka nauce matematyki i ćwiczeniu się w muzyce poświęcił. Nieporozumienie między elektorem a jego małżonką, siostrą Fryderyka Wilhelma III. (1821), zmusiło go do opuszczenia Kassel. Opatrzony polecającemi listami od księżniczki, któréj sprawę przeciw mężowi i metresom jego popierał, udał się p. Radowitz do Berlina, gdzie go szersze pole działania i wyższe godności czekały. W r. 1823 został nauczycielem ks. Albrechta w umiejętnościach wojskowych. Na téj posadzie, przebywając lato r. 1824 w zamku Sanssouci, zabrał bliższą znajomość z ówczesnym następcą tronu, dzisiejszym zaś królem, Fryderykiem Wilhelmem IV. Odtąd bliskie ich stosunki trwają nieprzerwanie *d)*, a wpływ wyobrażeń p. Radowitza na postanowienia i czyny królewskie jest widoczny. Chęci sparaliżowania go a przynajmniéj zmniejszenia, przypisywano powszechnie nominacyą udzieloną gen. Radowitz przez zmarłego króla (w r. 1836) na pełnomocnika pruskiego w Baden i przy sejmie związkowym w Frankfurcie. Na stanowisku tem pracował on długo, ale bezskutecznie, nad sposobami ulepszenia wojskowéj organizacyi Niemieckiego Związku. Bliski świadek zawikłań szwajcarskich, należał p. Radowitz, jak już mówiliśmy, do konferencyi Prus, Austryi, Francyi i Rosyi względem Sonderbundu. W Styczniu r. 1848 udał się na dwór Ludwika Filipa do Paryża. Rewolucyi lutowéj nie przewidział, zaprzecza wszakże jakoby miał dynastyą orleańską za zupełnie na tronie francuzkim ustaloną uważać i głosić. Dziwném

---

c) Dziad Radowitza pochodził z Węgier i należał do uboższéj szlachty komitatowéj. Przeniósł on się do Niemiec, a syn jego, ojciec Józefa, nic już z dawnéj narodowości prócz niefortunnych stosunków handlowych niezachował.

d) Oczywisty dowód prawdziwości naszego twierdzenia daje list królewski napisany do p. Radowitz po usunięciu go z ministerium. List ten widocznie nie dla publiczności przeznaczony przeszedł jednak do gazet. Król zowie gen. Radowitza przyjacielem, którego wszystkie myśli, zasady i uczucia dzieli etc.

jest owo nieszczęście przywiązane do wszystkich kroków generała. Nic mu się z zamiarów jego nie udaje. Projekta nowéj organizacyi wojskowéj rozbiły się o ślepy konserwatyzm sejmu związkowego, konferencye mocarstw celem utrzymania dawnego stanu konfederacyi szwajcarskiéj uległy szybkości i decyzyi strategicznéj radykalizmu; wypadki późniejsze zatrzymały rękę rządów wyciągniętą do odwetu za upokorzenie wyrządzone sobie; rewolucya wiedeńska przerwała negocyacye jego z dworem cesarskim, berlińska złamała cały system stanowéj monarchii pruskiéj, — o niepowodzeniu zaś jego na zgromadzeniu frankfurtskiém i w kwestyi zjednoczenia Niemiec mówiliśmy już wyżéj. Rzeczywiście trafnym jest ów dowcip publicysty berlińskiego, który powiedział po 18. Marca 1848: „Radowitz przybył do Paryża, i Ludwik Filip uciekł; przybył do Wiednia, i Meternich uciekł; nie przybył do Berlina i Fryderyk Wilhelm pozostał.“ Cóż jest przyczyną tak uderzającego nieszczęścia? Los, czy niezręczność negocyatora? Ani jedno, ani drugie. Tylko brak silnych przekonań, opartych na pewnych, niezłomnych zasadach, brak energii i decyzyi, szybkości w działaniu, wieczne względy na to i owo, ciągła myśl zabezpieczenia się ze wszech stron, niepraktyczne życzenie pogodzenia najsprzeczniejszych praw i interesów, udana, a przynajmniéj źle pojęta szlachetność co zawsze na pozór bezinteresowność i poszanowanie dla praw obcych głosi, stanowczych, wyraźnych kroków się strzeże, a pod ręką, uczuć i wyobrażeń czasu i narodu na swoją korzyść używa, chcąc jeszcze wytłumaczyć pokrzywdzonym, że ich od upadku broni; zgoła owa lękliwość, półśrodkowość i macanie polityki pruskiéj, któréj autorem i przywodzcą sam król p. Radowitza mieni. — Przed rokiem 1847 był generał Radowitz zwolennikiem monarchii stanowéj. Patent 3. Lutego 1847 r. z jego wypłynął natchnienia, jak się dowodnie okazuje z dzieła p. t. „Gespräche aus der Gegenwart über Staat und Kirche. Eine Schrift von Radowitz,“ gdzie myśli i zdania rzeczonemu patentowi odpowiednie wykłada Waldheim, przedstawiający ideje autora. Po marcu 1848 r., gdy rewolucye stolic niemieckich zachwiały dawnym rzeczy porządkiem, przerwały pasmo rządowego zbyt powolnego postępu i zrobiły niepodobnym kongres drezdeński e), za staraniem p. Radowitza i dworu pruskiego ku poprawie i rozwinięciu instytucyi związkowych zebrać się mający, gdy ustąpienia ze strony rządów stały się nieodbitą koniecznością, a konstytucye dokonanemi faktami, gen. Radowitz uległ wymaganiom opinii, przyjął niemiłą sobie formę reprezentacyi narodowéj i poświęcił całe

e) Patrz jego broszurę: „Deutschland und Friedrich Wilhelm IV.“

usiłowanie pracy parlamentarnéj około interesów zagrożonego swego stronnictwa. W jednéj części okręgu Arnsberg, w miasteczku Rüthen posłem na Zgromadzenie frankfurckie obrany starał się ciągle tak w publicznych mowach jak i po za sejmem o skierowanie opinii w stronę wyobrażeń monarchiczno-pruskich. Nie uzyskawszy większości wotował za uchwałami, które mu prawa pojedynczych rządów najmniéj obrażać się zdały, zastrzegając zawsze znaczenie takowego głosu.

Cóż powiemy o przekonaniach religijnych p. Radowitza. Sylwetka nasuwa podejrzenia ultramontanizmu, p. Frensdorff je odpiera. Ostatni utrzymuje nawet, że stanowisko religijne dyplomaty wolne jest od „mistycyzmu i lękliwéj skrupulatności." Trudno nam zadać fałsz bez dowodów, lub też obłudę jasno wypowiedzianym principiom zarzucić. P. Radowitz bronił gorliwie praw i wolności kościoła, postępował zawsze w związku i porozumieniu ze stronnictwem katolickiém Zgromadzenia. Z tém wszystkiém przystać nie możemy na taki abstrakcyjny, zimny katolicyzm płynący z głowy, a nie imponujący sercu, na religią co wyraźnych obowiązków nie stawia, co nie przeszkadza interesów polityczno-wojskowych po nad względy sprawiedliwości wynosić. P. Radowitz żąda przyłączenia Szlezwigu do Rzeszy dla tego że jest niemiecki, potępia Czechy za wyłączenie się z Związku, choć są słowiańskie, życzy podbicia Medyolanu z powodu patryotyzmu germańskiego, — że zaś mową na dniu 25. Lipca 1848 r. mianą głównie się do przyjęcia demarkacyi poznańskiéj przyczynił, wiadomém jest powszechnie *f*). Gdzież w tém wszystkiém dopatrzeć można niezmiennéj zasady, i téj harmonijnéj zgody wewnętrznéj, która wszystkie czyny religijnego człowieka koniecznie cechować winna? Katolik znika na rzecz dyplomaty, sumienie przed rozumem się korzy.

P. Radowitz jest, jak mówiliśmy, autorem pism rozmaitéj treści. O jego „Rozmowach" i obronie polityki króla pruskiego (Deutschland und Friedrich Wilhelm IV.) wspomnieliśmy powyżéj. Dziełka matematyczne: „Formuły geometryi i trygonometryi," — „O prawdopodobieństwie w poszukiwaniu," — „O strzale rykoszetowym," wydane w Berlinie między rokiem 1827—35 zjednały mu wziętość między wojskowymi. Prócz tego ogłosił on jeszcze „Ikonografią świętych" opisującą ubiory i inne wyróżniające cechy, po których tychże na obrazach rozpoznawać można. Zapowiedziany jest dalszy ciąg jego „Rozmów o obecnym kościele i państwie" — rozprawa p. t. „Devisen und Mottos des Mittelalters," oraz obszerna historya ostatnich

f) Opuścila go wtedy cała partya katolicka.

lat dziesięciu, jako uzupełnienie fragmentu; „Deutschland und Friedrich Wilhelm IV.“

Kończymy krótki ten życiorys obrazem powierzchowności p. Radowitza, jak go był skreślił w feilietonie Gazety Kolońskiéj p. Alfred Meissner, republikanin i wielki generała przeciwnik. „Głowa jego, mówi on, ma charakter obrazów Velasqueza, cały zaś podobny jest do wojującego mnicha. „Twarz zżółkła, włosy siwe do góry wzniesione, oczy wielkie żółcią jakoby nabiegłe, ściśnione usta, warga dolna wystająca, górna długim czarnym ocieniona wąsem, wzrok ponury zawsze na papier spuszczony, każdy rys zresztą pełen „jest głębokiego znaczenia. Nie jest on wielkim mówcą, ale „każda z mów jego głębokie robi wrażenie. Kiedy na mównicę wejdzie (a idzie zawsze pomału), zakłada ręce na piersiach i ciska zdania urywane, krótkie, bez wszelkich ozdób „retorycznych, potężne obrachowanym ale nie błyskotliwym „popisem ze skarbu obszernych jego wiadomości. Dziwi co „chwila nowym na rzeczy poglądem, umotywowanym po prostu, ale z mocą matematycznego pewnika. W chwili, gdy „się w pełnym biegu rozprawy być zdaje, nagle głos jego „krótko i sucho zapada. Izba klaszcze, woła brawo, on zaś „powraca na miejsce niedbałym, obojętnym krokiem, jak gdyby „te oklaski komu innemu dawano. Cały czas siedzi zatopiony w myślach, nie zaszczycając ni słówkiem sąsiada. „Mowy przyjaciół, obelgi przeciwników, nie odmieniają wcale „pół ponurego, obojętnego w części wyrazu téj twarzy. Tylko „w chwili ważnego głosowania obraca się Radowitz w koło „i komenderuje jak wódz na polu bitwy — stać albo siedzieć.“

Korespondencya

Wyjątek z listu z Krakowa.

P. Lesław Łukaszewicz wydał w swojéj drukarni na dochód Ochron krakowskich: ***Kile słov wó Kaszebach o iich zemi przez Wójkasena i Prajsa***, z dołączeniem słowniczka wyrazów kaszubskich.

W r. 1848. za przykładem ojców frankfurckich, poczęto w całéj Europie krajać ludzi na różne narodowości; widziano tam Rutenów, Niemców i t. d. gdzie ich rzeczywiście ani wtedy ani przed wiekami niebyło. ***Divide et impera***, to było godłem tych filologicznych podziałów i demarkacyj. Zabytkiem owych w 1848. roku poczętych a dziś już gasnących usiłowań, choć nie w celu dyplomatycznym ale tylko lingwistycznym jest książeczka którą tu zacytowaliśmy. Poczciwy sobie kaszub p. Wojkasen nie zna pismiennego języka polskiego, ale pisze tak jak się mówić nauczył. Oto np. (str. 6.) „Powiastki Greków e Rzymianów, jakbe na zemij naszi niegdesz miele Miemce mieszkać, pomijaję, bo ju dosc wiele pisarzi miemieckich je za decht niegwesne wuzale. Tak powiodo Sell zaros na początku swoje historij xęstwa Pomorskjeho" itd. Każdy co przeczyta choćby tylko próbkę którą tu przytoczyłem, przyzna iż nasz wieśniak niedouczony gramatyki, nieinaczéj napisze; a zatém nie poczyta języka kaszubskiego za język jakiś osobny, ale wprost za prowincyonalizm naszego języka; za odmianę która innéj dla siebie prócz polskiéj literatury tworzyć nie może i niepowinna. Szanowny jednak wydawca mówi na wstępie: „Wojkasena pismo jest pierwszym owocem pióra kaszubskiego.... Pociecha i korzyść, gdyż każdy będzie mógł przekonać się ***własnemi oczyma*** co to za język i do któréj rodziny należy." Co do mnie, słysząc czytane pismo rzeczone nawet własnemi uszyma, niemogę razem z wydawcą podawać w wątpliwość do któréj rodziny język kaszubski należy, bo go nawet za język nie uznaję ale tylko polskim prowincyonalizmem nazywam. Tém bardziéj iż sam wydawca (na str. 33.) słusznie twierdzi, iż najważniejszą różnicą języka kaszubskiego od polskiego jest przemiana głoski *a* na *o*; taż sama przemiana dzieje się w wymowie chłopów naszych, a przecież oni nie po kaszubsku mówią. Za słowniczek idjotyzmów dziękujemy wydawcy, bo słowniczki podobne zebrane ze wszystkich prowincyonalizmów mowy naszéj, pokazałyby nam dowodnie co z pięknéj naszéj Zygmuntowskiéj mowy z pisma wypadło a u ludu się przechowało.

Sprawy publiczne.

Podobieństwo wojny.

Niewierzymy w wojnę Prus z Austryą. Dla obu mocarstw powody pokoju są tak wielkie, tak przeważne, iż ciężko przypuścić zupełnego z dwóch stron zaślepienia, zupełnego poświęcenia względów wyższéj polityki, dotykalnych i koniecznych, namiętnościom choć szlachetnym, lub zachceniom ambicyi. Z tém wszystkiém doświadczenie spraw tego świata pokazuje, jako niezawsze zdrowy rozsądek wypadkami rządzi. Nam znowu Polakom łatwo przypuścić, że Pan Bóg zsyła karę na państwa które naszą ojczyznę tak ciężko skrzywdziły. Położenie Prus jest trudne, drażliwe, niesłychanie. Wypadki nieprzewidziane r. 1848 przyspieszyły wybuch ambicyi przewodniczenia w Niemczech, przedwcześnie odsłoniły ostateczny kres mądrych i cierpliwie prowadzonych robót, nienawiść do Austryi jawnie wyświeciły. Prusacy uwierzyli w upadek Austryi i wystąpili otwarcie jako chciwi spadkobiercy. Dziś się odwróciły rzeczy: Austrya wsparta na Rosyi żąda zupełnego wyrzeczenia się wszystkich nowych urządzeń politycznych, w myśl jedności prusko-niemieckiéj zaprowadzonych; żąda więcéj, bo powrotu do dawnych stosunków. Dla Prus jest to wielkie poniżenie, poniżenie jakiego żadne ustąpienia niezakryją. Stanęła więc ciężka alternatywa: albo rujnującéj kraj wojny i prawdopodobnéj dla wielu powodów przegranéj, albo utraty znaczenia w Niemczech i w Europie [a]). Z położenia takiego wojna może prędzéj czy późniéj wyniknąć; dla tego choć niemyślimy żeby na teraz do starcia

---

[a]) Co sami Prusacy, zwłaszcza ludzie staro-pruskiéj szkoły myślą i mówią o fatalném położeniu w jakiém się Prusy dziś znajdują, tego dowiedzieć się możemy z dowcipnie i śmiało napisanéj broszury Unsere Politik (Berlin u Schneidera). Broszura robi niezmierne wrażenie

przyszło, musimy przypuścić podobieństwo zerwania. W następstwie tego przypuszczenia widzimy potrzebę zastanowienia się nad położeniem Polaków w téj ważnéj okoliczności.

W chwili obecnéj uderza nas przedewszystkiém niedogodność uzbrojeń pruskich. Jeszcze nie ucichł płacz rodzin i narzekania naczelników gospodarstw nieustały. W interesach daje się czuć dotkliwie wstrząśnienie zwyczajnych stosunków. Można się nawet obawiać kryzys pieniężnéj. Jakżeż znowu nieubolewać nad wyrwaniem wielkiéj liczby ludzi z koła wyraźnych powinności i uczciwych zatrudnień, a rzuceniem ich na drogę zobojętnienia dla pracy powszedniéj, na drogę zepsucia moralnego! *b*) Cóżkolwiekbądź, jest rzeczą oczywistą że w razie wojny rozmaite pomyślne okoliczności wyniknąć dla nas mogą.

W niéj nieznajomy autor wykłada wszystkie sprzeczności i wszystkie niepodobieństwa przez fałszywą politykę lat ostatnich nagromadzone. Założenie jego na wstępie wypowiedziane brzmi jak następuje: Durch eine Reihe von politischen Irrthümern ist Preußen in eine Lage gebracht, die uns mit dem Untergang bedroht, wenn die bisherige Politik nicht auf der Stelle und gänzlich verlassen wird. Autor całe złe przypisuje temu że Prusy nie w sobie samych ale w Niemczech punkt oparcia we wstrząśnieniu znaleść chciały. W ciągu swego wywodu zadaje sobie pytanie: Was konnte nun das Kabinet bewegen eine Politik noch fortzusetzen, die mit jedem Augenblick eben so unergiebiger als bedrohlicher wurde? Es war die preußische Ehre. Odpowiada i zaraz dodaje: Denn Preußen hatte seine Ehre daran gesetzt, eine falsche Politik zu unternehmen; es hatte die deutsche Einheit für seine eigene Aufgabe erklärt, und unter pausbackigen Proklamationen die Union (ursprünglich deutsches Reich genannt) in die Welt geschleudert; es hatte um deswillen seine alten Verbindungen abgebrochen, seine eigenen inneren Angelegenheiten darüber vernachläßigt, in den Kammern mit den deutschthümlichen Salbadereien die Zeit verbracht, auch ein schönes Geld dabei vertäuschelt — und nun die Sache aufgeben? Nimmermehr? Das wäre gegen unsere Ehre. Daléj czytamy: Wir hatten uns in eine Sackgasse verlaufen, — sollen wir denn nun mit dem Kopf durch die Wand rennen?.... Ach die preußische Ehre hat wohl gelitten, sehr gelitten. Wir haben uns unfähig gezeigt, ich will nicht sagen eine gesunde Politik zu führen, sondern auch nur unsere Irrthümer zu erkennen, zu unredlich um sie einzugestehen.... Je mehr Ehre im Munde, destoweniger Verstand im Kopfe, und folglich immer tiefer in die Confusion hineingerathen. Całą broszurę można z korzyścią przeczytać.

b) Teraz widzimy dotykalnie niedogodności instytucyi landwery. Landwera w czasach wojennych daje złych bo niedość wyćwiczonych żołnierzy, a demoralizuje ogromną liczbę ludzi.

Chodzi tylko o to czy z naszéj-strony mamy i możemy brać udział w kwestyi wojennéj, a bliżéj mówiąc, czy należy przypuścić potrzebę jakiejkolwiek agitacyi czy też się nam biernie zachować wypada?

My jak najwyraźniéj za biernem zachowaniem się obstajemy.

Korzyści jakieby nam wojna bezpośrednio czy pośrednio przyniosła, obliczyć się wcale niedadzą; co więcéj jest rzeczą widoczną że w dzisiejszym stanie stosunków europejskich rozterka niemiecka wypadłaby właściwie na korzyść jedynego mocarstwa kontynentalnego skupionego w swojéj sile i nienapoczętego przez wstrząśnienie lutowe, na korzyść Rossyi. Lepiéj więc jest powstrzymać niecierpliwe chęci i żywego współudziału sobie zakazać, jak zapuścić się choćby tylko głośném objawianiem współczucia, w koléj omylnych i niepewnych wypadków. Jeżli kiedy to w razie wojny Prus z Austryą mamy obowiązek wielkiéj ostrożności, aż do pory w któréj się wyraźniejsze perspektywy dla ojczyzny naszéj odsłonią.

To co mówimy stosuje się do naszych pism czasowych a więcéj jeszcze do deputowanych polskich na sejmie berlińskim. Deputowani W. Księstwa złożyli w téj chwili piękną i szlachetną, jasną dla przyjaciół i nieprzyjaciół deklaracyą. Wzmocnili oni tym sposobem i obwarowali swoje stanowisko; ale nie tu koniec ich posłannictwa. Nemesis dziejowa chce jak się zdaje żeby od nich znowu większość w drugiéj izbie zależała. Otóż w takim zbiegu okoliczności, spodziewamy się po nich roztropności zupełnéj i wyrzeczenia się względów pobocznych. Jesteśmy przekonani że zrozumieją raz iż głosowanie za wojną lub przeciw wojnie odebrałoby powagę ich położeniu i konsekwencyą ich postępowania by przecięło, powtóre że nie namiętność ale wstrzemięźliwość i spokojne zastanowienie piastunom narodowych naszych interesów przystały.

Ktoby dziś z Polaków czynnie chciał występować, ten działałby w nadziei że się wypadki za środek użyć dadzą. A przecież tyle nas dotąd rachub podobnych omyliło, żeśmy się stać ostrożniejszymi byli powinni. Polityka zręczności, zawodzi i ze szlachetnych znamion stanowisko ogołaca. Polityka zasad, zbawia i uszanowanie zawsze i wszędzie nakazuje. Bądźmy cierpliwi i wierzmy w świętość sprawy naszéj a chwila odrodzenia jasno dla sumień zabłyśnie. Zkądinąd przyszłość zawsze nagrodę roztropności prawdziwéj przynosi, i pokazuje że w polityce nie drażliwość i pospiech ale uczciwe zastanowienie się podnosi i ratuje trudne sprawy.

Odpowiedź Gońcowi.

Z powodu recenzyi naszéj pism Klemensa Protasza otrzymaliśmy od *Gońca Polskiego* w Nrze. 113. upomnienie i naganę. Na artykuł *Gońca* odpowiemy obszernie; zanim jednak przystąpimy do rzeczy, o najważniejszym pocisku przeciw dobréj wierze naszéj wymierzonym w kilku wyrazach napomkniemy. *Goniec* powiada: *Zarzut rozmyślnego zdradzania sprawy narodowéj rozlicznie bywa w obecnym mianowicie czasie używanym i nadużywanym. Używanym bo niestety czasy próby ostatniéj nadeszły. Nadużywanym bo rozlękana wyobraźnia, rozbolałe uczucia, tworzą sobie widma urojone; albo też duch stronnictwa ucieka się w złéj wierze do strasznéj téj broni a broni, niezawodnéj. Mieszaninę użycia i nadużycia téj broni upatrujemy w jednym z artykułów Przeglądu.*

Wzmianka o duchu stronnictwa obok affirmacyi że *Przegląd* nietylko użył ale i nadużył oskarzenia, kilka innych wyraźniejszych w dalszym ciągu przymówek, znaczą to samo dla wielkiéj liczby czytelników co powiedzenie: *Przeglądowi* chodzi właściwie o rzeczy kościelne, o Jezuitów, a patriotyzm tylko za środek bierze. Owoż pytamy się czytelników naszych: od lat sześciu jak *Przegląd* istnieje pozwalałże sobie oskarzeń lub drażnień, występowałże zaczepnie, schlebiałże kiedy uprzedzeniom? Przeciwnie, niebyłoż zawsze jego zadaniem, szczerze i swobodnie pojęcia swoje wykładając, uspokajać, koić i do zdrowego rozsądku nie do namiętności się odwoływać? *Przegląd* wszystkie kwestye religijne, i wszystkie kwestye narodowe wielokroć rozbierał; zasłużyłże kiedykolwiek na zarzut że jednych za pokrywkę dla drugich używa. Sumienie czytelników pisma naszego odpowie na te zapytania. Co do nas, poprzestajemy na uwadze że tylko wyraźny tryb nadużyć mógł usprawiedliwić skwapliwą ze strony *Gońca* zaczepkę i że gdyby *Goniec* nie był się dał uwieść podejrzliwości, na którą nieznamy lekarstwa, ale którą zawsze powściągnie ten kto pamięta o warunkach przyzwoitéj dyskussyi, raczejby w artykule pisma tak oględnego w zarzutach jak *Przegląd* powód do gruntownego zastanowienia się nad tendencyami dzieł w rodzaju Protasza, jak powód do niecierpliwości przeciw ich krytyce był znalazł. Autor artykułu *Gońca* wyznaje iż książki Protasza nie czytał, przypuszcza jednak (jestże to godziwe) że miejsca przytoczone z niéj w Przeglądzie *„mogą być zręcznie wyszukane i wyrwane z całości.“* Zkądinąd miejsca te potępia, zwłaszcza wstęp gdzie mową

o szczęśliwém połączeniu losów Polski z Moskwą. Zdania tego rodzaju uważa *Goniec* za *zdania które nigdzie i nigdy z polskiego pióra wypłynąć niemogą.* Dodaje nawet *że pióro które je kreśli polskiém być przestało.*

Co do głównego zatém punktu jesteśmy w zupełnéj zgodzie. Gdzież więc zmierza upomnienie *Gońca*? Oto chodzi *Gońcowi*: 1) aby lekomyślnie nie nadużywać oskarzania stronnictw i ludzi o działanie w duchu ujarzmicieli naszych; — 2) aby *Przegląd* uzasadnionego swego potępienia co do pism Protasza nierozciągał do innych pisarzów szkoły Kijowskiéj, między którymi *Goniec* zna notorycznie dobrych Polaków, a których *Przegląd* dla tego tylko zręcznie wciągnął pod tak ciężki zarzut, że oni zawzięcie biją na jezuityzm i arystokracyą, podobnie jak Protasz; — 3) aby *Przegląd* dawał rękojmię swéj bezstronności wytykając podobne błędy w tych pisarzach, którzy po stronie jezuitów i arystokracyi przemawiają, i tworzą rozliczne jezuickie warjacye na temat ewangeliczny „Oddaj cesarzowi co cesarskiego." — Na te zarzuty, pod formą życzeń objawione, po kolei odpowiadamy.

1) Nic szlachetniejszego nad zdanie, że w każdéj polemice wychodzić potrzeba z założenia, iż przeciwnik ma jak najgodniejsze podbudki, jak najzacniejsze zamiary. Względność tę posuwać należy do ostatniéj granicy, ani rzucać posądzeń, ani brać jego oświadczeń za hipokryzyą, ani czynić go odpowiedzialnym za czyny i za ludzi, z którymi się do wspólnictwa nie przyznaje. *Speak of me as J am*, mów o mnie jakom jest, oto w téj mierze prawidło po wszystkie czasy, lubo dopiero Shakespeare tak je szczęśliwie wyraził. W sporach politycznych tém bardziéj się na wodzy trzymać wypada, że namiętności są gwałtowniejsze, a skutki obrachować się nie dają i najczęściéj obu stronom szkodzą zarówno, ciężki uszczerbek ogólnéj sprawie przynosząc. Narodowi osobliwie, pod brzemieniem tylu nieszczęść i przeciwności jęczącemu jak Polacy, przystoi największa łagodność i wyrozumiałość w sądach jednych o drugich, a téjże saméj oczyzny dzieciach. Wyklinać się nawzajem, oskarzać o przeniewierstwo, o świadome działanie w duchu nieprzyjaciół skojarzonych na zagładę narodu, jest to więcéj niż lekkomyślność lub zagorzałość. Takie zasady *Przegląd* ogłaszał od początku swego istnienia, takiemi się kierował, takie przypominał swym przeciwnikom, ilekroć zdawali się je naruszać, takich jak się nam zdaje ani na krok nieodstąpił w artykule przeciw szkole kijowskiéj. Wyrzucano *Przeglądowi*, że posuwa umiarkowanie za daleko, nieprzychylni tłumaczyli to umiarkowanie hipokryzyą i jezuicką układnością, względniejsi mówili że jest *za prawy*, ale w ogóle nikt go za zbyteczną su-

rowość lub zapalczywość nie potępiał. Pisma szkoły kijowskiéj znane nam były od dawna. Od dawna przyszliśmy do przekonania iż one najdotkliwszy uszczerbek sprawie naszéj przynoszą, bo ohydzają całą historyczną przeszłość Polski, podkopują z gruntu wszelką religię, podżegają jeden stan na drugi, a stawiając urojone niebezpieczeństwa, odwracają baczność rodaków od rzeczywistych. Potwierdziła w nas to mniemanie niesłychana powolność cenzury moskiewskiéj, która przepuszcza takię uchybienia i w zdaniach i w stylu przeciw najprostszéj moralności i wstydowi publicznemu. A przecież przy rozbiorze *Gwiazdy* i *Lewiatana* wstrzymaliśmy się jeszcze od wyjawienia naszego sądu. Aż dopiero, gdy Protasz wystąpił z konkluzyą, w któréj błogosławi upadkowi Polski dla tego że upadek ten z Moskwą losy nasze połączył, uczuliśmy iż dalsze milczenie byłoby zaniechaniem najświętszéj powinności; zwłaszcza iż w kraju pod rządem moskiewskim nikt podobnych pism zbijać, ani onych dążności wykazywać nie może. *Goniec* potwierdził w całkowitości zdanie nasze co do Protasza. My znowu przyznajemy mu zupełną słuszność co do ogólnego prawidła, że nie godzi się nikomu pod żadnym pozorem imać téj ostatecznéj broni, która odcina choćby wręcz sobie najprzeciwniejsze stronnictwa od wspólnego nam wszystkim węzła i odpycha je w obóz ujarzmicieli naszych. Dodajemy tylko: byle to stronnictwo było polskie, i dopóki polskie. Że zaś wedle samychże słów Gońca, *pióro Protasza przestało być polskiém,* mieliśmy prawo ogłosić go jako już nieznajdującego się w obozie naszym. Uczyniliśmy to z żalem. Aby dać jak najrozleglejsze naszego zdania motywa, obfitemi przytoczeniami przedłużyliśmy artykuł daleko po nad wartość literacką książki Protasza. Nie wiemy, ani domyślamy się kto się pod tem nazwiskiem kryje. Nie tykając więc osobistości, tém śmieléj mogliśmy sąd nasz wynurzyć. Z resztą powiedzieliśmy, iż Protasz zapewnie sam nie wie co czyni, i że ślepém jest tylko narzędziem.

2) Aby oznaczyć zbiorowém nazwiskiem dzieła pisarzów jedne z Protaszem objawiających pojęcia, wybraliśmy miano najłagodniejsze od miejsca w którém pisma swe ogłaszają. W literaturze naszéj z ostatnich czasów była szkoła warszawska, wileńska, nawet petersburgska. Każdy wie co to znaczy. Nikt się nie pomyli do tyla aby miał wszystkich tych co w Kijowie swe pisma drukują, do szkoły kijowskiéj zaliczać. Z resztą powiedzieliśmy wyraźnie zaraz na wstępie artykułu kogo mamy przed oczyma, — *Gwiazdę*, a mianowicie jéj współpracowników, zwiących się Fischem, Gryfem, Dołęgą i Protaszem. *Goniec* zna między nimi notorycznie dobrych Po-

laków. Czemuż ich nie wymienił? Bylibyśmy mu z całą szczerością odpowiedzieli czy ich liczymy do szkoły kijowskiéj, czy nie. Autor artykułu *Gońca* oświadcza że nie czytał pism Protasza. Czytałże *Gwiazdę*? Ponieważ o tem nic nie mówi, wyrok jego żeśmy niesprawiedliwie wszystkie te nazwiska pod jeden zarzut podciągnęli, pozostaje nieudowodnionym. Myśmy po kilkakroć wspomnione pisma czytali, oczom naszym i pierwszym wrażeniom niedowierzając. Na wszystkich znać to same piętno, tenże sam styl, ten sam sposób, te same wciąż powtarzające się argumenta, wszędzie cecha jednéj rodziny, tak dalece iż nam się zdaje że więcéj w tym szeregu jest nazwisk jak osób, bo już to nieszczęściem weszło u nas w modę, że autorowie aby swój zastęp liczniejszym okazać, coraz insze przybierają pseudonima. Jeżli ten dowód nie wystarcza, to przynajmniéj własnemu ich świadectwu wierzyć potrzeba. Ogłaszają oni jak najściślejszą z sobą solidarność, chwalą się nawzajem, nadludzkie sobie, jakieś zbiorowo-apostolskie przypisując powołanie. Wszakże, wedle słów Protasza, *Gwiazda* ma być gwiazdą zbawienia taką samą jak ta, która zwiastowała przyjście na świat Zbawiciela. Protasz powtarza prawie co do słowa to wszystko, co już Gryf i inni przed nim powiedzieli. On to śmielszy, czy nieoględniejszy, przeszedł Rubikon, i niezbędną konkluzyę wymienił. Na nieszczęście bardzo wielu między nami pisarzów walczy niesprawiedliwością przeciw arystokracyi i Jezuitom. My arystokracyą i Jezuitów uważamy za urojone w Polsce straszydła. W przeszłości bronimy szlachtę i Jezuitów od niesłuszności i potwarzy; na dziś sobie nie życzymy powrotu oligarchicznéj organizacyi, ani sądzimy żeby było potrzeba Jezuitów sprowadzać. Sąż gdzieindziéj pisma polskie coby za arystokracyą lub powrotem Jezuitów przemawiały? Zkądinąd, wskazujemy gdzie są rzeczywistsze niebezpieczeństwa i dowodzimy że pisarze podobni kijowskim miasto skupiać, coraz bardziéj rozpraszają już i tak rozdzielone siły nasze. Nie przeto odmawiamy im patryotyzmu. Opłakując ich zaślepienie, w niczém się pod względem miłości ojczyzny nad nich nie wynosimy. Póki w nich tylko widać dobrą wiarę i przekonanie że swojemi zasadami na korzyść Polski działają, póty nie wątpimy o ich zacności, i żądamy od nich jedynie, aby nam taką samą miarą mierzyli. Lecz szkoła Kijowska poszła nierównie daléj. Ubrała ona w całkowity systemat zrzeczenie się narodowéj samoistności. Mierzy niby w arystokracyą, a uderza w szlachtę, ogłaszając że demokracya od wieków sympatyzuje z monarchią, a najbardziéj z tą, która wszystko niwelluje. Ściga Jezuitów, a obala religię katolicką, zalecając reformę i racyonalizm, stawiając *opinię publiczną* za najwyższego sędziego

co do sumień i wiary. Myśmy starali się dowieść że koniecznèm takiéj teoryi w Polsce następstwem jest zwycięztwo prawosławia i samodzierżstwa. *Goniec* byłby daleko większą oddał nam usługę, gdyby był albo wykazał fałszywość naszego dowodzenia, albo w przeciwnym razie połączył swój głos z naszym na potępienie tak zgubnych teoryi. Są wprawdzie pisarze i po za krajem przez Moskwę zabranym (nie o *Gońcu* tu mówimy), którzy godzą wrzkomo na Jezuitów a w istocie na kościół katolicki, którzy pod mianem arystokracyi całą szlachtę ohydzają, ale usiłowania ich są niepewne, rozstrzelone, hamowane bojaźnią opinii publicznéj. W Poznańskiem i Galicyi skorzéj przyjmujemy błędy z zagranicy, ale téż się łatwiéj ich pozbywamy. Szranki są dla wszystkich zarówno otwarte, wszystkim dana broń jednaka, — źródło prawdy, nauka, oświata, dla każdego są dostępnemi. Uwiedzionym na długo tylko ten być może, co niechce szukać prawdy. Nie tak się rzecz ma pod rządem moskiewskim, a zwłaszcza w krajach dawniéj zabranych. Tam już narodowość na wątlejszych stoi podstawach, tam czytająca publiczność mniéj jest oświeconą, tam prawda z trudnością do wszystkich przedrzeć się może, tam z zagranicy tylko to przychodzi, co sprzyja rządowym widokom, tam błędy powolniéj się rozwijają, ale za to tkwią uporczywiéj. Azaliż zdanie rzucone na wiatr wśród wrzawy literackiéj Poznania lub Krakowa posiada tę samą wartość co słowo przeciekłe przez cenzurę moskiewską na spragniony grunt Wilna lub Kijowa? Ileż to tam egoizmów, zwątpień, nieśmiałych jeszcze odstępstw, czeka tylko aby za pozorną a wygodną teoryę skryć swą obojętność lub przeniewierstwo dla sprawy narodowéj! Te to powody zmusiły nas do większéj surowości względem pisarzów téj części ojczyzny naszéj, w któréj niebezpieczeństwo najgroźniejsze, a środki obrony najsłabsze. Gdzie najsilniejsza pokusa, tam też i troskliwość winna być najbaczniejszą. Od żołnierza stojącego na ryzykownym posterunku stokroć więcéj się wymaga jak od luźnéj rzeszy w ogólnym obozie. W stolicy prawosławia i samodzierżstwa najmniejsze drgnienie ku nim jest już połową drogi przebytą.

3. Pozostaje zarzut, jakobyśmy pomijali podobne zgorszenia u tych, którzy w uszanowaniu dla religii, dla porządku społeczeńskiego i dla przeszłości Polski mniéj więcéj jednakie z nami podzielają zasady. Tu już samemi tylko faktami odpowiemy, zastrzegając sobie, że jak błędy szkoły kijowskiéj nie kładliśmy nigdzie na karb demokracyi, ale odpychaliśmy daleko poza wszystkie polskie stronnictwa, tak też nie poczuwamy się do żadnéj odpowiedzialności za to, co byle

jaki katolik napisze. Nieskończenie nawet wyżéj naszą niepodległość stawiamy. Nikt więcéj od nas nie ceni cnót i zasług księcia biskupa Wrocławskiego, nikt więcéj nie może mieć uszanowania dla jego położenia w kościele, a przecież nie wahaliśmy się objawić sprzecznego zdania, kiedy przed dwoma laty zdał się nam swemi odezwami za daleko wkraczać w granice polityki. Lecz zejdźmy do sfery, z któréj *Goniec* podsuwa nam ze znakiem zapytania następujące imiona: H. Rzewuski, E. Breza, M. Grabowski, Walewski. Od czasu istnienia *Przeglądu*, H. Rzewuski wydał tylko dwa dzieła: *Listopad* i *Zamek krakowski*. Przy recenzyi jednak *Listopada* nie omieszkaliśmy mówić o całéj pism jego dążności i mnogich wykroczeniach. Z jaką ścisłością wywiązaliśmy się z tego zadania, przekonać się może *Goniec*, jeżli zajrzy do pisma naszego Tomu V., str. 56. Odtąd, ilekroć zdarzyła się nam sposobność, nie zaniedbaliśmy błędów jego wytykać. Oto nawet w ostatnim naszym numerze znajduje się zdanie (str. 361.) „Rzewuski w wielu twierdzeniach jak „najmocniéj uczucia nasze narodowe obraża, nic szlachetniej-„szego jak oburzenie z jakiém je przyjęto, nic godniejszego „pochwały jak żarliwość obudzona w wielu pisarzach do „odparcia niesłusznych jego zarzutów i wniosków, zarówno „krzywdzących przeszłość narodu, jak podkopujących naj-„droższe nasze nadzieje." W wynurzeniu zgrozy i potępienia przeciw redaktorowi *Przyjaciela chłopów*, nie daliśmy się ubiedz żadnemu z pism polskich. Tu tylko zrobimy uwagę, że nikt niewie z pewnością, czy wytknięta osoba jest w istocie redaktorem powyższego pisma, a domysły bardzo często zdradzają. W dziełach M. Grabowskiego nie widzimy nigdzie anti-narodowych dążności. Oskarzenie przeciw niemu polega na samych pogłoskach o tajnym do rządu liście, który wydrukowanym został w jednym z dzienników emigracyjnych. Z resztą, wypadek ten zdarzył się przed powstaniem *Przeglądu.* Broszury p. Walewskiego są tak excentryczne, tak mało im wpływu przyznajemy, żeśmy czekali z recenzyą do czasu w którym ukończone zostaną. Natomiast tkwią pewnie w pamięci *Gońca* wyrazy, któremi napiętnowaliśmy ostatnie wystąpienie p. Męciszewskiego. Zgoła, niepoczuwamy się do winy, aby nam kiedykolwiek zabrakło odwagi wypowiedzenia całéj prawdy równie przeciwnikom, jak tym, których nam *Goniec* mniéj więcéj za sprzymierzeńców narzuca.

Odpowiedzieliśmy kategorycznie na wszystkie zarzuty. Nie wiemy czy odpowiedzi téj *Goniec* przyzna słuszność, nie zaprzeczy on przecież iż teraz z kolei służy nam prawo rozpatrzyć, jak sam tak dobitnie wystawione przeciw *Przeglądowi* prawidło praktykuje? Na rozwiązanie tego pytania je-

den przykład wystarczy. Dziennik *Czas* wydawanym jest przez ludzi wiadomych z nazwiska, znanych powszechnie z zacności. *Czas* może się nieraz mylić, ale ani patryotyzmu odmówić mu niepodobna, ani stawić go by w najmniejszém zbliżeniu z Protaszem i szkołą Kijowską. Jakżeż z nim jednak *Goniec* polemizuje? Ograniczymy się na dwóch cytacyach. *Goniec* zaczyna jeden z swych głównych artykułów od następujących wyrazów: „Krakowski Czas dla odmiany, „zamieszcza pod napisem: Nasze kościoły, wstępny artykuł po „szczeropolsku napisany.” Co znaczy to *dla odmiany,* jeżli nie zarzut, że *Czas* inne artykuły pisze piórem które *już szczeropolskiém być przestało?* W numerze 24. *Goniec* powiada: „Pociesza nas przypuszczenie, że *Czas* zapewne prze„stał być wyrazem jakiegokolwiek bądź stronnictwa polskiego, „a zamienił się po prostu w organ urzędowy po polsku mó„wiących Austryaków.” Prosimy teraz o wskazanie różnicy między temi ustępami a naszém wyrzeczeniem względem szkoły Kijowskiéj, wyrzeczeniem na które się tak *Goniec* obrusza. Myśmy powiedzieli: „Zwolennicy szkoły Kijowskiéj piszą je„szcze dobrze po polsku: może jeszcze nie są zupełnie Mo„skalami, ale Polakami być już przestali.” Zaiste, jeżli jest różnica, to ta, że my mianujemy pisarzów Kijowskich jeszcze nie zupełnie Moskalami, a *Goniec* zwie redaktorów *Czasu* już Austryakami. Tak tedy upomnienia *Gońca* na niego samego naprzód i o tyle cięźéj spadają, o ile *Czas*, w trudném swém położeniu niezapominający nigdy o ogólnéj sprawie narodowéj, wyższym jest od pisarzów, z których najszczerszy otwarcie błogosławi połączeniu losów Polski z Moskwą. Co więcéj, teraz na nas kolej przyszła powiedzieć *Gońcowi* w własnych jego słowach: „Ostateczny ten i najstraszniejszy zarzut roz„myślnego zdradzania sprawy narodowéj rozlicznie bywa „w obecnym mianowicie czasie używanym i *nadużywanym.*” Tylko my *Gońca* o złą wiarę nie posądzimy.

Mocnobyśmy żałowali, gdyby albo ta z nami ale nie przez nas wszczęta polemika, albo co gorzéj jakieś uczucie solidarności ze śmiesznym panegirykiem *) pisarzów kijowskich umie-

*.) Praca ta pod napisem *Korespondencya z Litwy* najsmutniejsze na nas zrobiła wrażenie. Styl niezgodny z ogólnym tonem *Gońca,* falszywa data czasu i miejsca, ba nawet przypisek u spodu co do téj daty dodany, przekonywają nas iż tylko przez podejście dobréj wiary redaktora, korespondencya ta o Litwie, ale nie z Litwy, w kolumnach jego pisma umieszczoną została. Nową w téj mierze rękojmią jest oburzenie *Gońca* na pismo dziś w emigracyi powstałe pod tytułem *Wychodźca*. Zaiste nie wiele widzimy różnicy między najgorszemi kartami *Wychodźca,* a następującemi z owéj korespon–

szczonym w Nrze 44. *Gońca*, popchnęły to pismo do dalszéj obrony tychże pisarzów. Zaczepieni, musieliśmy odpowiedzieć, ale oświadczamy, że w dzisiejszém ubóstwie literatury peryodycznéj bardzośmy nieradzi wchodzić w spory z pozostałemi nam dziennikami. Uznając równie w *Czasie* jak w *Gońcu* szlachetną, patryotyczną tendencyę, pomijaliśmy i pomijamy wiele powodów, którebyśmy łatwo znaleść mogli do niezgody z obydwoma. Nie wypieramy się bynajmniéj, że w główniejszych, zwłaszcza religijnych zasadach, czujemy się bardziéj zbliżeni do *Czasu* jak do *Gońca*, i że trudniejsze położenie pierwszego daleko nam większą dlań wyrozumiałość nakazuje. Z drugiéj strony, *Goniec* ma silniejsze prawa do naszéj życzliwości z powodu sąsiedztwa i wspól-uczestnictwa w sprawach prowincyonalnych. Polemika z nim, mówimy tu o po-

---

dencyi wyrażeniami: „Kiedy te pełzające olbrzymy (to jest Rzewuski, „Grabowski, Hołowiński, Odyniec), kryją się po mszystych manowcach, „Gryf w górnym swym locie nie zdaje się ich dostrzegać, lecz niech „który z nich swe jawnogrzeszne podniesie ramiona, wtedy on spa„dnie, uderzy, i śladu po nich nie zostawi..... Resztę literackich „płodów, albo wylęgających się z głów i serc zastygłych jakiemi są „*Felicyta* Edwarda Odyńca, albo pełzących ze stęchłych studzien „scholastyzmu, jakim trącą *Obrazy* Chodźki, pomijam z wieczném „nad niemi requiescat in pace.“ Nad korespondencyą *Dodatek literacki do Czasu* zrobił swe uwagi. Jeden wyjątek z tych uwag *Goniec* pod nasz sąd poddaje. Nam się widzi że *Dodatek* przez słowa: *uszanowanie dla władzy i porządku spółecznego*, nie rozumiał innéj władzy jeno tę, którą większa część obywateli litewskich przez łagodny i dobroczynny wpływ nad włościanami posiada. *Goniec* zwie obywateli na Litwie *panami przykrawanymi z francuzka po rosyjsku*. Naprzeciw takowemu twierdzeniu wolno *Czasowi* i nam postawić inne, że lubo na Litwie lud wiejski niema swobód i bytu jakiego mu najlepsza wola obywateli pod uciskiem moskiewskim dać niemoże, to przecież połączony z wyższemi klasami tą samą religią, tradycyonalnie przywiązany do panów, którzy w większéj części troskliwą nad nim dzierżą opiekę, przedstawia jedność i pierwiastek dla sprawy narodowéj daleko czerstwiejszy, niż lud w innych częściach zabranego kraju. Ale *Czas* dodaje że rewolucya zawsze nas bardziéj w grób popychała. Na bezwzględne potępienie rewolucyi żadną miarą zgodzić się nie możemy. Jużeśmy po wielekroć powiedzieli (patrz Tom IX. str. 72.) gdzie dla nas leży granica między lada lekkomyślnym ruchem, a powstaniem czysto i ogólno narodowém. Wyklinać naprzykład powstanie z 1830 r. tak prawe, tak świetne, tak ogólne, dla tego tylko że się nie udało, jestto potwierdzać mniemanie, że nie od nas samych, nie od własnéj naszéj siły, ale od jakiejś obcéj ręki i postronnych wypadków wybawienie

lemice drażliwéj a nieujętéj w karby czynów i zdań wyznanych, boć polemikę poważną mamy za użyteczną zawsze i wszędzie, osłabiałaby nas nawzajem, niepotrzebnie poruszała ukojone stronnictwa, marnotrawiła czas i siły w obec nieprzyjaciela. *Gońcowi* na nicby się ostatecznie nie zdała popularność, jakąby zdołał na chwilę u niektórych zyskać przez spory z *Przeglądem*. *Przegląd* znowu, nie chce w niczém utrudniać drogi jedynemu dziennikowi który naszéj prowincyi pozostał, a który wymaga tyle zachodów i poświęcenia, by swemu zadaniu godnie odpowiedzieć zdołał.

---

ojczyzny zawisło. Cóżkolwiek bądź niemamy powodów mniemać ze *Czas* w téj mierze inaczéj jak my myśli.

Jeszcze jedna uwaga. Artykuł Gońca któremu odpowiadamy, odnosząc się niejako do *Korespondencyi* owéj *z Wilna*, zaręcza że *Moskale w Wilnie wyzyskiwali* (nierozumiemy dobrze na jakiéj mogli to robić drodze) *dramat Odyńca Felicyta do odwrócenia wrażalnych mieszkańców zabranego kraju od szukania szczęścia i wolności na téj ziemi, a wyzyskiwali go w ten sposób, że książka ta stała się najniepopularniejszą książką między młodzieżą polską; tak iż młodzież akademicka wykupiwszy dużą część nakładu, spaliła ją i dzieło to stało się dziś prawie bibliograficzną rzadkością.* Dziwimy się że Goniec wierzy tego rodzaju pogłoskom. W każdym razie, ponieważ nikt z Wilna nie donosi żeby młodzież akademicka tak samo z pismami *Protasza* jak z *Felicytą* się obeszła przypuścić by trzeba, że w Wilnie akademicy dosyć łaskawie słuchają rosyjskich predykacyi, ale że katolickie rzeczy za niezgodne z postępem, za niemodne i zasługujące na wyjęcie z pod opieki cywilizowanych obyczajów uważają. Czyż *Goniec*, który się tak ujmuje za anonimam, kijowskiemi, nieweźmie zacnego i szanowanego powszechnie poety litewskiego w obronę przeciw studenckiéj swawoli? Nam się zdaje że trudno smutniejszéj historyi jak historya spalenia *Felicyty* (jeżli to rzecz prawdziwa) przytoczyć.

lennice drażliwej, a nieujętej w karby czasów i żadnéj wyznaczonej lub polonicie przyjazną nauky na użyteczną zawsze i wszystdaléj, oddalibiłaby nas nawzajem, niespieszczeniem przyrazu szkojone stronnictwa, marnotrawiąc czas i siły w ofiarę niespieszeniciela. Gorliwość na niczby się ostatecznie już z łaski popularności, jakoby zdołał ug chwile o niektórych zyskać, przez spory z Przeglądem. Przegląd zawsze ma cele w którym strudzać drogi jedynemu dziennikowi, który naszej prowincyi pozostał, a który wymaga tyle zachodów i poświęcenia, by swemu zadaniu godnie odpowiedzieć zdołał.

---

ojczyzny zamiejsc. W Czasie tych [illegible] paszkwilów jasności [illegible]. Cóż w tej mierze znaczą jak my myśli.

Jeszcze jedna uwaga. Artykuł Gońca którym odpowiedamy, odnoszą się ciągle do Korrespondencyi owéj z Wilna, zarzuca że Rosyanie w Wilnie wprzykrawi (nierozumiémy dobrze na jakiej mogą to robić drodze) dramat Odyńca Felicyta do odtworzenia uwielbianych mieszkańców nabranego kraju od szaleństw szczęścia i zwolonności tej samej, a wywykrzykali go w ten sposób że książka ta stała się wspólną ... księgą narodu polskiego, polską; żeli iż młodzież akademicka wykupywszy drugi cały nakład, spaliła go i dzieło to stało się dziś prawie bibliograficzną rzadkością. Dziwimy się że Goniec wierzy tego rodzaju pogłoskom. W żadnym razie, posłuszni tekst z Wilna nie donosi żeby młodzież akademicka tak samo z pismem Przeglądu jak z Felicytą się obeszła przypuścić by trzeba, że w Wilnie akademicy służą jaskrawe słuchają rosyjskich predykantów, ale że szczególnie rzeczy za niezgodne z postępem, za niemodne i zachęcające na wyjście z pod opieki cywilizowanych obyczajów uważają. Cały Goniec, który się tak ujmuje za sponiami kijowskiemi, nie może zapewne i szanownego niewzruszenie poety litewskiego w obronie przeciw studenckiéj swawoli? Nam się zdaje, że i tamo smutniejszej historyi jak historya spalenia Felicyty (jeśli to rzecz prawdziwa) przypuszczać trzeba.

Omyłki w artykule wstępnym poszytu niniejszego.

Str. 457 w. 2 *zam.* Joung *czyt.* Young
— — — *ost.* — ***Byc Roods*** — ***Bye roads***
— 458 — 1 — Roods — roads
— — — 9 ***Od wyrazu*** kraj ***opuścić dwa zdania do wyrazu*** par amentarskiemi ***włącznie.***
— — — 32 *zam.* Sandheerst ***czyt.*** Sandhurst
— 449 — 12 — Dowres — Dover
— — — 16 i 17 Echiquier — Exchequer
— 459 — 29 *opuścić* consolidated fund
— 461 — 8 *zam.* no — not.
— — — 33 — Onby — The only
— — — 35 — fornige — foreign
— 464 — 32 — Pika — Pitta
— 466 — 13 — mało — miało
— — — *ost.* — tsied — tried
— 467 — *ost.* — Mackinson — Mackintosh
— 468 — 4 — zimy — ziemi
— 473 — *ost.* — sad — and.

